

Didier Van Cauwelaert

OBJAWIENIE

(L' Apparition)

Tłumaczyła Marta Cichocka

Kiedy wszedł, pomyślałam, że to pomyłka. Jego nazwisko widniało na pierwszym miejscu na popołudniowej liście przyjęć – kółko w kwadracie oznaczało, że przychodził po raz pierwszy, a litery *Msgr* nabazgrane w nawiasie przez moją sekretarkę zawierały a priori charakterystykę pacjenta: „miopia – soczewki – glaukoma – refrakcja”. Tymczasem miałam przed sobą niskiego staruszkę w sutannie okrytej czerwoną peleryną, z czego wywnioskowałam, że *Msgr* było raczej skrótem od *monsignore*.

Podniosłam się, czekając, aż mnie rozpozna, wyda okrzyk przerażenia i ucieknie. Nie wiem, jaka to ironia losu, niezręczna rekomendacja kolegi po fachu lub ukryta intencja sprawiła, że kardynał wślizgnął się między moich pacjentów, skoro wiadomo, że tępię księży jak zarazę – ale nie będziemy tracić czasu na religijne dysputy w godzinach przyjęć. Jeśli przyszedł w innej sprawie niż jego oczy, to go wyrzucę.

Zamyka drzwi z ostentacyjną dokładnością, zaciska palce na lasce i zbliża się do mnie, szeleszcząc jedwabiem. Czekam, że poda mi pierścień do ucałowania, mam ochotę posłać go do diabła, ale on zadowala się spleceniem dłoni na uchwycie swojej teczki i lekkim skinieniem głowy.

– Kardynał Damiano Fabiani. Proszę nie wstawać, pani doktor, bardzo proszę: jestem tu incognito.

– Właśnie widzę.

Cień uśmiechu przebiega mu przez twarz. Skórę ma popielatoszarą, poźółkłą w miejscu pofałdowań, jak gazeta spłowiała od słońca, zapomniana gdzieś pod tylną szybą samochodu.

– Chciałem powiedzieć: bez przestrzegania protokołu.

Bije od niego jakaś chłodna surowość, pod przykrywką aksamitnego włoskiego akcentu, niczym u szefa pizzerii. Jego wielka głowa na krótkim, wątlwym korpusie przywodzi mi na myśl rysunki krążące po Internecie i przedstawiające ufoludki.

– Gdybym przestrzegał zwykłej procedury – kontynuuje, wieszając laskę na oparciu jednego z foteli, niewątpliwie dla przypomnienia mi, że wciąż jeszcze nie zaproponowałam, aby usiadł – wezwałbym panią do ambasady Stolicy Apostolskiej. Tylko czy pani by tam przyszła? Znam pani reputację, antyklerykalne wypowiedzi i rozkład zajęć. Kiedy moje służby skontaktowały się z pani sekretarką, żeby zaprosić panią na obiad, odpowiedziała nam, że nie jada pani obiadów, rano operuje, a po południu przyjmuje pacjentów, i że na wolny termin trzeba czekać dwa miesiące, nie licząc tego wtorku o godzinie trzynastej czterdzieści pięć, w razie nagłego wypadku.

– I to jest nagły wypadek?

– Tak.

– Co panu dolega?

– Mnie? Nic, dziękuję pani bardzo. Poza artretyzmem w prawym biodrze...

– ...który raczej nie wymaga wizyty u okulisty.

– Co do tego jesteśmy zgodni.

Zapada milczenie. On mi się przygląda, a ja wytrzymuję ten wzrok, mimo dzikiej ochoty mrugnięcia. Zrobiłam dziś rano sześć laserowych operacji rogówki i miałam bardzo ciężką noc, począwszy od wrzasków zębującego niemowlęcia sąsiadów, aż po koszmary prześladujące mnie po ostatniej sesji w Internecie. Po kolacji czatowałam właśnie z japońskimi kolegami po fachu na ICQ, gdy nagle jakiś intruz zaczął mnie wzywać po imieniu. W dodatku wypisywał te swoje typowe wstawki podrywacza dużymi literami: szczyt prostactwa w sieci, gdzie duże litery oznaczają, że się krzyczy. Zazwyczaj administratorzy forum oftalmologicznego dość szybko usuwają takich zbiegów ze stron erotycznych, ale tym razem żaden z moich rozmówców zdawał się go nie zauważać. *JUŻ NIEDŁUGO MNIE POZNASZ, ŚLICZNA NATHALIE, I BARDZO MNIE TO CIESZY.* Odpowiedziałam mu dużymi literami, żeby spadał na drzewo albo na inne forum. Na moim ekranie pojawiły się słowa: *KŁADŹ SIĘ SPAĆ, ŚWIATEŁKO MOICH NOCY, JESTEŚ ZMĘCZONA, A JUTRO WAŻNY DLA NAS DZIEŃ.* Jego ikona użytkownika ICQ nie była zielona, jak w trakcie normalnego połączenia, tylko migiała na żółto i czerwono, jakby połączenie było złe albo jakbym miała problemy z modemem. Postanowiłam zakończyć rozmowę z Japończykami, a wtedy ten intruz przerwał mi w połowie zdania, które formułowałam na ekranie: *KOLOROWYCH SNÓW, NATHALIE KRENTZ, WKRÓTCE BĘDĘ PRZY TOBIE.* Prawie nie zmrzyłam oka.

– W gruncie rzeczy zwracam się bardziej do specjalisty, którym pani jest, niż do praktyka.

Wzdrygnęłam się. Włoch pogładził czubkiem palców czerwoną piuske, po czym złączył dłonie, by ukryć ich lekkie drżenie.

– To znaczy?

– Przybyłem zamówić u pani szczególnego rodzaju ekspertyzę, pani doktor. Opierającą się w równej mierze na pani kompetencjach okulisty, uznanych ogólnie, co i na pani sceptycyzmie. Są tacy, którzy nazwali go ślepym. Ja jednak wolę mówić o obiektywizmie, który w tym właśnie przypadku jest zaletą, i z tego też powodu panią wybrałem.

– Analizuje jego słowa, starając się zrozumieć, do czego *zmierza* tą okreśną drogą, owijając w bawełnę zarówno pochlebstwa, jak i przestrogi. Spotkałam już jednego kardynała podczas talk-show poświęconego nie wyjaśnionym przypadkom uzdrowienia, ale tamten był w cywilu, z tych, co to udają liberalnych i obruszają się przy każdym bluźnierstwie. Załatwiłam go w pięć minut. Ten najwyraźniej jest innego pokroju. Sprawia wrażenie, jakby mnie znał, jakby wiedział, że nie jestem wrażliwa ani na pochlebstwa, ani na zarzuty złej woli: dotyczą mnie tylko dowody rosnącego nieporozumienia między mną a ludźmi. Tak niewiele mam wspólnego z tym, co mi zarzucają: oziębłość, wyniosłość, nieprzejednanie, sztywne zasady. Gdyby wiedzieli...

– Zamieniam się w słuch, proszę pana. Czy raczej mam mówić: Wasza Eminencjo?

Opiera się wygodnie, żeby móc założyć nogę na nogę, rozlewa się w fotelu jak mus malinowy.

– Jak pani woli. Być może mniej oficjalne byłoby monsignore.

Ironia wyczuwalna w jego głosie neutralizuje moją, a jednocześnie *oznacza* próbę sił na wybranym przeze mnie terenie. Jeżeli chodzi o dialektykę, to ten salonowy prałat nie ma nic do pozazdrosczenia moim kolegom ze studiów, z którymi wtedy zmieniałam świat, a którzy potem wyrosli na ważniaków grających w golfa, dyrektorów klinik w sportowych wozach, sługusów laboratoriów farmaceutycznych, gotowych płaszczyć się przed każdym, kto im załatwi zezwolenie na produkcję, albo naukowców prowadzących programy badawcze i badających programowo najwyższą stabilność własnego stołka, żeby przypadkiem z niego nie spaść.

– Czy chodzenie po ulicy w takim stroju nie jest trochę krępujące?

Wciąga policzki, okrywa się połami swej szkarłatnej peleryny.

– Dużo mniej niż kiedyś, kiedy nikt nie nosił różowych włosów, pępka na wierzchu albo kolczyka w nosie. Dzisiaj na mój widok ludzie ledwo się odwracają.

– Biorą pana za *dragaueent* – Procedura nakazuje, żebym stawił się w oficjalnym stroju przed osobą, którą chcę zaangażować. W innych przypadkach, proszę mi wierzyć, potrafię chodzić niezauważony.

Nagle pomyślałam, że on za dobrze gra swoją rolę, a cała ta jego retoryka i kardynalska purpura są tylko aktorskimi rekwizytami. Kto chciałby jednak zadać sobie tyle trudu, żeby zrobić mi kawał? Nikt nie złożył mi życzeń z okazji czterdziestych urodzin, tydzień temu, a z Franckiem mam już tylko stosunki w kratkę, gdzie porozumienie bez słów i łatwość kontaktów to wspomnienia trudne do zniesienia.

– A gdybyśmy tak przeszli do rzeczy?

Przytakuje, spoglądając na zdjęcie w srebrnej ramce, przedstawiające dwoje zmarłych: moją matkę i mojego psa, którzy w tej chwili są dla mnie całym życiem osobistym. Po czym splata palce i kontempluje migotanie żółtego kamienia w kardynalskim pierścieniu.

– Oto, co mnie sprowadza, pani doktor. W Meksyku żył biedny Indianin o imieniu Cuatlactactzin. W 1531 roku jego rodzice już nie żyli, trzy lata wcześniej owdowiał, a jego wuj, jedyny żyjący krewny, ciężko zachorował.

Przerywa na chwilę, niewątpliwie po to, aby dać mi czas na zadumę nad okrutnym losem obcego człowieka, który ponad cztery wieki temu obrócił się w proch. Ponieważ z mojej strony nie ma najmniejszej reakcji, jeśli nie liczyć ruchu rotacyjnego, w który wprawiam leżący na biurku ołówek, kontynuuje, już mniej afektowanym głosem:

– Przypominam pani, że rok 1531 to dopiero początki kolonizacji hiszpańskiej. Opanowanie Meksyku przyszło konkwistadorom bez trudu: ich nadejście od dawna zapowiadały azteckie proroctwa. Cesarz Montezuma przekazał swój tron -Cortesowi ze słowami: „Czekałem na was”,

a Cuautlactactzin przeszedł na chrześcijaństwo, jak wielu innych tubylców. Oczywiście nie mieli specjalnego wyboru, ale przede wszystkim znaleźli w religii katolickiej zbawienną przeciwwagę dla barbarzyństwa swoich wysokich kapłanów. Nie zapominajmy, że Aztekowie poświęcali rocznie dwieście tysięcy osób, rozszarpując je żywcem i wrywając im serca, żeby w ten sposób oddać cześć słońcu i zachęcić je do wspinania się po niebie.

Bierze mnie na świadka dzikich obyczajów tych ludzi gestem emeryta, który karmi gołębie. Z całym spokojem zwracam mu uwagę, że jeśli chodzi o liczbę ofiar, to wyniki inkwizycji katolickiej też są niezłe, a poza tym pacjent z godziny czternastej czeka za drzwiami.

– Jeszcze będę miał okazję wrócić do nadużyć kleru hiszpańskiego – odpowiada, ignorując tym samym drugą część mojego zdania. – Powróćmy jednak do naszego przyjaciela Cuautlactactzina. Dla większej wygody będę używał imienia, które sam sobie wybrał na chrzcie, żeby przypieczętować swoje nawrócenie: Juan Diego. Był to człowiek prosty, ale bardzo pobożny, jak również niezwykle wytrzymały fizycznie: nie wahał się maszerować codziennie pięćdziesiąt kilometrów na bosaka, żeby dotrzeć na katechezę w Tlatilolco, jednej z wiosek wchodzących teraz w skład miasta Meksyk. Po drodze musiał mijać wzgórze na pustkowiu, nazywane Tepeyac, i tam o poranku w sobotę 9 grudnia 1531 roku usłyszał łagodny głos: „Juanito... Juan Dieguito...”. Odwrócił się i zobaczył przed sobą bardzo piękną młodą kobietę, nieruchomą w delikatnej poświacie, która oświadczyła: „Jestem Maryja Dziewica, matka prawdziwego Boga, dla którego wszyscy istniejemy”.

Odkładałam ołówek na bloczek z receptami i przypominam mu moje stanowisko w kwestii rzekomych cudownych objawień Matki Boskiej w Lourdes.

– „Zbiorowa halucynacja i inwestycja ekonomiczna” – przerywa mi, cytując moje słowa. – Wiem, że uważa się pani za ateistkę i podkreślała to pani wielokrotnie w najczęściej oglądanych programach telewizyjnych w tym kraju. Wiem też, że międzynarodowy komitet lekarski w Lourdes poprosił panią o opinię w sprawie nie wyjaśnionego przypadku uzdrowienia, i uważa pani, że udało jej się udowodnić znikomą rolę Matki Boskiej.

– Zdecydowanie. To był przypadek ślepoty histerycznej, która zanikła w efekcie szoku nerwowego, w momencie gdy nastolatkę wrzucono do lodowatej wody w grotcie. Nie było żadnego uszkodzenia nerwu wzrokowego: to jej mózg nie przetwarzał informacji, które otrzymywał.

Zatrzymuje mnie uniesieniem dłoni:

– Nie proszę o nic innego.

– Słucham?

– Zależy mi na opinii wybitnej specjalistki w dziedzinie oftalmologii, w celu przeciwstawienia się „bałwochwalczym przesądom”, o których wspomina pani w swoim raporcie dla komitetu w Lourdes.

Podpieram dłonią podbródek, zdezorientowana taktyką tej mumii ze Stolicy Apostolskiej, której najwyraźniej sprawia przyjemność, że wciąż zbija mnie z tropu. Wodząc czubkiem palca wzdłuż lamówki swej sutanny, kardynał wpatruje się w stiuki sufitu.

– Tak więc Maryja Dziewica oświadczyła Juanowi Diegowi: „Idź, poszukaj biskupa i powiedz, żeby zbudował mi tutaj kaplicę”. Biedny Indianin gwałtownie zaprotestował. W *rzeczywistości* przerażał go nie tyle nadprzyrodzony charakter samego zjawiska, zgodny z jego wierzeniami, ile wymóg przekroczenia ustalonych norm społecznych. „Ależ, moja słodziutka Panienko – odparł w kwiecistym stylu Azteków – jam najniższy spośród sług twoich, niegodny robaczek, w dodatku Indianin... Przenigdy biskup Meksyku nie da mi posłuchu”. – „To ciebie wybrałam, Juanie Dieguito, najniższy spośród sług moich – odparła Maryja Panna. – Idź, poszukaj biskupa, a on ci uwierzy”.

Telefon zaczyna brzęczeć; odbieram, prosząc wzrokiem o wybaczenie. Franck pyta, czy mogę go zastąpić przy operacji katarakty następnego dnia rano.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię.

– Spróbuję się streszczać – mój gość uśmiecha się, gdy odkładam słuchawkę. – Juan Diego udaje się więc do biskupa Zumarragi i mówi: „No więc spotkałem Maryję Dziewicę i ona prosi, żeby wybudować jej kaplicę na wzgórzu Tepeyac”. Tamten odpowiada: „Naturalnie”, po czym każe wyprowadzić tego pomyleńca. Maryja Panna obstaje przy swoim i pięć razy objawia się Juanowi Diegowi, żeby posłać go z powrotem do biskupa – który tym razem każe go wyrzucić siłą. W końcu, zniechęcony, Indianin zbiera się na odwagę i mówi Matce Boskiej, że Zumarraga nigdy nie uwierzy mu bez jakichś dowodów. Na to ona radzi przynieść mu róże. Ale jest środek zimy, Juan Diego tylko wzrusza ramionami. Tymczasem po jej zniknięciu odkrywa całe zbocze góry usiane różami. Układa z nich wiązanek, którą owija połą swej szaty. Słudzy biskupa, pod wrażeniem kwiatów, które niesie w darze, tym razem pozwalają mu wejść. Zaprowadzony przed oblicze Zumarragi, Indianin składa róże u jego stóp, a osłupiały biskup pada na kolana. Na całej długości szaty Indianina odcisnął się wizerunek Najświętszej Maryi Panny.

Poruszenie palców splecionych dotychczas pod podbródkiem oznacza niewątpliwie, że to pointa całej historii. Przechodzę nad tym do porządku dziennego i pytam, jaki to ma związek ze mną.

– Tunika tego rodzaju, zwana Wilmą [Tilma (z języka nahua: *tilmatli*) – to wierzchnie odzienie Indian, z wycięciem na głowę, utkane z grubych i szorstkich włókien agawy. Tylko zamożni Indianie nosili tilmy z bawełny. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)], jest tkana z włókien agawy, które są niezwykle nietrwałe. Tymczasem niemal pięć wieków później jest ona wciąż jak nowa i można ją oglądać w bazylice Guadalupe, w północnej części Meksyku. Wszyscy najwybitniejsi specjaliści, którzy ją widzieli, doszli do wniosku, że nie są w stanie niczego wyjaśnić. Ani doskonałego stanu płótna, ani natury odcisniętego na nim „obrazu”.

którego kolory nie pochodzą z żadnego barwnika znanego na ziemi; ani pozycji planet na płaszczu Maryi Panny, które zdają się świadczyć o znajomości astronomii niemożliwej jak na tamte czasy; ani sceny w jej oczach.

– Jakiej sceny?

– Cała scena u biskupa widnieje w oczach Najświętszej Pani. Jest dosłownie „sfotografowana”. Przynajmniej tak twierdzą badacze, którzy odkryli to pod mikroskopem.

Bierze na kolana aktówkę, wyjmuje z niej opasłą teczkę z dokumentacją i podaje mi ją.

– Oto wyniki ekspertyz przeprowadzonych przez pani kolegów, od 1929 do 1990 roku, kiedy to Jego Świątobliwość Jan Paweł II beatyfikował Juana Diega.

Otwieram na chybił trafił zieloną teczkę, mój wzrok pada na fotograficzne powiększenie źrenicy, gdzie trzy odbicia zostały obrysowane czarnym flamastrem. Przerzucam dokumentację przypiętą spinaczem. U dołu sześciostronicowego raportu widnieje podpis: Dr Rafael Torrija.

– Nie mówię po hiszpańsku – oświadczam, zamykając teczkę.

Kardynał podskoczył, jakby go ktoś ukłuł szpilką. Pierwszy raz od początku rozmowy udało mi się wyprowadzić go z równowagi. I nie dzięki mojej wiedzy, ale przez moją ignorancję.

– Prześlę pani tłumaczenie – odparł sucho. – Tak czy inaczej, te ekspertyzy nie mają dla mnie żadnej wartości: wszystkie są identyczne.

Rzucam okiem na zegar ścienny i poprawiam pozycję pustej popielniczki. Kardynał sprezentował sobie kwadrans mojego czasu: zostało mu sześć minut.

– Czego dokładnie pan ode mnie oczekuje, monsignore? Że zbadam oftalmoskopem oczy na obrazie i powiem panu, czy Maryja Dziewica była krótkowidzem?

Przygląda mi się na poły pobłaźliwie, na poły ze smutkiem, a potem pochyła się w moją stronę i cedzi powoli, wyraźnie:

– Moje dziecko, oczekuję od pani dowodu na dokonanie oszustwa, odkrycia jakiejś pomyłki technicznej, potwierdzenia hipotezy, że scena odbijająca się w oczach jest efektem pracy malarza – albo przynajmniej wyrażenia przez panią uzasadnionych wątpliwości.

Odebrało mi mowę ze zdumienia. Jego palce bębnią po oparciu fotela w oczekiwaniu na moją reakcję.

– Przepraszam, Eminencjo, ale zapytam prosto z mostu: po czyjej jest pan stronie?

– Diabła.

Przetykam ślinę ze ściśniętym gardłem. To, że jestem niewierząca, nie przeszkadza mi być przesadną i bardzo nie lubię, gdy ktoś tak lekko wzywa siły zła. Kardynał dostrzegł moją instynktowną niechęć, i uśmiech, wąski jak ostrze brzytwy, łagodzi echo jego słów.

– Wie pani, kim jest adwokat diabła w Watykanie, pani doktor? W trakcie procesu kanonizacji winien podawać w wątpliwość cuda przypisywane kandydatowi oraz wyszukiwać w jego życiu wszystko – grzechy, kłamstwa, oszustwa, czyny bezbożne – co mogłoby zapobiec

ogłoszeniu go świętym przez papieża. Oto zadanie, które przypadło mi w procesie Juana Diega, ale mam do dyspozycji puste dossier, gdy tymczasem moi przeciwnicy przytaczają dziesiątki świadectw o cudownych uzdrowieniach przypisywanych Indianinowi, sumę jednogłośnie brzmiących ekspertyz stwierdzających niemożliwy do wyjaśnienia naukowo charakter wizerunku odbitego na tilmie oraz sto opinii potwierdzających beznadziejnie nieposzlakowane życie kandydata. Oto dlaczego zwracam się do pani. Oczu Matki Boskiej nie badano już od dziesięciu lat. Przypuszczam, że w tym czasie pojawiły się jakieś nowinki techniczne, i proszę, żeby pani je zastosowała w celu podważenia wniosków pani kolegów po fachu. To wszystko.

Opada z powrotem na aksamitne oparcie fotela. Ironia sytuacji sprawia, że na moich wargach pojawia się lekki uśmieszek, który jednak znika, gdy tylko kardynał znów zabiera głos.

– Pani życiorys, razem z wieloma innymi, został uważnie przestudiowany w Watykanie. Wybrałem panią ze względu na pani racjonalizm, dyplomy, kompetencje i popularność w mediach.

– W jakiej kolejności?

– Słucham?

– Pańskie kryteria wyboru?

Przesuwa się bardziej w lewo, żeby uciec przed promieniem słońca, który wpada przez okno za moimi plecami.

– Dorzucę jeszcze jedno, bynajmniej nie bez znaczenia w moich oczach: jest pani Żydówką.

– To znaczy: jestem bezstronna?

– Raczej nieufna, przynajmniej wobec tajemnic katolickich.

– Bez uproszczeń proszę. Jestem Żydówką z urodzenia, monsignore, ale z przekonania ateistką.

– Sam jestem ekumenistą z natury, moje dziecko, a przezorny jestem z urzędu. Nie chciałbym, żeby ten proces kanonizacyjny obrócił się przeciwko mnie. Wie pani, rywalizacja wewnętrzna i intrygi stronnictw, które musi pani znosić w klinice, są niczym w porównaniu z tymi, jakie drażą administrację watykańską.

Zapada krótka chwila solidarnego milczenia. Sama nie wiem, czy czuję podziw dla ciętej inteligencji tego starucha, czy raczej budzi on we mnie komfortowy wstręt – komfortowy, bo usprawiedliwia wszystkie moje uprzedzenia wobec przedstawicieli kleru. Jeśli monsignore Solendate, prefekt Kongregacji Spraw Świętych, wyznaczył do roli adwokata diabła kardynała równego sobie rangą, to przede wszystkim po to, aby umyć ręce w obliczu ważkich kwestii: zaangażowania Stolicy Apostolskiej i konsekwencji politycznych procesu, który porusza tyle samo interesów ziemskich, co zagadnień teologicznych. Monsignore Solendate będzie zadowolony zarówno z mojej porażki, jak i z tego, że wypełniam powierzone mi zadanie z nadmiernym zapalem, który będzie można mi zarzucić... Jeżeli przekonam Trybunał, by

zaniechać kanonizacji, wtedy ogromna żarliwość wzniecona w Ameryce Południowej przeobrazi się w ciężką urazę w stosunku do Rzymu, o którą niebawem będę obwiniany. Z drugiej strony, jeżeli uznam prawdziwość cudów przypisywanych Juanowi Diegowi, to będzie oznaczało, że moc boska działa za jego pośrednictwem wbrew prawom natury – a to nie jest zgodne z aktualną polityką. A jeśli pospieszne wrzucenie tego nowego świętego do kalendarza odczytane zostanie jako oznaka wsparcia dla buntu Indian z Chiapas przeciwko władzom meksykańskim i spowoduje osłabienie pozycji Kościoła, wtedy też zostaną pociągnięty do odpowiedzialności.

Współczuję mu, mimo to obojętnym gestem odsyłam go do jego problemów.

– A moi wrogowie wykorzystają to, by uzyskać wysłanie mnie na wcześniejszą emeryturę.

Obserwuję ze zdumieniem tego pomarszczonego osiemdziesięciolatka, jak zaciska palce na oparciach fotela, by powstrzymać ich drzenie.

– Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, monsignore, ale kiedy kardynałowie przechodzą na emeryturę?

– Właściwie nigdy. Teoretycznie górna granica w Świętym Kolegium Kardynalskim to siedemdziesiąt pięć lat, ale jako że stanowimy większość, młodszym z trudem udaje się nas pozbyć, z wyjątkiem przypadków kłątwy, skandalu finansowego lub poważnego błędu politycznego. Niektórzy woleliby ograniczyć moje wpływy podczas konklawe, które wyznaczy następcę Jana Pawła II – i nie przez przypadek ten proces kanonizacyjny narusza moją pozycję człowieka stawiającego opór prądom integrystycznym, które stopniowo opanowują Watykan. A ja tak bardzo chciałbym zrobić następnego papieża, pani doktor...

W jego wzroku na moment pojawiło się lekkie zmieszanie, błysk człowieczeństwa, błagalnej pokory, jak gdyby spełnienie jego życzenia zależało ode mnie.

– Czy nie ma pani nic przeciwko temu – kontynuuje tym samym tonem – żebym zwracał się do pani per mademoiselle? Gdy mówię: „pani doktor”, wtedy chcąc nie chcąc przypominają mi się trudy mojego wieku, a widzę, że szokuje panią „moje dziecko”.

Wyjmuje z aktówki dużą kopertę i kładzie ją na moim biurku.

– Czy zna pani Meksyk?

– Nie.

– Tu znajdzie pani oficjalną delegację wystawioną przez sekretarza stanu, jak również list polecający, który uprawnia do obejrzenia obrazu *ad litem*.

– To znaczy?

– Rektor bazyliki zdejmie dla pani szkło ochronne.

– To bardzo miło z jego strony, ale jak sam pan zauważył, operuję co rano, a mój zeszyt przyjęć jest zapełniony aż do czerwca.

– W zamian za to zażąda, by założyła pani wysterylizowaną odzież ochronną do przeprowadzenia badań – kontynuuje. – Muszę przyznać, że trochę mnie to śmieszy: przez

ponad wiek ten obraz wisiał, całkiem odsłonięty, ponad ołtarzem, gdzie każda świeca emituje promieniowanie ultrafioletowe o mocy 600 mikrowatów, co zgodnie z logiką powinno było doprowadzić do jego zniknięcia po kilku tygodniach. Poza tym, żadna tkanina z włókien agawy nigdy nie przetrwała dłużej niż dwadzieścia lat: nawet pod szkłem ulega rozkładowi i rozsypuje się w proch. A zatem... Proszę respektować wszystkie zasady bezpieczeństwa, z którymi się pani spotka, po prostu ze zwykłej grzeczności. Rektor bazyliki jest gorliwym wyznawcą, który czuwa nad swoją tilmą z pieczołowitością graniczącą z paranoją. Za to jego poprzednik, Austriak, w nic nie wierzył: ani w cuda, ani w naukę, ani w siebie samego. Jeśli chodzi o ten ostatni punkt, Ojciec Święty ostatecznie przyznał mu racje.

Jego maniera ignorowania moich obiekcji powinna była mnie rozdrażnić i spowodować zakończenie wizyty. Kardynał przekroczył swój czas, a w poczekalni siedzi odwarstwienie siatkówki. Ciekawość jest jednak silniejsza.

– Czy mogę zadać panu osobiste pytanie, kardynale Fabiani?

– Bardzo proszę.

– A jaka jest pana prywatna opinia o naturze tego obrazu?

Znów chwytając laskę i podnosi się powoli, ciężko wspierając się na rączce, z zębami zaciśniętymi z wysiłku. Poza stęchłym odorem naftaliny, który wydziela jego peleryna, wyczuwam lekki zapaszek piwnicy i jasnego tytoniu.

– Ja nie mam prywatnej opinii, mademoiselle. Moja wiara skłania mnie do wierzenia w to, co muszę negocjować zgodnie z wymogami obecnej roli wyznaczonej mi przez Kościół. Dlatego zdaję się na panią i pani kompetencje.

– Moje kompetencje czy moje uprzedzenia?

– Są zgodne z linią mojej misji, ale to kryterium nie powinno mieć na panią żadnego wpływu.

– Przypuśćmy, że pański ekspert dojdzie do wniosków, które potwierdzą poprzednie ekspertyzy. Jaka będzie wtedy pańska reakcja? Odrzuci pan takie wnioski?

Mały człowieczek uśmiecha się smutno.

– Wie pani, jestem adwokatem diabła tylko przejściowo, nie ma to nic wspólnego z powołaniem ani cechami charakteru. Staram się wykonać zadanie z czujnością, jakiej wymagają zastawiane na mnie sidła, to prawda, ale przede wszystkim w trosce o uczciwość, która, jak sądzę, powinna kierować każdym przysięgłym wybranym losowo.

To zapewnienie o uczciwości pasuje do niego tak samo jak skromny ton, w który uderzył. Kładę ołówek obok zegarka, który pokazuje trzy po drugiej.

– Przygoda Juana Diega miała daleko idące konsekwencje, których jeszcze nie jest pani w stanie ocenić – podejmuje na nowo, chwytając aktówkę. – Pierwsza administracja kolonialna urzędowała w taki sposób, że Indianie byli o krok od rewolty. To, że jeden z nich został

wybrańcem Matki Boskiej, z pewnością pozwoliło uniknąć masakry i doprowadziło Karola V hiszpańskiego do radykalnej zmiany stosunku wobec rdzennych mieszkańców Meksyku. Dziś bazylika Guadalupe jest jednym z najważniejszych miejsc pielgrzymek na świecie. Każdego roku dwadzieścia milionów wiernych przybywa pomodlić się przed tilmą Juana Diega. Poważne zakwestionowanie jego świętości zaszkodziłoby wielu interesom, zarówno religijnym, jak i politycznym. To na pewno dla pani bardzo ekscytujące, ale niekoniecznie bezpieczne. Moim obowiązkiem jest nie ukrywać przed panią tego aspektu podróży.

Masuję czubkiem dużego palca u nogi piętę z odciskiem po nowym bucie i pytam, ilu kolegów przede mną nie przyjęło propozycji. Przymyka powieki i uśmiecha się pojednawczo.

– Katolik nie potrafiłby odmówić, mademoiselle; imperatywem moralnym jest dla niego spełnić żądanie Promotora Wiary – tak, to bardziej oficjalna nazwa, którą Trybunał określa adwokata diabła. Ale świadectwo ateistów, jak również wyznawców innej wiary nie ma w sobie nic obowiązkowego: jest możliwe do przyjęcia, to wszystko. Chcąc jednak odpowiedzieć na pani pytanie, oświadczam, że jest pani pierwszym okulistą, do którego się zwracam. Pani raport z ekspertyzą musi do mnie dotrzeć za trzy tygodnie. Nie będzie konieczności stawienictwa w procesie.

Popycha w moją stronę kopertę, którą położył na biurku obok zielonej teczki. Mierzy mnie swoim spokojnym wzrokiem, dopóki jej nie otworze. W kopercie jest jego wizytówka z bezpośrednim numerem telefonu w Watykanie, podkreślonym na czerwono, delegacja po hiszpańsku z godłem Watykanu, zaliczka na poczet kosztów podróży i bilet lotniczy klasy business, wylot w najbliższy czwartek, powrót w następny wtorek.

Kiedy podnoszę wzrok, adwokata diabła już nie ma. I nagle uświadamiam sobie, że podczas rozmowy ani razu nie spytał, czy w ogóle przyjmuje jego propozycje.

Nie ufaj temu człowiekowi, Nathalie. Popchnąłem go do tego, żeby wybrał ciebie, bo potrzebuję kogoś takiego jak ty, ale nie ręczę za niego. Być może rzeczywiście jestem jego obsesją, ale wciąż nie mogę wybadać, czy on chce mojego dobra, czy też nie. Być może to właśnie jego koncepcja dobra jest dla mnie złem największym.

On lubi mieć władzę nad ludźmi. Wie o tobie wszystko lub prawie wszystko. Będzie tobą manipulował. Dlatego bardzo mi się podobał sposób, w jaki stawiałaś mu czoło. Mimo to on wydaje się przekonany, że przyjmiesz misję, którą ci zaproponował – i odniesiesz sukces. Chciałbym podzielać tę jego pewność. Wciąż jeszcze jednak nie istnieję dla ciebie wystarczająco; nie kieruje tobą ukryta intencja, nie mogę ci się w żaden sposób przydać i w związku z tym nie mam prawa wywierać na ciebie jakiegokolwiek wpływu: jesteś wolna.

Gdyby tylko twój pies jeszcze żył... Komputer to środek wyrazu dość praktyczny, łatwiejszy do opanowania niż stolik, spodek czy ruchy ręki. Dobrze przekazuje moją energię, ale źle ogniskuje myśli i uczucia... Wyczuwam twoją niechęć, uprzedzenie, reakcje obronne. Instynkt

twojego psa był jedynym irracjonalnym fenomenem, którego istnienie przyjmowałaś bez agresji. Kiedy matka mówiła ci, że pies wiedział, mimo dzielącej was odległości i niezależnie od twojego harmonogramu zajęć, w którym dokładnie momencie postanawiałaś wrócić do domu, i że w tej samej chwili sadowił się w przedpokoju, by na ciebie czekać, schlebiało ci to: czułaś się kochana i ważna. Dzisiaj twoje mieszkanie jest puste, a to, co niewytłumaczalne, straciło w nim rację. Jesteś sama.

Pozwól mi stopniowo urzeczywistnić się gdzieś w kącie twojego umysłu, droga Nathalie, podczas gdy badasz oczy tych ludzi: zachowaj mnie w dwuznacznych słowach, w tym zakątku pamięci i miłości, gdzie twój pies dalej na ciebie czeka. Chciałbym się trochę z tobą oswoić. Zostać w tobie dłużej, lepiej cię poznać... ale jesteś zbyt zajęta konsultacjami, czuję to. Skupiasz się na pacjentach, twój pies rozmazuje się, a ja rozpływam się w nicość.

Muszę powrócić tam, skąd nigdy naprawdę nie odszedłem: tam, gdzie utrzymuje mnie bez ustanku żarliwość i nadzieja milionów nieznanych ludzi. Przyjdź do mnie, Nathalie. Czekam na ciebie, przywołuję cię, jesteś mi potrzebna.

Przez całe popołudnie podczas konsultacji prześladowało mnie wspomnienie starca w czerwieni. Byłam rozdarta między niemiłym poczuciem, że jestem obserwowana, poddawana drobiazgowej wiwisekcji na odległość przez tajne służby Watykanu, a rozkoszną pokusą, żeby kopnąć w sam środek tego mrowiska. Fakt, że Kościół katolicki zwraca się oficjalnie do mnie z prośbą o udowodnienie nieistnienia cudu po to, by przeszkodzić w kanonizacji, utwierdzał mnie w przekonaniu, którego od ukończenia piętnastu lat nie podważyło żadne późniejsze doświadczenie: na nikim nie można polegać, a już na pewno nie na kolegach po fachu, współnikach czy duchowych krewnych. A niezależność jest jedyną ochroną przed grupami nacisku, które w końcu zawsze kiedyś *zaczną* się rozpadać od wewnątrz. Wszystkie obiekcje przedstawione kardynałowi Fabianemu pozostawały jednak w mocy. Już nie mówiąc o tych, które przemilczałam.

Mijały godziny, a przede mną defilowały nagle wypadki i hipochondrie, kaszmiry i farbowane futra, torebki Chanel i książeczki czekowe w cielej skórce – cały wachlarz moich stałych pacjentów, od wziętej modelki po agenta giełdowego, poprzez senatora, który gładzi mnie po kolanie, gdy badam mu dno oka, wdowy w brylantach, która oślepiła mnie kolczykami, opowiadając o ostatniej wycieczce luksusowym statkiem, i wstrętnego bachora żującego gumę pod oftalmoskopem, podczas gdy matka recytuje jego szkolne osiągnięcia. Wszyscy ci luksusowi krótkowidze, modne katarakty i potencjalni dalekowidze leczą się u mnie, bo pojawiają się w telewizji, jestem najdroższa, bo gwiazdy chwalać się mną w czasie kolacji na mieście, między genialnym fryzjerem a specem od akupunktury, do którego dostać się jest szczytem marzeń. Przygnębia mnie ta galeria VIP-ów w mojej poczekalni, ale jak się z tego wycofać? Podatki, czynsz za gabinet, koszty narzędzi i wymagania kliniki zmuszają mnie do

żądania coraz wyższych honorariów, zwiększania liczby zabiegów i mnożenia konsultacji. Marzyłam o Trzecim Świecie i otwieraniu nowych szpitali, gdzie szkolilibym wielkich chirurgów przyszłości. Miałam nadzieję udostępnić afrykańskim dzieciom Lasik, udoskonalony przeze mnie superprecyzyjny laser, którym można dotrzeć do najgłębszych warstw rogówki – a spędzam osiemdziesiąt procent czasu, poprawiając za bajątkowe sumy komfort widzenia kasty uprzywilejowanych, którzy mogliby swobodnie funkcjonować dalej w okularach czy soczewkach. Często wieczorami ogarnia mnie wstyd, ale im więcej pracuję, tym mniej mam wolnego czasu na robienie sobie wyrzutów.

Już wpół do ósmej. Zaanonsowałam najbardziej znanym oczom z kobiecych czasopism, że mimo leczenia betaganem ich ciśnienie wewnątrzgałkowe nadal przekracza 25 i że należy natychmiast operować jaskrę, po czym poszłam kupić szynkę, masło i chleb na tosty dla Francka.

Parkując samochód przed domem, uświadamiam sobie, że zapomniałam o serze gruyere. Trudno, tym razem będzie mała odmiana. Mimo że już od półtora roku nie przygotowuję naszego menu dla zakochanych, wciąż nie mogę się zdecydować na to, by mówić o Francku w czasie przeszłym. Przyzwyczajenia są trwalsze od miłości – lub może raczej rytuał, codzienność towarzysząca namietności wciąż zmienia nasze postanowienia, choć wydawały się nieodwołalne. Franck jest mężczyzną, którego nie da się porzucić: jego ograniczenia są mi na rękę, nasze wady się uzupełniają, a jego wisielczy humor podnieca mnie prawie tak jak jego ciało. Usiłuję przestać go kochać, próbuję wytrwale i szczerze, ale to jeszcze trudniejsze niż rzucenie palenia. Za każdym razem wpadam z powrotem w nałóg, mam do siebie pretensje i odnajduję te samą przyjemność. Sonia, moja sekretarka, gdy mnie z nim łączy, używa bardzo trafego określenia: „Dzwoni twój były były”.

Zniechęcenie ogarnia mnie zaraz po otwarciu drzwi. Wychodzę o świcie i na ogół wracam tak późno, że już nie mam sił na walkę z kurzem. Gospośia nie przychodzi, odkąd zmarła mama. Mówi, że byłoby to dla niej zbyt bolesne, a ja nie mam czasu szukać kogoś nowego, kto dostosuje się do moich manii. Już raczej wole mieć brudne rzeczy, niż żeby zmieniały miejsce. Mieszkam w mauzoleum, w czymś w rodzaju opustoszałego letniska, zbyt dużego dla mnie, gdzie zajmuje tylko jedną sypialnię, łazienkę i kuchnię. Mama całymi latami po rozwodzie marzyła o domu pełnym rozbieganych wnuków. Zanim brat i ja zdążyliśmy znaleźć sobie partnerów, już wyposażyła pokoje na pierwszym piętrze w kołyski, kojce i pudła na zabawki. David nigdy nie wrócił. Założył rodzinę w Izraelu z pewną ortodoksyjną żydówką, zgorzsną naszym liberalizmem. Mama mogła zobaczyć ich latorośle w Tel Awiwie, każdego wnuka tylko raz. A ja nigdy nie znosiłam tego rodzaju facetów, z którymi robi się dzieci. Kocham tylko wiecznych chłopców, niedojrzałych, skomplikowanych, niewiernych. Tych, których przyjmuję wraz ze wspomnieniami, zapachami, ranami zadanyimi przez inne kobiety. Tych, co odradzają

się we mnie i odchodzą – silniejsi, lżejsi, mniej winni – w dalszą drogę ku wyrzutom, obowiązkom i rutynie. Tych, którzy mnie uszczęśliwiają i zostawiają w spokoju. Jestem jak skrzyżowanie szlaków, jak ciepły piec, jak ciało ukojenia. Franck został moim jedynym kochankiem, ale niczego nie zmienił w mojej naturze. I siedem kojców pozostało pustych.

Odkąd mama odeszła, niepotrzebnie przedłużam jej marzenie o licznej rodzinie, z dzieciarnią wypełniającą dni jej starości. Nie wierzę w duchy, które nie odchodzą po śmierci – tylko w przedmioty, które pozostają. Nie jestem w stanie -ich poprzestawiać ani wyrzucić czegokolwiek. Wszystko zostanie tak, jak było, a ja zestarzeję się bez żalu w niezmienionej scenerii. W przeciwieństwie do mamy, która tak się o mnie martwiła, w miłości zaznałam wiele dobrego i zawsze wołałam samotność. Mogę mieć żal tylko do siebie, jeśli mi czegoś brakuje. Beztroski. Swobody. Odwagi, żeby porzucić klinikę i zacząć pracować gdzie indziej, by odnaleźć prawdziwe powołanie, pogrzebane pod pułapem wysokich dochodów. Nic nie powinno mnie powstrzymywać. Nie chcę spadkobierców, nie ciułam dla nikogo i żadna rodzina nie jest już ode mnie *zależna*. Teraz, gdy nie mam nawet psa, który usprawiedliwiłaby moją obecność, nie posiadam już żadnych argumentów uzasadniających moje wyparcie się samej siebie. I znoszę to tak źle, jak należało się spodziewać.

Żadnej wiadomości na automatycznej sekretarce. To normalne: straciłam wszystkie przyjaciółki. Nie mam siły znosić ich historii, mężów, niemowląt, wakacji, ich stuprocentowego szczęścia budowanego na iluzjach, ustępstwach, osiągniętych celach i długoterminowych planach; ani ich wyrzutów z powodu mojego celibatu, robionych tylko po to, żeby w końcu, prędzej czy później, z goryczą pozazdrościć mi wolności.

Idę do kuchni, trzymając zieloną teczkę z papierami od adwokata diabła, i przygotowuję tosty na blasze, którą potem tylko włożę do piekarnika, podczas gdy Franck będzie otwierał szampana. Na spodzie: chleb, masło, szynka, ser gruyere, pieprz; na wierzchu: chleb, masło, ser gruyere, pieprz. Potrzebowałam całych lat na zapamiętanie tej litanii, żeby ułożyć wszystko w takiej kolejności, jaką lubi. „Co za szczęście, że pacjenci nie widzą cię w kuchni. Nie miałybyś nikogo na stole operacyjnym” – mawiała moja mama.

Dzisiejszego wieczoru brak sera gruyere powoduje pewną dysharmonię, która podważa całą logikę dania. W rzeczywistości czuję się równie wytracona z równowagi jak moje tosty. Paranormalne brednie, które drwią ze mnie – położone na lodówce, bezpieczne w jaskrawozielonej tezcze, ze swoim hermetycznym językiem, są nie tyle pokusą, ile przywołaniem do porządku. Nie mam nic przeciwko temu, oczywiście, żeby pojechać do nieznanego kraju i zwalczać irracjonalność, ale propozycja tego Marsjanina w sutannie konfrontuje mnie z takim obrazem siebie, jakiego nie znoszę. Kim jestem dla reszty świata? Panią chirurg z telewizji. Panią okulistką wystawioną na widok publiczny. Sploty kłamstw dziennikarskich w ramach tak zwanych prawdziwych portretów wyrządziły mi już dość zła

w aferze „niewyjaśnionego uzdrowienia” z Lourdes. Wyobrażam sobie, jakiego to nabierze rozgłosu, jeżeli udowodnię, że „cudowne” oczy czczone w Meksyku powstały w wyniku machnięcia pędzlem. W najlepszym razie dziennikarze powiedzą, że chciałam sobie załatwić dodatkową reklamę kosztem biedaków, których ostatnią nadzieją jest błaganie niebios o łaskę. A jeżeli malowana tilma Juana Diega przestanie ich uzdrawiać, będzie to moja wina. Jak im udowodnić, że są w błędzie? Czy ja tego potrzebuję? Czy mam ochotę i siłę na to, żeby brać sobie na kark jeszcze jedno nieporozumienie? Jeśli w ubiegłym roku w całej prasie było mnie pełno, jak wyjaśniałam, że mała Cathy Kowacz przejrzała na oczy na skutek szoku psychicznego, a nie za wstawiennictwem Matki Boskiej z Lourdes, to tylko po to, żeby dali jej święty spokój. Żeby jej nie capnęły klechy, żeby nie zepsuli jej młodości wymachiwaniem kadzielnicy i nie przerobili na relikwię, święty obraz, przedmiot kultu. Wtedy miałam ważny powód, żeby rzucić na szalę swój autorytet; stawką była przyszłość istoty ludzkiej. Po co mam sobie jednak zawracać głowę jakimś Indianinem, zmarłym cztery wieki temu? Skoro pomaga cierpiącym ludziom, to tym lepiej dla nich.

Aby było weselej, ozdabiam korniszonem tarasowe dachy z pieprzowego masła, pokrywające moje tosty, i idę na piętro wziąć prysznic, unikając jak zawsze spotkania z odbiciem w lustrze. Moje ciało robi, co może i co mu się podoba; nie -lubię go już, a ono się mści. Mam takie same relacje z dietami odchudzającymi jak z gumą antynikotynową: jeśli sobie czegoś odmawiam, to tyję. Poza tym Franek woli mnie taką. Podobają mu się moje piersi w rozmiarze 90 G i gwizdże na to, że talia obrasta mi tłuszczem proporcjonalnie do bioder. Kiedy próbuję mu wytłumaczyć, jaki to dramat, iż w ciągu osiemnastu miesięcy przytyłam o dwa rozmiary, odpowiada, że dla niego to nieważne. Nie da się ukryć, że widujemy się już tylko po obu stronach stołu na sali operacyjnej. Teraz, gdy zadzwoniłam do niego w sprawie tej katarakty, którą chciał mi upchnąć jutro rano, i zaproponowałam, żeby wpadł na tosty, zapadła głucha cisza rozdzierająca serce, która zmiękczyłaby najbardziej odporną kobietę. W końcu wymruczał ze wzruszeniem: „Jesteś pewna?”... Znów będę musiała się uzbroić w argumenty odmowne, które odbiorą mi apetyt, kiedy zacznie mnie pieścić pod stołem. Jak mam mu wyjaśnić przy deserze, że zaprosiłam go dziś wieczorem tylko dlatego, że mówi po hiszpańsku? A zresztą, czy to prawda, czy tylko zwykły pretekst, dodatkowy powód, abym później miała do siebie pretensje o to, że nie umiałam okazać, jak bardzo go pragnę?

Ależ oczywiście, że jesteś ładna, Nathalie. Jego spojrzenie to najlepszy kosmetyk odmładzający, a ty nie chcesz więcej tego spojrzenia na sobie: jakie to niemądre. Nie ma lepszej obrony przed upływem czasu niż decyzja, by stracić ten czas. Jakie to ma znaczenie, że „przytyłaś o dwa rozmiary”, jak mówisz, skoro on cię taką woli? Masz mu za złe to, że nie czujesz się sobą? Ależ ty jesteś skomplikowana... albo ja już zbyt dawno umarłem, aby móc zrozumieć kobietę. Chciałabyś być stara, żeby problemy tego rodzaju już cię nie dotyczyły –

i nie możesz znieść, że wydajesz się młodsza, niż jesteś. Dlatego budujesz wokół siebie mur, żeby nie widzieć w cudzych oczach takiego obrazu ciebie, do którego nie pasujesz. Co za szaleństwo, Nathalie, i jaka szkoda... Zabronić sobie szczęścia to grzech, za który najtrudniej uzyskać przebaczenie, mimo że żadna religia nie ostrzega nas przed tym. Będziesz miała mnóstwo czasu na bycie samotną, kiedy umrzesz... Chociaż wolałbym nie generalizować.

Wybacz, że mówię do ciebie w taki sposób, ale korzystam z tego, że jeszcze mnie nie słyszysz. Wiesz, naopowiadają ci różnych bzdur na mój temat i twoje uprzedzenia uzupełnią ich stereotypy, więc już teraz próbuję dojść do prawdy, w oczekiwaniu na dzień, kiedy twój umysł udzieli mi głosu.

Nie, nie byłem świętym z obrazka. Nie byłem miłym dzikusiem, płochliwym głuptasem, który zamienił Pierzastego Węża na Dziewicę w aureoli, pojętym analfabetą, co wyrzekł się swoich wierzeń, by przyjąć wiarę silniejszego od siebie... To z miłości do mojej żony zostałem katolikiem, z pełną świadomością wybrałem Boga najeźdźców, bo nasi bogowie zabierali zarówno dusze zmarłych, jak i krew żywych, zważając tylko na ilość i nie dając nic w zamian, poza blaskiem słońca, które przecież wstawało tak samo dla Hiszpanów. A więc czemu odmawiać sobie religii, która obiecywała każdemu życie wieczne w zależności od poczynań na ziemi? Malintzin była promienną, najłagodniejszą i najbardziej szczodłą z kobiet. To pierwsze pytanie, jakie zadałem kapłanom, kiedy już najlepiej urodzeni spośród nas nauczyli się podstaw ich języka, by służyć im za tłumaczy: czy pozostaniemy razem po śmierci w waszym raju, jeśli nas ochrzczicie? Odpowiedzieli, że tak.

Wtedy Malintzin i ja wymieniliśmy egoistyczne i ograniczone bóstwa łaknące krwi na ich jedyne Boga w trzech częściach, ich Boga miłości, który ucieleśnił się za sprawą Ducha Świętego w łonie Dziewicy; odtąd nazywaliśmy się Maria Lucia i Juan Diego. I przeżyliśmy jeszcze dwa lata w błogostanie naszych ciał, który obecnie nazywał się grzechem cielesnym, ale to w niczym nie zmieniło naszych miłosnych uścisków, tyle że potem spowiadaliśmy się z nich i opisywanie naszych pieszczot sprawiało, że nasze pożądanie rosło dziesięciokrotnie. Misjonarze radowali się, że tak często uczęszczamy do spowiedzi, nie mając pojęcia o erotycznym wymiarze rozgrzeszenia. Nie mieliśmy dzieci i brzuch Marii Lucii był ogrodem uprawianym dla własnej przyjemności; to było nasze jedyne dobro, bogactwo na ziemi, jedyny dar, który mogliśmy złożyć Bogu miłości.

Lecz pewnego dnia nowy ksiądz, świeżo przybyły z Madrytu, rozgniewał się, słuchając mojej spowiedzi. Spytał o nasz wiek. I oświadczył groźnie, pewien własnych racji: to grzech śmiertelny uprawiać miłość z kobietą, która już nie może mieć dzieci. Zdumienie nasze było bezgraniczne. Ponieważ jednak chcieliśmy odnaleźć się po śmierci, ale nie w ogniu piekielnym, postanowiliśmy przestać dawać sobie rozkosz. Urządziliśmy wielkie święto tylko dla nas dwojga, na wzgórzu Tepeyac, gdzie -kiedyś się poznaliśmy. Święto Ostatniego Razu. I nasze

ciała pożegnały się aż po ostatni akord, żeby to wspomnienie rozpusty na zawsze wyręło się na mającej nadejść mądrości, bo dla katolików mądrość oznacza odmawianie sobie wszystkiego, a cnota – abstynencję.

A potem, następnego roku, straciłem na zawsze Marię Lucie. Wszyscy księża, nawet ten furiat, który zabronił nam miłości, zapewнили mnie, że pewnego dnia zjednoczymy się przed obliczem Pana Boga. Przynajmniej tyle mi się należało, bo przecież zabiła mi ją ich sekretna broń, niewidzialne promienie, co rozpałały czoło i zsyłały lodowate dreszcze: ta cudzoziemska śmierć, która zdziesiątkowała nasz lud i jeszcze nie została nazwana grypą.

Pozostałem więc katolikiem, żeby zapewnić zbawienie Marii Lucii i odnaleźć ją wtedy, kiedy wstąpię do nieba. Wciąż staram się w to wierzyć mimo wątpliwości. Wiem jednak z doświadczenia, że dusza jest nieśmiertelna i niezmienna. Przynajmniej w moim przypadku. Jestem tym, czym byłem, Nathalie. Albo raczej, na moje nieszczęście, pozostaję tym, co zrobiła ze mnie Maryja Dziewica. Jej świadkiem. Jej pośrednikiem. Tym, przez którego szerzą się cuda. I nawet jeśli to było nieprawdą, stało się prawdziwe.

Czas nie istnieje w takim znaczeniu, w jakim go rozumiecie, ale to, co nazywacie przyszłością, wpływa na wasze myślenie na temat przeszłości. Percepcja ewoluuje. Nastrój się zmienia. Wasze zapomnienie mnie osłabia, smutek przygnębia, modlitwy pochłaniają, a jeśli wasze troski mnie gryzą, to wasza rozkosz jest dla mnie osłodą. A kiedy nadajemy na tych samych falach, jak to teraz mówicie, wtedy wasz stan ducha ma wpływ na moją pamięć.

Dobrze mi było w twoich snach ostatniej nocy, droga Nathalie. Przez dziewiętnaście lat na ziemi, po śmierci Marii Lucii, nie uprawiałem miłości inaczej jak przez sen, tak jak ty, więc teraz czuję się prawie jak u siebie w tym śnie, gdzie pieścisz swoje ciało. Ta nieoczekiwana radość: czuć się zgranym z osobą wezwaną do tego, by rozpracowała mój przypadek. Mówię ci to z całym szacunkiem: jesteś pierwszą kobietą mojej śmierci. Dotychczas wszyscy ci, którzy mnie studiowali, kwestionowali i wydawali ekspertyzy, to byli intelektualiści bez serc, maniacy swojej specjalności głusi na moje uczucia, duchowni niedostępni dla ludzkich pasji albo starcy uwięzieni na uczuciowej pustyni, która dręczyła mnie tak samo jak ich. Boże, jak ja bym się tam nudził...

A czy ty, Nathalie, w końcu mnie zrozumiesz? Byłem prostym człowiekiem, wiesz, z krwi i kości, marzeń i nawyków. Kiedy zostałem sam, katechizm stał się moją jedyną racją bytu, a modlitwa – jedynym sposobem pozostawania w łączności z żoną. Mówią, że byłem bardzo pobożny: przede wszystkim byłem wierny. Mówią, że objawienie Najświętszej Panienki wstrząsnęło mną do głębi: nieprawda, pozostałem taki sam. Mówią, że się umartwiałem, ale i to nieprawda: chodziłem boso, bo byłem *macehualli*, członkiem najniższej kasty wśród Azteków, a kiedy ofiarowano mi sandały, moje stopy nie mogły ich ścierpieć. Mówią, że jak tylko święty obraz pojawił się na mojej tilmie, spłynął na mnie dar porozumiewania się wszystkimi językami:

tere-fere kuku. A jeśli męczyłem się nieludzko, by nauczyć się tego ich hiszpańskiego, to głównie po to, żeby mogli mnie przesłuchiwać wysłannicy z Madrytu bez pośrednictwa tłumacza, który ubarwiał wszystkie fakty. A jeśli oddałem mój dom wujowi, to nie dlatego, że złożyłem śluby ubóstwa – byłem już wystarczająco biedny – tylko dlatego, że kardynał Zumarraga chciał mnie mieć obok kaplicy, gdzie znajdowała się tilma, żebym mógł opowiadać wszystkim pielgrzymom o moich rozmowach z Matką Boską. A jeśli cieszyłem się długowiecznością, to dlatego, że miałem końskie zdrowie.

Ale nigdy – słyszysz? – nigdy nie byłem człowiekiem wyjątkowym. Tak samo jak po śmierci nie stałem się cudotwórcą. Nigdy nie dokonałem cudów, o które mnie proszą i potem mi je przypisują. Byłem właścicielem ubrania, na którym Maryja Dziewica postanowiła zostawić swoje odbicie, to wszystko. Mój czas się wypełnił; powinienem był rozpląnąć się w nicłość. Jestem zwykłym liściem opadłym z drzewa, któremu nie pozwala się zgnieć. Liść ten miał sens tylko wtedy, gdy płynęły w nim życiodajne soki i pomagał drzewu oddychać. Opadłe liście powinny stać się próchnicą, i Nathalie.

Uwolnij mnie od tych, którzy otaczają mnie kultem. Opuściłem wasz świat, a wciąż tu jestem, przytrzymują mnie modlitwami, zamykając w fałszywej wizji, wypaczają mój obraz, żebym ich wysłuchał, żądają niemożliwego i czasem to dostają, ale to nie moja zasługa, a oni nie chcą mi wierzyć. Zresztą nawet mnie nie słyszą, liczą się dla nich jedynie ich głosy: dla nich jestem tu tylko po to, by ich zaspokoić. Jestem zakładnikiem ich wiary, zawieszonym między niebem a ziemią. Już nie jestem żywy, a wciąż pozostaję mężczyzną, niczym więcej, niczym lepszym, niczym innym: mężczyzną bez kobiety, imieniem bez ciała, uwięzioną duszą.

Oby moje myśli, tak wątle i ograniczone, znalazły echo w twoich. Żebym przynajmniej zdołał cię uodpornić na kłamstwa i przesadę, które usłyszysz, a które mogą stanąć murem między nami. To, co powiedziałaś kardynałowi Fabianemu o powodach twojego braku wiary, nie jest do końca prawdą. Nie masz żadnych przekonań: to tylko zaprzeczenia. I masz jeszcze poczucie ludzkiej godności, które sprawia, że wolisz nicłość od obojętności boskiej. Jesteś niewierząca z powodu swojej dumy, Nathalie, tak jak ja byłem wierzący z miłości. Oto jedyna różnica między nami, a to właściwie nie jest różnica. Ty jesteś kobietą jednej pasji, tak jak ja byłem mężczyzną jednej kobiety. To stany pustki nas przyciągają: zwróciłem się ku tobie z tych samych powodów, z których zasłużyłem sobie na względy Najświętszej Pani. Nie dopatruj się w tym dumy z mej strony, najwyżej świadomości braku znaczenia: jakąż inną cechą mojego charakteru mogłaby zainteresować Maryję Pannę? Dlatego byłem w stanie zobaczyć objawienie, że – niczym żywa świątynia poświęcona pamięci mojej żony – nie należałem już do świata ludzi. Twoje życie jest dla ciebie ciężarem, ludzie współcześni cię męczą, to, co zrobiłaś ze swoim zawodem, przyprawia cię o mdłości, nie chcesz rozdmuchiwać żaru, by zatrzymać ukochanego mężczyznę, i nie chcesz wierzyć w to, co dodaje otuchy twoim bliźnim, usprawiedliwia ich

wybory, rezygnację, przeciętność. Twój bunt jest moim buntem: skończyłaś wypełniać to ziemskie istnienie, jak często myślisz, i w głębi ducha prosisz, by o tobie zapomniano. Wezwałaś mnie, nie wiedząc o tym. Jestem tutaj, czekam cierpliwie, aż mnie usłyszysz.

Wiesz, nie jesteś pierwszą osobą, którą proszę o pomoc, ale poprzednie rozczarowania tylko wzmacniają zaufanie, jakie w tobie pokładam. Przyjedź do Meksyku, Nathalie. Przyjmij propozycję człowieka, który nie chce zostać świętym. Poszukując prawdy na mój temat, znajdziesz być może coś innego, czego pragniesz nieświadomie w snach, do których pozwalasz mi wejść.

Dzwonek do drzwi sprawia, że moja kredka do oczu wpada w poślizg. Usuвам szkody na powiece, po czym ruszam w dół schodami, krzycząc, że już idę. Otwieram drzwi i stoję oko w oko z bukietem piwonii. Franck przeprosza za seksualną, według niego, symbolikę tych kwiatów: w kwaciarni nie było nic innego, co prezentowałyby się jako tako o tej porze. Wygląda źle, ma zapadnięte policzki, spękane wargi. Kiedy asystuje mi przy operacjach w klinice, tylko nasze oczy rozmawiają ze sobą między maską a czepkiem, i nigdy potem nie mamy nawet dwóch minut, żeby zobaczyć się w bufecie.

– Nie wyglądam dobrze, wiem – potwierdza tonem ucinającym wszelkie komentarze.

Wełniany szalik zwinął mu się pod zbyt cienką bawełnianą marynarką, zmarszczki od uśmiechów ustąpiły miejsca bruzdom rozgoryczenia, a zmęczenie przygasiło blask zielonego spojrzenia. Im gorzej wygląda, tym piękniejszy mi się wydaje.

W salonie, ledwie padł na fotel, z którego nie zdążyłam usunąć pokrowca, już wyrzuca z siebie bez ogródek, z piwoniami zwieszającymi się z wyciągniętej ręki, że rzygać mu się chce z powodu ojca, co nie jest niczym nowym, i że wreszcie powie mu wszystko to, co ma na wątrobie, o czym już przestałam marzyć. Moja sceptyczna mina tylko zwielokrotnia jego wściekłość: ciska mi w twarz, że wczoraj wieczorem stary mówił o planach sprzedaży terenu kliniki jakiemuś inwestorowi, aby w ten sposób uregulować problem sukcesji. Uśmiecham się i biorę bukiet z jego ręki, tłumacząc, że powinien potraktować ten afront jako hołd: ojciec przez całe lata usiłował wykończyć go nerwowo, odwieść od wykonywania zawodu, żeby w historii chirurgii oczu był tylko jeden Manneville; a teraz bez słów przyznaje się do klęski, bo nie zostały mu już żadne inne argumenty poza straszaniem spychaczami. Byłam jego uczennicą: znam go lepiej niż jego własny syn. Henry Manneville należy do rasy pionierów przekonanych, że ich postępy, wynalazki przypisane do ich nazwiska są z natury rzeczy ostateczne; nikt nie ma prawa pójść dalej, odkryć czegoś innego. Jako pierwszy dokonał przeszczepu rogówki, przez całe życie walczył o to, by każdy obywatel uczynił ze swych oczu dar na rzecz Krajowego Banku Dawców, i w ogóle nie przyjmuje do wiadomości osiągnięć moich japońskich kolegów, którzy wynaleźli sztuczną rogówkę. Szczerze podziwiam go jako lekarza, zniosłam z korzyścią dla siebie jego tyranie jako profesora, natomiast lekceważę go jako człowieka – i zawsze

umiałam to oddzielić, czego Franck niestety nie potrafi.

– Nigdy nie sprzeda kliniki, dobrze o tym wiesz – przekonuję, wkładając kwiaty do wody. – Mówi tak tylko po to, żeby ci zepsuć weekend. Jedziesz na narty?

Zakręcam kurek; wciąż milczy. Wnioskuje z tego, że jedzie z kobietą, i mam ogromną nadzieję, że dobrze mu to zrobi.

– Tak czy inaczej – odpowiada wreszcie – występuje z zarządu i przekazuje ci swoje miejsce.

Na moment zastygam w bezruchu na środku korytarza. W jego głosie nie ma żadnej goryczy, gniewu czy urazy wobec mnie. Stawiam wazon na konsoli, idę po butelkę szampana i zieloną teczkę, wracam do salonu i zastaję Francka bez butów, z rękami założonymi za głowę i z miną człowieka uwolnionego od ciężaru. Jego jasne włosy, zaczesane do tyłu, wieczorem wymykają się spod kontroli żelu i zabawnie sterczą, tak jak lubię.

– I powiem ci, co czuję w głębi duszy – oświadczam z wymuszonym spokojem. – To najlepsza decyzja, jaką mógł podjąć.

Sadowię się na oparciu fotela i patrzę, jak nerwowo podciąga skarpetki. Miejsce w zarządzie po Henrym Manneville’u byłoby dla mnie jedyną szansą na wprowadzenie moich rozwiązań, na dokonywanie wszczepów sztucznej rogówki, co zaradziłoby brakowi naturalnej tkanki, wykluczyło odrzuty, a także konieczność stosowania immunosupresorów, na które pacjent jest skazany do końca życia. Manneville sprzeciwia się realizacji tego planu: pozwolenie na przejście do fazy czwartej jest zbyt świeże, oczywiście sukcesy niczego nie dowodzą, wciąż brak jest obserwacji odległych skutków, to niebezpieczne dla kliniki na wypadek porażki, a także dużo mniej opłacalne niż mój laser, który bez problemów, taśmowo, poprawia krótkowzroczność.

– W niedzielę zaprasza nas na obiad – rzuca wreszcie Franck.

Odpowiada mu wymowne milczenie, pełne intymnych aluzji. Tych kilka słów znaczy dla nas dwojga tak wiele... W ciągu pięciu lat oficjalnego związku prawie każdej niedzieli chodziliśmy na obiady do willi Manneville’ów, naprzeciw pola golfowego i dołka numer 9. Tradycyjna pieczeń, smażone ziemniaki, sałata z ogrodu, rozmowa tocząca się od golfa do polityki, babka z rumem i poker w czwórkę. Zaraz po rozpoczęciu partii rozchylałam nogi, a Franck ściągał buty. Niewzruszony wyraz jego twarzy, gdy czubkiem wielkiego palca doprowadzał mnie do rozkoszy, oznajmiając ful lub pas, był dla niego cudownym wewnętrznym zwycięstwem nad ojcem, który wysilał się przede mną, nazywając go pieszczotliwie „mój duży chłopiec”. Pewnego dnia matka, schyliwszy się po kartę, nakryła nas pod stołem. Wyprostowała się, zaledwie z cieniem rumieńca na policzkach, powstrzymała uśmiech, przygryzając wargi, i grała dalej, jak gdyby nigdy nic. Również dla niej to był prawdziwy rewanż za despotyzm męża, który uczynił z niej to, czemu chciałam przeszkodzić w przypadku Francka: ofiarę przytłoczoną podziwem dla władcy, pełną wynikających z tego kompleksów.

Kiedy mianował mnie szefem oddziału oftalmologicznego, zamiast syna, który zasługiwał na to stanowisko, dotarł do mnie rozmiar własnej klęski: tylko spotęgowałam jego zazdrość, a mój awans był dla niego najlepszym sposobem na poniżenie mojego kochanka, który tym samym stawał się moim podwładnym. Były dwie możliwe konsekwencje tego posunięcia: albo sytuacja stanie się dla Francka nie do zniesienia i zniszczy nasz związek, albo Franck podporządkuje się i wyrzeknie resztek ambicji, akceptując swoją niższość. W obydwu przypadkach Henry Manneville wygrywał. Zdecydowałam się na zerwanie. W dalszym ciągu zapraszał nas raz na miesiąc w niedzielę na „koleżeńskie” spotkania – i przez rok podejmowaliśmy wyzwanie, aby mu pokazać, że przynajmniej nasza przyjaźń przetrwała, wbrew jego machinacjom.

Odkąd pokonał syna, coś się w nim jednak załamało. Wielokrotnie przyłapywałam go na pomyłkach w oświadczeniach, które sporządzał, na przeczeniu samemu sobie, na myleniu kart. Jego absencje stawały się coraz częstsze, był tego wyraźnie świadom, ale nikt nie ośmielał się mu nic powiedzieć. Od dawien dawna publicznie głosił, że skończy z zawodem nazajutrz po siedemdziesiątych urodzinach, a przecież nigdy nie zmieniał decyzji. Nawet jeśli operował już tylko obrzęki rogówki wciąż jako światowej sławy specjalista w tej dziedzinie, wyobrażałam sobie, ilu pacjentów może okaleczyć w ciągu dwóch i pół roku, nieświadomych niebezpieczeństwa i gotowych płacić każdą cenę za zaszczyt dostania się w jego ręce i płynącą z tego otuchę. Pewnej niedzieli przy basenie wzięłam go na stronę; powiedziałam, że już nikogo nie jest w stanie oszukać i przez szacunek dla samego siebie powinien przestać. Wysłuchał mnie. Zdecydował się na krok, który – według niego narzucał się w obliczu zmierzchu jego możliwości: przestał grać w pokera.

– Franck, ja nie pójdę.

Aż podskakuje.

– Żartujesz? Podjął tę decyzję nagle, po jakimś zasłabnięciu, ataku, nie wiem czym, i jeżeli nie wykorzystasz okazji, sprzeda klinikę. Wszyscy tylko czekają, żebyś ją przejęła, wiesz o tym.

– Nie ma mowy. To jest twoje miejsce, nie moje.

Korek strzela spomiędzy jego palców; cichy szmer, butelka nachylona ze znanstwem pod kątem siedemdziesięciu pięciu stopni, ruch ręki bez zarzutu.

– Nie mówmy o tym więcej, Nathalie. Nie interesuje mnie walka o wpływy. Jestem uczciwym chirurgiem, średnim graczem w golfa, beznadziejnym zarządcą i wspaniałym kochankiem.

Za ten neurasteniczny ton, którym wygłosił całą prawdę o sobie, zasługuje na całus w czubek nosa.

– Nie zgadzam się, Franck.

– Pod jakim względem?

Wyjmuję jego dłoń ze stanika i podaję mu kieliszek. Szampan cieknie mi po palcach. Pijemy toast, sami nie wiemy za co, bez szukania pretekstu. Siedząc jednym pośladkiem na oparciu fotela, pozwalam sobie osunąć się na jego ramię. Tak bardzo za nim tęsknię, kiedy jest tuż obok... W pierwszym okresie naszej separacji zachował klucze do mieszkania: przychodził od czasu do czasu sprawdzić stan zapasów żywności, daty przydatności do spożycia jogurtów, opróżnić i napełnić lodówkę, wyprowadzić psa na spacer i opowiedzieć mi przy kominku o swoich przejściach z innymi kobietami. Mimo wysiłków godnych pochwały, jak mówił, w porównaniu ze mną zachowywały się w łóżku jak kłody drewna. Za każdym razem pytał, na jakim jestem etapie, a gdy odpowiadałam: „na żadnym”, wyglądał na szczerze zmartwionego. Sam mnie popychał w ramiona osławionych w klinice lowelasów – „żebyśmy wyrównali rachunki”, dodawał wstydliwie. Uwielbiałam sposób, w jaki pozostawał jedną nogą w moim życiu, wypełniał moją wolę zachowania dystansu, ale zarazem nie pozwalał mi odczuć, że go straciłam. I pocieszał mnie: nasza historia nie mogła być skończona, skoro on opowiadał mi wszystko o moich jednonocnych zastępczyniach, a z kolei u mnie nic się nie działo.

A potem mama zaczęła wszystko sobie łamać: szyjkę kości udowej, nadgarstek, obojczyk. Zrezygnowałam z własnego lokum i z powrotem zamieszkałam z nią w tym domu, który wynajmowała od czterdziestu lat i który ledwo co jej kupiłam, żeby przestała mi zawracać głowę, iż właściciel „wywali ją na ulicę”. Uznała za normalne, że powracam do miejsca, w którym spędziłam dzieciństwo. Powiedziała: „Tym sposobem twój pies nie będzie siedział całkiem sam”. A Franck przestał przychodzić.

– Weźmiesz za mnie kataraktę jutro rano? – pyta pieszczotliwym tonem, kładąc głowę na moim kolanie.

– Dlaczego?

– Bo dziś będę się z tobą kochał przez całą noc i o dziewiątej rano będę miał oczy na zapalkach.

Przytula się do mnie, a ja obejmuję go uśmiechnięta, ze wzruszeniem, które podnieca mnie bardziej niż wszystkie jego pieszczoty.

– Pod jednym warunkiem.

Odsuwa się zdziwiony.

– Seks?

– Katarakta.

Rozluźnia się. Jego propozycje upojnych nocy, na skutek moich ciągłych odmów, są już niemal czysto grzecznościowe, dobrze to wiem.

– W zamian za to weźmiesz za mnie jaskrę. Nie będzie mnie w przyszłym tygodniu: przesunęłam wszystko, co może czekać, ale trzeba, żebyś pilnie operował Tinę Chamley.

Wyprostowuje się jak dźgnięty nożem.

– Dobrze się czujesz? Tata nigdy się nie zgodzi. To największa gwiazda, jaką przyprorowadziłaś mu do kliniki: ona jest twoja.

– Uprzedziłam ją, zgadza się.

Podnosi się tak gwałtownie, że o mało nie zrzuca mnie z oparcia fotela.

– Co to, to nie! Nie zgadzam się, żebyś posługiwała się mną w swoich rozgrywkach z ojcem.

– Nikim się nie posługuję, Franck. Jesteś najlepszy w ekipie, proszę cię o zastępstwo podczas delikatnej operacji, to wszystko. To, że chodzi o sławną modelkę, w ogóle nie ma znaczenia.

– Tyle że będę miał paparazzich u samych drzwi bloku operacyjnego, będą pisali o mnie w gazetach, to z kolei wkurzy tatę, a ty będziesz zadowolona. Do czego zmierzasz, Nathalie? Chcesz mi przywrócić wiarę w siebie, o to chodzi? Przyznaj! Ależ ja się świetnie czuję! Operuję po dwanaście katarakt dziennie, to dla mnie tyle co spluć, bardzo mnie to pasjonuje, właśnie sobie kupiłem nowego terenowego mercedesa, w czym problem?

– W niczym, Franck... Wyjeżdżam na parę dni, to wszystko. Potrzebuję przemyśleć parę spraw, przewietrzyć głowę... Chyba mam prawo, nie?

Siada z gorzkim uśmiechem.

– Czyli spotkałaś kogoś – tłumaczy sobie.

Nie zaprzeczam, poruszona jego reakcją, nagłym zrywem męskiej dumy, gwałtownością tak u niego rzadką. Zadowolam się stwierdzeniem, że wyjeżdżam sama, z czego wyciąga wniosek:

– Jedziesz się z nim spotkać. Mogę spytać gdzie?

– W Meksyku.

– Jak się nazywa?

– Juan Diego.

Rozkłada bezradnie ręce, pozwala im opaść na kolana. Ja z kolei pozwalam mu przez chwilę kisić się w tej zazdrości, po czym uściślam, podając mu zieloną teczkę:

– Nie żyje od czterystu pięćdziesięciu dwóch lat. Rzuć na to okiem, kiedy będę podgrzewała tosty.

I wychodzę z salonu, czując, jak ciężar jego wzroku uwalnia mnie od wszystkich innych ciężarów. Teraz mam prawdziwy powód do wyjazdu. I żadnej wymówki, żeby się wycofać: dzisiaj spędzę bardzo spokojną noc i być może nawet z nim.

Włączam piekarnik i wkładam blachę do środka, z uwagą nasłuchując komentarzy i pomruków, którymi okrasza swoją lekturę, począwszy od: „Co to za bzdety?“, aż do: „coś nieprawdopodobnego!“. Potem zapada cisza przerywana szelestem przewracanych kartek i pobrzękiwaniem sztućców, które wrzucam z powrotem do zmywarki, dokonawszy odkrycia, że są brudne, zawsze ręcznie spłukuję naczynia przed włożeniem ich do zmywarki i po powrocie do domu nigdy nie pamiętam, czy ją włączyłam, czy nie.

Kończę nakrywać do stołu, gdy Franck podchodzi do mnie z plikiem kartek w ręce, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Popraw mnie, jeśli źle zrozumiałem. Jedziesz ze specjalną misją na prośbę Watykanu, żeby zbadać oczy obrazu, który czyni cuda?

Kiwam głową z zakłopotaniem, poprawiając ułożenie jego sztućców.

– Ty, skończona sceptyczka? Ty, która wyzywasz mnie od opóźnionych umysłowo, kiedy czytam horoskop?

– Siadaj, już gotowe.

– Ależ ty idziesz na pewną śmierć!

Dramatyczny ton jego głosu, zamiast oczekiwanego przeze mnie śmiechu, który rozładowałby napięcie, sprawia, że na chwilę zapominam o tostach w piekarniku.

– Czytałaś raporty okulistów?

– Nie, Franck. Są po hiszpańsku: liczyłam na twoją pomoc.

Siada, odsuwa talerz, ciągnie mnie za ramię i tłumaczy nerwowo, pokazując mi palcem słowo po słowie:

– Doktor Rafael Torija, 1956: „Kiedy kieruje się światło oftalmoskopu na źrenicę obrazu Matki Boskiej, na zewnętrznym okręgu widać to samo świetliste odbicie co w oku ludzkim. W wyniku tego odbicia źrenica rozjaśnia się w sposób rozproszony, powodując wrażenie wypukłego wgłębienia”.

Podnosi głowę, żeby zobaczyć moją reakcję. Przełykam ślinę.

– Idziemy dalej – mówi wściekłym tonem, przewracając kartki. – Doktor Amado Jorge Kuri, 1975: „Potwierdzam obserwacje, jakie poczynili moi koledzy, Torroella Bueno i Torija, jeśli idzie o postać brodatego mężczyzny w prawym oku Matki Boskiej. Odbija się w nim trzy razy: raz w obrazie prostym, z głową do góry, na powierzchni rogówki; drugi raz w obrazie odwróconym, z głową w dół, na przedniej powierzchni soczewki; a trzeci raz, znowu w obrazie prostym, na powierzchni tylnej...”.

Ze ściśniętym gardłem zaciskam palce na przegubie Francka.

– Chcesz przez to powiedzieć, że malarz narysował odbicie zgodnie ze zjawiskiem Purkyniego-Sansona?

– Ja nic nie mówię: to oni. Zjawisko optyczne odkryte w XIX wieku, które jakiś malarz z 1531 roku namalował na swoim obrazie. Normalka. Do tego miejsca wszystko gra. Sytuacja się komplikuje – przynajmniej dla ciebie, bo ja uważam, że to jest genialne – dopiero wtedy, gdy powiększając oczy dwa tysiące razy przy użyciu mikrodensytometru, można w nich zauważyć inne postaci, w tym wyżej wymienionego Juana Diego rozpościerającego swoją szatę, ale za jednym zamachem można też zaobserwować odbicia Tscherninga, Vogta i Hessa. Jak gdyby autor obrazu chciał udzielić kompletnego wykładu oftalmologii studentom, którzy urodzą się

cztery wieki później! Powodzenia.

Oddaje mi raporty do rąk. Najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie stać, pytam, czy eksperci wydają mu się wiarygodni.

– Nie znam ich. Za to, począwszy od 1976 roku, są tu również Alvarez, Jose Ahued, profesor Graue, dyrektor Instytutu Meksykańskiego, no i Tonsmann z Cornell University w Nowym Jorku, wszyscy defilują przed Matką Boską i potwierdzają te ekspertyzy. Tylko jakimś cudem – dodaje ze śmiechem, który brzmi nieszczerze – będziesz mogła udowodnić, że są bałwanami.

Biegnę tam, skąd wydobywa się dym, rzucam papiery i parząc się, wyciągam tosty z piekarnika. Są zwęglone i stwardniałe, a wierzchy podwinęły się jak pagoda. Z westchnieniem wsuwam je z powrotem do piecyka i przytulam się do Francka.

– Wszystko w porządku? – pyta z niepokojem.

– W porządku.

– Wciąż się tam wybierasz?

Odsuwam się lekko, całuję kącik jego ust.

– Możesz zostać, jeśli chcesz.

Ucieka wzrokiem w stronę drzwiczek piekarnika.

– Z wielką chęcią, sama wiesz...

Topi swe wielokropki w moim wzroku, zmartwiony, **ale zachowując dystans**. Kończę za niego:

– Ale już jesteś zajęty. Jakaś nowa?

Przytakuje.

– Odklejenie siatkówki – precyzuje w ramach okoliczności łagodzących. – operowaliśmy ją razem, w styczniu, pamiętasz?

Potrząsając głową, odmawiam współpracy.

– Ależ tak, przecież wiesz, ta śpiewaczka operowa... Kerstyn Bless.

– Ach tak. Taka młoda.

– Śpiewa w *Carmen*, właśnie w tej chwili, kończy o północy.

Rzucam okiem na zegar, żegnam go klepinięciem w plecy, które uzna, mam nadzieję, za błogosławieństwo, i zostaję na kolacji sam na sam z jogurtem truskawkowym. Nie mam pojęcia, co za duma, skrepowanie czy szacunek są powodem tego uniku, ale pretekst jest fałszywy. Wystarczyło otworzyć kalendarz. Kiedy Kerstyn przyszła po raz pierwszy na wizytę kontrolną, wręczyła mi zaproszenie, a ja zaznaczyłam sobie wieczory, w które śpiewa partie Micaeli. Dzisiaj ma wolne.

Wyrzucam opakowanie po jogurcie, płuczę łyżeczkę i idę na górę umyć zęby. Ściągając ubranie, włączam komputer, żeby sprawdzić, czy dostałam jakiś mail. I gdy zmywam makijaż,

drukarka wypluwa tłumaczenia ekspertyz, prosto z Watykanu.

Nie chciałam kontynuować dyskusji z Franckiem, ale szanowni koledzy, których mi cytował, musieli nawąchać się kleju: jakim sposobem wiązka światła z oftalmoskopu, skierowana na płaską powierzchnię tkaniny, byłaby w stanie wypełnić trójwymiarową gałkę oczną i wykryć obrazy na dnie oka? Najlepiej od razu się umówmy, że Indianin nosił trójwymiarową tilmę.

Dokładnie kiedy kładę się spać, dziecko za ścianą zaczyna swój koncert. Słysząc uspokajające „ciii... ciii...” matki, grzmącą kołysankę ojca i hałas dzwoneczków nad łóżkiem, przebijający te wszystkie krzyki. Symbolicznie walę trzy razy w ścianę, którą dzieli od ich muru jedynie fuga dylatacyjna, w ramach rewanżu za ich ryki: „Cisza!”, podczas agonii mojego psa. Nie cierpię tych ludzi. Kobieta kłania mi się od trzech tygodni. Najwyraźniej psuje się jej wzrok.

Biorę ze stolika nocnego pastylki nasenne i stopery, po czym nagle zmieniam zdanie. Łapię słuchawkę telefonu i wystukuję, zdając się na los szczęścia, numer podkreślony flamastrem na wizytówce adwokata diabła. Jeśli odbierze, za kwadrans dwunasta w nocy, to lecę do Meksyku. Rzut monetą to jedyny sposób, żeby skończyć z moim wahaniem, porywami duszy, pretekstami i skrupułami.

– *Pronto?*

Wydaje mi się, że rozpoznaję jego głos, zachrypnięty. Przedstawiam się i pytam, czy go budzę.

– W nocy nigdy. Czym mogę pani służyć?

– Przyjmuję pańską propozycję.

– Z jakich powodów?

Słowa więzną mi w gardle. W jego głosie brzmi niemal nagana – a w każdym razie nieufność. Powstrzymuję się, żeby nie odpowiedzieć: dziecko za ścianą, jaskra modelki, niedzielny obiad i kłamstwo mężczyzny, którego kocham. W końcu rzucam:

– Pan odebrał, monsignore.

– Że co proszę?

– Gdyby pan nie odebrał telefonu, nie pojechałabym.

Zapada milczenie, słysząc tylko trzaski na linii. Po kilku chwilach kardynał Fabiani stwierdza lodowatym tonem:

– Chce pani powiedzieć, że kieruje panią przypadek.

– Również ciekawość...

– To niewystarczające – ucina krótko. – Oczekuję od pani osobistego zaangażowania, konfliktu sumienia, przewartościowania pewnych kwestii, zwątpienia, uczucia zdecydowanego odrzucenia albo wściekłości. Jeśli nie, zwróć się do kogo innego. Niech pani przeczyta stronę dwadzieścia osiem tłumaczenia, które właśnie pani dostała, i jeśli nie poczuje się pani osobiście

dotknięta, wyszydzona w swoich przekonaniach, proszę mi odesłać delegację.

Odkłada słuchawkę. Zbita z tropu, idę wyjąć kartki z drukarki. Strona dwudziesta ósma dotyczy dwóch rzekomych cudów wziętych pod uwagę w procesie kanonizacyjnym Juana Diega. Już w połowie lektury opisu pierwszego przypadku jestem w stanie, którego życzył sobie adwokat diabła.

Dziecko łowi ryby na wędkę. Rani się haczykiem w oko. Matka natychmiast prowadzi je do wybitnego specjalisty, który okazuje się bezsilny: oko jest nieodwołalnie stracone. Załamana matka biegnie do bazyliki Matki Boskiej z Guadalupe i modli się przed tilmą: „O ty, którego ogłoszą świętym, Juanie Diego, zaklinam cię, zrób coś dla mojego synka!”. Po czym udaje się do kolejnego okulisty, jeszcze bardziej znanego, którego błaga, żeby jednak podjął się operacji. Lekarz bada oko i stwierdza, iż nie rozumie powodu tej wizyty: przecież zabieg udał się doskonale; nawet blizna jest arcydziełem.

Trzy dni później blizna znika i dziecko znowu widzi na oba oczy. A ja mam przed sobą opinie dwudziestu lekarzy, którzy klną się na honor, że taka operacja nie tylko była z góry skazana na porażkę, ale nigdy się nie odbyła.

Próbuję utorować sobie drogę w twoich myślach, podczas gdy wysoko ponad morzem sączyś alkohol, spoglądając na chmury. Małe niebieskie pigułki rozpraszają twoją uwagę, nie pozwalają ci dosłyszeć mojego głosu, który próbuje cię ostrzec. Nie jesteś narażona na bezpośrednie niebezpieczeństwo, a ja nie znam przyszłości; jedyne sygnały, jakie mogę odebrać, to przeczucia i ostrzeżenia pochodzące z ciebie samej, wysyłane przez twoją podświadomość, którym, niestety, poświęcasz tak mało uwagi.

Czy dowiesz się kiedyś, droga Nathalie, nim opuścisz swoje ciało, do jakiego stopnia żyjący wiedzą więcej od zmarłych? Możemy się zorientować w waszej przestrzeni, czasie, w świecie tylko za pośrednictwem waszej intuicji, która w obrazach powstających w waszych umysłach miesza się z popędami, urojeniami i wspomnieniami. Jesteście naszą rezerwą przyszłości o tyle, o ile te współrzędne czasowe mają jakiś sens, czyli wtedy, kiedy próbujemy wejść w rezonans z wami. Jeśli tak często nawiedzamy wasze sny, to dlatego, że w ten sposób dostajemy się na strych pełen skarbów, gdzie leży wszystko, co straciliśmy; i tam znów robimy zapasy ze wszystkiego, co wy lekceważycie – i próbujemy się z wami tym podzielić.

Mówię „my”, ale to liczba mnoga trochę na wyrost. Od mojego zgonu, Bóg mi świadkiem, nie mogłem nawiązać żadnego kontaktu z innymi duszami. Maria Lucia nigdy się nie pojawiła. Jeśli idzie o postaci, z którymi zamieszkuję w spojrzeniu Maryi Dziewicy, ich istnienie jest tak samo rzeczywiste, jak w przypadku twarzy uwiecznionych na waszych fotografiach. Nawet biskup Meksyku, klęczący przede mną ze łzami w oczach, ten Zumarraga, przy którym spędziłem siedemnaście lat, którego widziałem co rano i który udzielał mi komunii trzy razy w tygodniu, jest tylko pustym obrazem. Choć umarł kilka dni po mnie, nigdy nie dał mi znaku

życia, nigdy nie odwiedził mojej otchłani. Pewnie poszedł prosto do nieba przez bramę dla dostawców i zapomniał o moim losie, który jest jego dziełem.

Nic porozumienia między nami, Nathalie, wciąż jeszcze tak nikła, nie pozwala mi na razie komunikować się inaczej jak poprzez to włamanie się do komputera, na które tak źle zareagowałaś. I to mnie bardzo zasmuca. Chciałbym cię ostrzec przed negatywnymi myślami, które formułujesz i przekazujesz i które czekają tam na ciebie. Tak bardzo jesteś mi potrzebna, z całą swoją inteligencją, energią i odpornością. Nie chciałbym, żebyś na nasze spotkanie przybyła osłabiona. Ale może tak być musi. Wyroki boskie, wiem to z własnego doświadczenia, są tak samo nagłe i niezbadane jak przypadek, który czasami zastępują.

Proszę, jakaś sylwetka trochę do mnie podobna nabiera kształtów w twoim sennym umyśle, przechadzając się po chmurach muskających okienko samolotu. To zabawne, że wyobrażasz mnie sobie jako takiego młodzieniaszka... Wiesz, miałem już pięćdziesiąt siedem lat, siostrzyczko z tamtego świata, kiedy dotknął mnie palec Opatrzności, na moje nieszczęście. I dopiero w wieku siedemdziesięciu lat zgasłem, chociaż to wyrażenie w moim przypadku nie ma, niestety, żadnego sensu.

Nic się nie zmieniło w mojej naturze podczas długiego pobytu na ziemi: to pogodne, przezorne, uparte, wierne dziecko, jakim byłem, przetrwało bez zapierania się siebie w zasuszonym starcu, obleganym przez chorych i nędzarzy. Byłem świadkiem mimo woli, nosicielem cudu, instrumentem woli bożej, „człowiekiem Najświętszej Panienki”, z wiktem i opierunkiem, co niedzielę oprowadzanym w procesji jak Najświętszy Sakrament, pozdrawiającym tłum błagający o miłosierdzie bardziej z rezygnacją niż z dumą... Z racji głuchoty, która nadeszła na osłode mych ostatnich lat życia, wieści o przypisywanych mi cudach szerzyły się wokół bez mojej wiedzy. Niestety, to się zmieniło: śmierć przywróciła mi słuch i teraz znoszę ze stoickim spokojem miliony modlitw, na które nie mam jak odpowiedzieć.

Nadal nie wiem, dlaczego Maryja Dziewica wciąż trzyma mnie w swoim spojrzeniu. Za to dobrze wiem, czego oczekuję od ciebie, Nathalie, na co mam nadzieję i czego się obawiam. Przypuszczalnie nasze spotkanie będzie dla ciebie bolesne; to bardzo możliwe. I nie wiem, czy wyjdzie ci na dobre. Ale właśnie ty jesteś w stanie mnie uwolnić: tak bardzo pragnę w to wierzyć.

Tylko jedne linie lotnicze na świecie proponują jeszcze loty dla palaczy: musiałam trafić właśnie na nie. Wychodzę pierwsza, z gardłem w płomieniach, obolałą głową i żołądkiem poparzoną przez papryczki z Aeromexico, po czym przez pięć minut przebieram nogami za żółtą linią, czekając, aż czterech celników zechce łaskawie otworzyć budki strażnicze. Wreszcie skończyli się sadowić i jeden z nich kiwa ręką w moją stronę. Rzut okiem na mój paszport wystarcza, żeby odesłał mnie z powrotem, machinalnym gestem, jakim przegania się komara. Próbuję protestować, lecz na próżno. Już kolej na silikonową matronę – niecierpliwi się za

moimi plecami i wskazuje mi kierunek, z którego przyszedłam. Pod gradem spojrzeń pasażerów z kolejki przedzieram się z powrotem przez labirynt metalowych barier, oznaczony tabliczką „Mexicanos”, której nie zauważyłam. Moje pierwszeństwo w związku z klasą business na nic się nie przydało: łądję za pięćdziesięcioma zombi w podłych humorach, którzy w tym czasie zdążyli się stłoczyć przed jedynym okienkiem dla cudzoziemców.

Kiedy przychodzi moja kolej, by stawić się przed obliczem zielonkawego jegomościa w stanie śpiączki, żującego korek, z twarzą w dłoniach, zostaję poddana litanii powolnych pytań, których znaczenia na próżno szukam w kieszonkowym słowniczku, podczas gdy on sprawdza moje wize z ostatnich dziesięciu lat, jedną po drugiej. I nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, przestaje uważać mnie za podejrzaną; w przyływie męskiej energii wbija pieczęć do paszportu i oddaje mi go, oblizując wargi z pełnym podtekstów spojrzeniem. Czuję, że polubię ten kraj.

Przy odbiorze bagażu czeka mnie kolejna miła niespodzianka: płócienna walizka, którą wypchałam wodą mineralną i pakowaną próżniowo zdrową żywnością, żeby uniknąć lokalnej gastronomii, kręci się rozbebeszona po taśmie, z przedziurawionymi butelkami i rozszarpanymi opakowaniami, pośród resztek marchewki w plasterkach i ziarenek ryżu. Zbieram szczątki na wózek i pędzę do kontroli celnej, by ustalić winnego tej kłęski. I to ja zostaję zatrzymana. Dwóch goryli łapie mnie za łokcie, podczas gdy trzeci zaczyna mi wymyślać prosto w twarz, celując paluchem w mój podbródek. Pytam po angielsku, co się dzieje, a on dalej swoje po hiszpańsku, trzy tony wyżej, jakbym przez to mogła lepiej go zrozumieć.

Po tej bezowocnej wymianie inwektyw jakaś dłoń kładzie się na jednej z łap, które mnie przytrzymują, i coś w rodzaju Supermana juniora w szarym garniturze, okrągłych okularach i z loczkiem w kształcie przecinka na czole oświadcza mi z nerwowym uśmiechem, że wszystko jest w porządku, po czym zaczyna zasypywać moich prześladowców gradem pytań w ich języku. Bynajmniej nie spuszczając z tonu, celnicy odpowiadają mu, wskazując na ruiny mojej walizy. Superman junior posepnieje i radzi mi zachować spokój, by nie pogarszać sytuacji. Buntuję się, ale wyjaśnia mi w paru słowach: walizkę rozszarpały psy brygady antynarkotykowej, a to wymownie sugeruje, co przewoziłam. Po trzech sekundach osłupienia ripostuję, że to byłoby tak samo głupie jak próba przemytu cygar na Kubę. Próbuje mnie uspokoić, zgadzając się z moją opinią: rzeczywiście, psy są na głodzie i rzucają się na byle co. Ale muszę dostarczyć dowód mojej niewinności.

– Niby jak? Wszystko zeżarły! Jak pana zdaniem mam udowodnić, że nie miałam w walizce narkotyków, skoro nic z niej nie zostało?

– Ma pani dolary?

Spokojny ton jego głosu sprawia, że wściekłość mnie opuszcza. Wszystkie spojrzenia skierowane są na mnie.

– Ma pani dolary?

Spokojny ton jego głosu sprawia, że wściekłość mnie opuszcza. Wszystkie spojrzenia skierowane są na mnie. Potwierdzam. Mój obrońca prowadzi dalsze układy po hiszpańsku, po czym kiwa głową i zwraca się do mnie:

– Zaokrągliłem do trzystu.

– Trzystu dolarów? A to po co?

– Po to, żeby mieć spokój.

Rozwścieczona, już otwieram usta, ale mrugnięciem powiek daje mi do zrozumienia, żebym ustąpiła. Dwaj goryle puszczają mnie wolno. Ze złością wyjmuję trzy banknoty i podaję ich szefowi, który chowa pieniądze, nawet nie rzuciwszy na nie okiem.

– A moje odszkodowanie za zniszczoną walizkę?

– Niech pani sobie to odpuści: mogliby stać się żarłocznymi. Ma pani inne bagaże?

– Mam nadzieję, że tak.

– Proszę po nie pójść i wrócić do tych samych celników; w ten sposób uniknie pani dodatkowych kosztów. Oni są zepsuci, ale na swój sposób porządni.

– W każdym razie dziękuję za pomoc. Przyjechał pan w interesach?

Podaje mi rękę.

– Bardzo mi przykro, muszę panią opuścić: czekają na mnie. Kevin Williams.

– Nathalie Krenz.

– Miłego pobytu w Meksyku – mówi tonem kondolencji, zgniatając mi palce.

I odchodzi z teczką w ręce w stronę wyjścia, gdzie szofer już wymachuje tabliczką z jego nazwiskiem. Dziwna nostalgia sprawia, że na moment nieruchomię, osamotniona, w tej ponurej sali w kolorze uryny. Biorę się w garść, idę odebrać walizkę z ubraniami. Mój sprzęt badawczy nadjeżdża pięć minut później, opakowany w piankę, w metalowej walizeczce ochronnej, podarowanej mi przez ojca na osiemnaste urodziny. Zjeździł wiele wojen, taszcząc w niej aparaty fotograficzne po wszystkich miejscach, gdzie akurat było gorąco. Moja pełnoletniość zbiegła się z jego przejściem na emeryturę. Od czasu, gdy ofiarował mi ten prezent, jesteśmy dla siebie już tylko dwiema uprzejmymi, obcymi osobami, które ograniczają swoje kontakty do pytań o zdrowie i wyjazdy na nurkowanie. Zjawiskowa blondyna, przy której stara się zapomnieć o swoim wieku, umiała skutecznie oddalić go ode mnie. Jest po czwartym zawale i chlubi się tym, jakby to była rękojmią żywotności. Kiedy zadzwoniłam, aby mu powiedzieć, że umarła mama, westchnął: „I co mam na to poradzić?”. Niezrażona spytałam, czy woli, by jej ciało pogrzebano, czy spalono, bo ona sama nie zostawiła co do tego żadnych instrukcji. Odparł, że go to nie obchodzi. Czytaj: przez całe życie zdzierała ze mnie alimenty, po śmierci nie dam jej ani grosza. Sama zajęłam się wszystkim. Nawet nie przyszedł na cmentarz. Wysłał w zastępstwie bukiet z wizytówką, żeby zamknąć ludziom usta. A potem, ponieważ

wreszcie był wolny wobec Boga, podsumował swoją żalobę ślubem kościelnym z tą tlenioną zdziwą, z którą piętnaście lat wcześniej wziął ślub cywilny. I jak po tym wszystkim mam ufać katolikom?

Zbieram wszystkie moje graty na wózku, którego zezowate kółka zmuszają mnie do kluczenia zygzakiem, przeprowiam się przez stanowisko celników w polubownym milczeniu i szukam swojego nazwiska na tabliczkach. Wbrew temu, co biuro turystyczne Watykanu zapowiadało w programie lokalnych atrakcji, nikt na mnie nie czeka. Za to wychodzę lekko poturbowana ze spotkania z podekscytowaną rzeszą w koszulkach z numerami, wymachującą flagami meksykańskimi. Pojawiają się jak spod ziemi i rzucają z wrzaskiem na wścizy w przyciemnionych okularach, w obstawie goryli, który ze znużoną miną składa trzy autografy na koszulkach, po czym umyka ze spuszczoną głową, pośród okrzyków zawiedzionych kibiców.

Po przewędrowaniu nie kończącego się korytarza, wypełnionego gorącym nieruchomym powietrzem, od czasu do czasu wprawianym w drżenie przez kilka z rzadka rozsianych wentylatorów, wydostaję się na częściowo zadaszony parking, gdzie autokary manewrują pośród taksówek. Obok rampy przy wyjeździe rozpoznaję mojego niedawnego wybawcę, który właśnie wsiada do mikrobusu z kilkoma innymi osobami, może uczestnikami jakiegoś kongresu. Odwraca się w moją stronę, ale mnie nie zauważa. Na chwilę zatrzymuję wózek, by odpocząć od hałasu kółek. Na postoju taksówek są tylko „garbusy”, ponadczasowe volkswageny, wciąż produkowane w tym kraju, jak głosił ilustrowany magazyn linii Aeromexico. Te pochodzą przynajmniej z lat sześćdziesiątych: zardzewiałe, poobijane, z łatami zamalowanymi jaskrawozieloną lub wściekle żółtą farbą. Pierwszy z brzegu, wypomadowany koleś ze złotym medalem na owłosionej klatce piersiowej i z wiele obiecującym wyrazem twarzy, zaprasza mnie ruchem podbródka do swej landary. Pcham wózek po wyboistej jezdni wzdłuż szeregu dwukolorowych macho, kręcąc odmownie głową, aż docieram do auta grubej damy w okularach dalekowszkie, która otwiera mi drzwiczki z solidarną miną. W dodatku mówi po angielsku. Kładę walizkę na szynach pozostałych po fotelu pasażera, usuniętym, żeby było więcej miejsca, i udaje mi się wsunąć na tylne siedzenie. Ruszamy z jazgotem godnym miksera kuchennego. Życzy mi udanego pobytu w Meksyku, wciskając jednocześnie zabezpieczenia drzwiczek. Mówię jej, że to nie jest zbyt praktyczne – dwudrzwiowa taksówka. A ona na to, że tak jest bezpieczniej: klient mniej ryzykuje, że zostanie porwany na skrzyżowaniu.

Nękana przez sprężynę, która przebiła poduszkę siedzenia okrytego zielonkawym pledem, przesuвам się coraz bardziej w lewo, aż utykam za maksymalnie wysuniętym do tyłu, z racji jej tuszy, siedzeniem damy. Podaję adres hotelu. W odpowiedzi mówi, że ma na imię Silvia i że mam ładne włosy.

Dziękuję za komplement. Z uśmiechem zastygłym w lusterku wstecznym czeka, aż się przedstawię. Po to, by patrzyła na drogę, informuję, że mam na imię Nathalie i że po

chemioterapii włosy zawsze odrastają trochę gęstsze. Tu jej angielski okazuje się niewystarczający: wykrzykuje tylko, że to śliczne imię.

Większość samochodów przejeżdżających przez jaskrawe slumsy otaczające lotnisko ma podniesiony dach, a mężczyźni rozparci na składanych krzeselkach przesyłają mojemu kierowcy przyjacielskie znaki trzymanymi w dłoniach butelkami piwa. Mnie pozostaje prawo do obscenicznych grymasów, mlaśnieć językami i uniesionych w ramach powitania środkowych palców.

– Za to jest dużo mniej gwałtów, niż się mówi – odzywa się Silvia uspokajająco, po dwóch czy trzech kilometrach ciszy.

Na każdym skrzyżowaniu zmienia okulary, żeby móc wertować plan miasta, opasły jak książka telefoniczna. Objazdami i obwodnicami docieramy na miejską autostradę, wzdłuż której ciągną się rzędem niewysokie budynki, zdominowane przez ogromne afisze: drapieżne uśmiechy, nad kołnierzykami zapiętymi na ostatni guzik, w wianuszkach kochających rodzin, z włosami rozwiewanymi przez wiatr, wszyscy w przedwyborczej ekstazie. Jedyna kandydatka płci żeńskiej ma problem z klejem: powiewa smętnie na wietrze na każdym billboardzie, z wykrzywioną twarzą i sloganem zdeformowanym przez zgięcia papieru. Porzucone w szczerym polu dźwigi przeplatają się z opuszczonymi placami budowy, pomiędzy oskubanymi akacjami i kwitnącymi jakarandami. Pięką mnie oczy i zaczyna mi lecieć krew z nosa. Silvia mówi, że to normalne na wysokości dwóch tysięcy trzystu metrów: cudzoziemcy przyzwyczajają się do tego dopiero po tygodniu. Kiwam głową. Magazyn Aeromexico już mnie uprzedziła: w najbardziej zanieczyszczonym mieście świata nie mówi się o skażeniu powietrza, lecz o wysokości.

Trzy różańce zawieszane na wstecznym lusterku klekoczą przy każdym wstrząsie pojazdu. Na wyblakłym odpustowym obrazku, przylepionym do pokrywy schowka, Juan Diego rozpościera swoją malowaną tilmę przed załzawionymi oczyma klęczącego biskupa. Żeby mieć próbkę kolorytu lokalnego, pytam Silvii, co to za postać. W odpowiedzi robi znak krzyża, włącza kierunkowskaz, po czym opowiada mi o aktach łaski, boskich objawieniach i cudach, w które obfituje kariera, jak go nazywa zdrobniale, San Dieguita. Uważnie obserwując jej odbicie w lusterku, pytam o dziecko z okiem przebitym haczykiem, którego uleczenie przypisywane jest potencjalnemu świętemu. Silvia nie zna tej historii, za to jest bliską przyjaciółką Chiquity Gonzalez, która wyleczyła sobie wrzód żołądka za sprawą medalika z podobizną Dieguita. Nie mówiąc o ich wspólnym znajomym: Antonio Patrugas spotkał kosmitów na drodze do Orizaby i tak żarliwie modlił się do Dieguita, że zrezygnowali z porwania go.

Na próżno szukam w jej głosie śladów ironii. Po tym wszystkim, co czytałam na temat Meksyku przez ostatnie cztery dni, spodziewałam się nasilenia uczuć religijnych, ale nie aż tylu przesądów. Tonem uprzejmej pobożności w głosie pozwalałam sobie na uwagę:

– Ale być może wszystkie te cuda, Silvio, są sprawą Matki Boskiej? Po co zwracać się do Juana Diega?

Zgodnie z nieodpartą logiką odpowiada, że skoro Najświętsza Paniienka wybrała go jako pośrednika, jest to wystarczający powód, by Meksykanie robili tak samo. Po czym wystawia głowę za okno i zaczyna obrzucać wyzwiskami, nie wiem z jakiej przyczyny, bliźniaczego „garbusa”, którego właśnie wyprzedziła. Auta jadą już drugą aleją obok siebie, a inwektywy ciągną się dalej. Wreszcie szyba idzie do góry na znak końca rozmowy, a Silvia pyta, do kogo się modliłam, by wyleczyć raka. Bardzo zdziwiona tym, że jednak odszyfrowała moją niedawną aluzję, bełkoczę, że to był tylko cień na prawym płucu, zauważony na czas, i lekarze mnie uratowali.

– Tylko tak mówią – stwierdza z porozumiewawczą miną, biorąc na świadka Juana Diega z obrazka na pokrywie schowka. – W dniu, w którym przyznają się do tego, że nie wiedzą, czemu rak znika, będą skończeni.

Wszędzie są korki: posuwamy się w żółwym tempie, w wilgotnym zaduchu. Moja bluzka aż klei się do plastiku oparcia. Patrzę na zegarek, sprawdzam program, mówię, że wolę pojechać do hotelu potem: boję się spóźnić na umówione spotkanie. Podaję jej kartkę z adresem Centro de Estudios Guadalupanos, aleja Talara, numer 133. Znów bierze do ręki plan miasta, kręci głową, oddaje mi kartkę i mówi, wskazując na moje bagaże, że lepiej będzie najpierw wstąpić do hotelu.

Gigantyczna aleja, którą toczymy się zderzak przy zderzaku, nagle robi się przejezdna, gdy tylko mijamy skrzyżowanie, gdzie jakiś niezadowolony kierowca półciężarówki gestykułuje nerwowo, wskazując palcem ciało okryte płachtą.

– To prawo ciężarówki – wyjaśnia Silvia. – Jeśli kierowca potrąci przechodnia, do końca życia będzie mu płacił rentę. Jeśli cofnie się i przejedzie go, zapłaci zwykłą karę.

Powstrzymuję się, żeby nie zaatakować tej logiki, która zdaje się im służyć za kodeks moralny. Spędziłam dwa lata na stażu w Bamako, powinnam być uodporniona na wszystko – ale przemoc pozostawała absurdem. I dlatego mniej mnie oburza horror zbrodni niż usprawiedliwienia, które się przy tym wyszukuje.

W stukocie kastanietów nasz „garbus” przyśpiesza, by zdążyć przejechać na czerwonym świetle. Dwie ciężarówki i karetka pogotowia wymijają nas, trąbiąc wściekle. Miotana między mdłościami a niepokojem, koncentruję się na beatyfikowanym z obrazka naklejonego na pokrywie schowka.

– Modli się pani do niego, żebyśmy dotarły na czas? – uśmiecha się Silvia.

– Modłę się, żebyśmy dotarły całe.

– Przez dwanaście lat nie miałam ani jednego wypadku – zapewnia mnie, całując kciuk, po czym dotyka nim pieszczotliwie czapki Juana Diega.

Wjeżdżamy na starówkę, w chaotyczny labirynt domów kolonialnych, zrujnowanych

kościółów i szarych budynków, opierających się o siebie i podpartych tu i ówdzie zardzewiałymi wspornikami. Kolorowe plansze pouczają przechodniów, by w trakcie trzęsienia ziemi szli środkiem ulicy. Labirynt wąskich uliczek prowadzi nas na rozległy plac, gdzie policjant zastępuje nam drogę i nie pozwala skręcić w prawo. Silvia wystawia przez okno głowę i jedno ramię, by łatwiej negocjować, podnosi głos, wskazuje na mnie. Mężczyzna pozostaje nieporuszony, tylko jego kciuk wciąż kiwa się lekko w nakazanym kierunku. Silvia odwraca się do mnie i prosi o pięćdziesiąt pesos. Wzdycham i z rezygnacją podaję jej banknot. Wciska go w dłoń policjanta: droga wolna. Ruszamy z piskiem opon, po czym zatrzymujemy się dwadzieścia metrów dalej, u wylotu alei, gdzie znajduje się wejście do hotelu. Zauważam głośno, że mogłam zaoszczędzić pięćdziesiąt pesos. Na co ona odpowiada mi uprzejmie, że strasznie źle im płacą w tej policji: muszą jakoś zarabiać na życie.

– Proszę się nie spieszyć, poczekam na panią.

– I dojedziemy za kwadrans do Centro de Estudios?

– Jeśli Dieguito pomoże – obiecuje z rozbrajającym uśmiechem, który rozwiewa wszystkie wątpliwości. – Wie pani, w Meksyku każdy żyje swoim rytmem. Z podziałem godzin jak z prognozą pogody: służy tylko po to, byśmy mieli przybliżone pojęcie.

Zza postrzępionej story z napisem Grań Hotel Ciudad de Mexico zgrzybiały portier w niebieskawym uniformie patrzy, jak wyjmuję bagaże z samochodu, po czym gwizdnięciem przywołuje boya w tak samo sędziwym wieku: ten nadchodzi z dwukołowym wózkiem i podnosi moją walizkę, wykrzywiając z wysiłku twarz. Pomagam mu, po chwili znika z wózkiem w korytarzu dla służby, podczas gdy jego kolega z dumą wskazuje mi marmurowe schody prowadzące do podwójnych drzwi.

Wchodzę do gigantycznego, opustoszałego holu, w którym światło pada przez oszklony dach, zwieńczający cztery piętra secesyjnych krużganków. Podłoga podzielona jest na dwie strefy: w lewej leży bordowa wykładzina upstrzona plamami, w prawej wylewka z cementu czeka na kolejną warstwę. Idę w stronę recepcji, gdzie wije się rura porzuconego odkurzacza. Żywego ducha. Na kontuarze króluje mosiężny dzwonek z perłowym guziczkiem. Uderzam weń dłonią, jak w westernach. Otwierają się jakieś drzwi, nadbiega, kuśtykając, recepcjonista i pyta, czy chcę taksówkę. Tłumaczę, że nie wyjeżdżam, dopiero przyjechałam. Patrzy na mnie zawiedziony, z lekkim potępieniem, składa na pół kartkę z rezerwacją, którą mu podaję, każe mi się stamtąd nie ruszać i zmyka w te pędy, zamykając za sobą drzwi.

Sprawdzam czas na zegarze ściennym, który się spóźnia, postanawiam znosić wszystko cierpliwie i zaczynam przemierzać wzdłuż i wszerz hol, kontemplując oszklony dach. Nigdy nie widziałam tak pięknych witraży. Podnoszę jeden odłamek, który spadł do donicy z żółtawą rośliną. Inne leżą wśród niedopałków w popielnicach wysypanych piaskiem. Głęboka barwa granatu, zieleń absyntu, błękit lazuru, oddzielone złotą nitką... W ubiegłym stuleciu ten hotel

musiał być cudowny. Dwa monumentalne szyby na windę o wolutach z kutego żelaza stoją naprzeciw siebie, a pomiędzy nimi szeregi ozdobnych balkonów przywodzą na myśl teatr bez sceny.

Po wyjściu z windy bagażowej, bardziej nowoczesnej, która psuje harmonię jednej z nisz, sędziwy boy pcha wózek w stronę szatni i zostawia tam moje bagaże. Unoszę oczy w stronę dachu, skąd dochodzi hałas wiertarki. Jakaś sylwetka krząta się na zewnątrz, między trzema kopułami pokrytymi mozaiką z turkusowego szkła. Jego drobinki roztrzaskują się na cementowej płycie, obok rozwalonej kanapy, skąd zza gazety obserwuje mnie wysoki chudzielec z cygarem, którego wcześniej nie zauważyłam. Gdy nasze spojrzenia krzyżują się, składa starannie gazetę, wstaje, zapina marynarkę w kolorze śniedzi i zbliża się do mnie, z jedną ręką w kieszeni. Gdy jest tuż-tuż, wyjmuje wizytówkę. Podaje mi ją, z zaciśniętymi ustami i lekkim skinieniem powiek w ramach powitania:

ROBERTO GARDENAS *Instituto Mexicano de Cultura Dirección del Patrimonio* [(hiszp.) – Meksykański Instytut Kultury. Oddział Dziedzictwa Narodowego.]

Podnoszę wzrok i napotykam w zimnym spojrzeniu, niczym echo jego funkcji, milczące ostrzeżenie, które ściska mnie za gardło. Takie samo uczucie niepokoju jak wtedy, gdy kardynał Fabiani dał mi do zrozumienia, że służby specjalne Watykanu przeprowadziły szczegółowy wywiad na mój temat. To nie do wiary, że władze Meksyku już wiedzą o moim przybyciu, jak również o naturze mojej misji.

Urzędnik do spraw kultury wymawia sucho zdanie, które każe mu powtarzać trzykrotnie, podczas gdy próbuję nadać mu jakiś sens, wertując słownik. Z grubsza biorąc, proponuje mi, żebym odwróciła wizytówkę: adres i godzina są napisane ręcznie po drugiej stronie.

– *Mañana* [(hiszp.) – jutro.] – precyzuje tonem grzecznym, acz zdecydowanym.

Pytam go o powód tego wezwania. Pozostaje nieruchomy, milczący, jakby to on czekał na odpowiedź z mojej strony. Nagle nieśmiały błysk w jego oczach, w połączeniu z lekkim skłonieniem tułowia, każe mi spojrzeć na sytuację pod innym kątem. Jego zachowanie niekoniecznie jest próbą zastraszenia mnie, żebym pozwoliła kanonizować w spokoju największy skarb ich dziedzictwa kulturowego. Otwieram portfel, wysuwam do połowy banknot o wartości stu pesos, równocześnie obserwując jego reakcję, by nie popełnić nietaktu. Przytakuje z powagą, wyciąga z kieszeni pękaty zwitek banknotów i wpycha go do mojego portfela.

Nic nie rozumiem. To on mnie kupuje? Tak bardzo im przeszkadzam, tak bardzo ich niepokoi badanie, które przyjechałam przeprowadzić? Już chcę odrzucić łapówkę, ale pomyślałam, że może to być niebezpieczne. Jeśli urzędnicy do spraw kultury uciekają się do przekupstwa, by obronić skarby narodowe, mogą równie dobrze zapłacić komuś, kto napadnie mnie na ulicy. Najnaturalniejszy pod słońcem sposób, w który właśnie próbowano mnie przekupić, daje jasno do zrozumienia, że kupowanie ekspertów jest tutaj zjawiskiem

powszechnym. Teraz rozumiem, dlaczego raporty naukowe na temat tilmy Juana Diega były tak zgodne.

W trosce o to, by odzyskać przewagę, wyjmuję z portfela banknoty i przeliczam je. Po czym sprawdzam jedno słówko w słowniku, proszę mężczyznę, by poszedł za mną do recepcji, i opieram się na kontuarze, by wypisać kwit. Obserwuje mnie zbity z tropu, czytając mi przez ramię: *Recibido desde el señor Roberto Cardenas: 1000 pesos* [(hiszp.) – otrzymano od pana Roberta Cardenas 1000 pesos.]

Podpisuję i wręczam mu długopis. Jego zakłopotanie wskazuje, że moja gra była warta świeczki. Najwyraźniej nie wynika ono z błędów gramatycznych ani z zawstydzenia faktem, że to, co dał mi w łapę, oficjalnie ujrzało światło dzienne, bo na koniec uśmiecha się pyszałkowato, składając swój autograf u dołu strony. Jak gdyby bawiło go, że się kompromituje – chyba że w ten sposób chce po prostu pokazać, iż jest ponad prawem, w pełnej zgodzie ze swoim stanowiskiem, i że jedyną osobą, którą ten papier może wpędzić w kłopoty, jestem ja.

Bazgrołę i podpisuję kopię kwitu. Wręczam mu ją. Wsuwa ją do kieszeni i klepie mnie porozumiewawczo po ramieniu. Nie mogę się domyślić, czy moja inicjatywa w jego oczach uchodzi za prowokację, czy za brak obeznania z lokalnymi obyczajami.

Idzie po gazetę, po czym kieruje się w stronę wyjścia. Jak tylko znika, pojawia się recepcjonista, by poinformować mnie oziębłe, jakby to była moja wina, że pokój nie jest jeszcze przygotowany. Przesuwam w jego stronę zwitek banknotów porzucony na kontuarze, żeby przynajmniej zadbał o bagaż do mojego powrotu. Jego podziękowaniom towarzyszy stukot obcasów, a ja opuszczam ten dom starców z mieszanymi uczuciami. Po raz pierwszy od czasu pobytu w Afryce odczuwam to wrażenie skrywanej wrogości i podniecenie, które mu towarzyszy. Ale wtedy, w buszu, ryzykowałam życie w słusznej sprawie i w imię wyższej konieczności. A teraz ze strachu udałam, że akceptuję łapówkę: naprawdę nie ma z czego być dumną.

– Aleja Talara? – rzuca mi Silvia na powitanie, między dwoma kęsami ogromnej kanapki, z której wypadają przeróżne składniki.

Zajmuję miejsce na tylnym siedzeniu, a ona znów wprawia w ruch swój mikser kuchenny i wbijamy się w spaliny, które już zakorkowały szczelnie ulicę biegnącą na północ.

– To nie jest miejsce dla turystów. Co pani ma zamiar robić w Centro de Estudios?

Odpowiadam, że jestem dziennikarką i zbieram materiały do tekstu o Matce Boskiej.

– Niech pani tylko nie pisze o tym, że Antonio Patrugas spotkał kosmitów! Albo niech pani zmieni jego nazwisko: jego żona o tym nie wie.

– Proszę na mnie liczyć.

Czterdzieści minut po ustalonej godzinie spotkania wysiadam w eleganckiej dzielnicy mieszkaniowej. W cieniu eukaliptusów młodzi chłopcy czatują nie wiadomo na co, oparci

plecami o ogrodzenia willi zamkniętych na kłódkę. Pod numerem 133 stoi dwupiętrowy dom: ma okna zakryte okiennicami, na głucho zamknięte drzwi i przepelnioną skrzynkę na listy, z której wysypują się gazety. Tabliczka „Centro de Estudios Guadalupanos” nie podaje godzin otwarcia. Dzwonię parę razy, po czym wracam do samochodu.

– Może poczekamy na nich trochę? – proponuje nieśmiało Silvia.

Uśmiecham się na znak, że przywykam powoli do panujących zwyczajów, że się aklimatyzuję. Wydaje się szczęśliwa, widząc mnie ciut mniej zestresowaną, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo jestem zagubiona i pozbawiona wszelkich punktów orientacyjnych. Nigdy nie wyjeżdżam na wakacje i każda wolna godzina w rozkładzie dnia jest dla mnie zawsze źródłem niepokoju. Skuteczność w działaniu, zadowolenie z życia, wrażliwość na cudze problemy osiągam tylko wtedy, gdy jestem zavalona pracą. Boję się tych otchłani pustki i pytań o celowość moich poczynań, w których tonę w rzadkich chwilach beczynności. I skąd coraz trudniej jest mi się wydostać....

– Daleko do bazyliki?

– Na planie? Nie.

Na ogromnej esplanadzie setki parasoli osłaniają handlarzy pamiątkami i sprzedawców paczków. Przy jej końcu wznoszą się kolejne nieczynne kościoły o dziwacznych kształtach, zamurowywane, w miarę jak robiły się za małe lub zbyt niebezpieczne. Tabliczki w trzech językach na murach budowli, umieszczone między jednym a drugim zakazem parkowania, przypominają i polecają pamięci niebios pielgrzymów, którzy padli ofiarą ostatniego trzęsienia ziemi.

Gdy chowam resztę do portfela, jakiś policjant niemal wyrzuca mnie z taksówki, sadowi się na moim miejscu, wykrzykuje polecenia. Silvia obraca się ku mnie z przepaszającym wyrazem twarzy, puszcza oko i odpala silnik. Prześlizguję się między autokarami stojącymi rzędem przed tym, co nazywa się Nueva basilica: jest to rodzaj krytego stadionu z betonu odpornego na wstrząsy sejsmiczne, z dachem przypominającym sombrero i umieszczonym na nim krzyżem wpisanym w literę M.

Gwizdy, nawoływanie grup przez megafon, woń kadzidła i smażonych kiełbasek... Przenośne barierki pozwalają zapanować nad kolejkami, które wiją się niczym w Disneylandzie. Słupy informacyjne z piktogramami bez podpisu dzielą tłum na dwa rodzaje: ludzików na kolanach lub z aparatem fotograficznym. Ustawiam się w kolejce tej drugiej kategorii, gdzie turyści w żółwym tempie posuwają się do przodu po platformie lekko nachylonej w stronę podziemnego wejścia, podczas gdy pielgrzymi cierpliwie oczekują obok dwuskrzydłowej bramy pilnowanej przez strażników.

Potem, pod sklepieniem z betonu, wędrujemy w bladym świetle krętym szeregiem, krok za krokiem, po posadzce wykładanej kamiennymi płytami, wyślizganej przez miliony stóp.

Ułożono ją mniej niż trzydzieści lat temu, a już została wypolerowana jak rzymska droga. Podczas gdy chłód nasila się, w miarę jak schodzimy w głąb, lekko przytłumiony anielski głos, na tle muzyki organowej, monotonicznie recytuje rozmaite zakazy i nakazy dotyczące bezpieczeństwa. Powietrze rzadnie, światło przygasa, zapada cisza. I nagle zakrzywiony korytarz kończy się ścianą z drewna i miedzi, na której, na wysokości dziesięciu metrów nad ziemią, pod szkłem, zawieszony jest obraz. Aby turyści z kamerami i aparatami fotograficznymi nie powodowali zatorów, trzy ruchome chodniki przewożą ich pod tilmą, a czwarty dowozi do miejsca, skąd wyruszyli. Tak więc kręcą się jak na karuzeli, z okiem w wizjerze, potykają się, dojeżdżając, skręcają kostkę i proszą Juana Diega, by uleczył ich w czasie następnej rundki.

Obserwuję z konsternacją tę gorliwość rutynową i dziecinną, ten obowiązkowy ruch okrężny zoomów, lornetek i fleszy, powiewające szorty, żylakowate uda i włochate łydki, opasłe brzuszyska wypięte do przodu i znaki krzyża robione po każdym ujęciu. A potem nagle sama znajduję się na ruchomym chodniku, unoszę głowę ku rozmodlonej Dziewicy i z ust wymyka mi się przekleństwo. Ona ma zamknięte oczy! Każą mi targać oftalmoskop aż do Meksyku, żeby zbadać wzrok Madonny o spuszczonej powiekach! Co to – kpiny? O co im chodzi? Mam zdrapać warstwę farby, żeby obejrzeć oczy?

Zahaczam obcasem o podłogę w miejscu, gdzie kończy się ruchomy chodnik, chwytam się rękawa zapłakanego faceta obok, przepraszam. Ten ściska mi ręce w przypływie bezbrzeżnej wdzięczności i przy okazji bierze mnie na świadka stanu swojej lewej nogi. Gratuluję i pożyczam od niego lornetkę, żeby jeszcze raz przejechać pod obrazem. Manipuluję przy ustawieniach ostrości, powiększam obraz twarzy. W rzeczywistości pod spuszczonymi powiekami można dostrzec, w blasku reflektorów, kilka milimetrów spojrzenia. Niestety, tekstura jest luźna, barwy wyblakłe i nic nie wyziera z tych półprzymkniętych oczu. Nie mają żadnego szczególnego wyrazu, charyzmy, żadnej krępującej intensywności. Malowana słodycz, to wszystko. Banalna Madonna, jakich wszędzie pełno, ze złożonymi dłońmi i przechyloną głową, w turkusowym płaszczu usianym gwiazdami. Zwracam lornetkę. Sama nie wiem, czy czuję się uspokojona czy zawiedziona.

Rysunkowe tabliczki wskazują trzy możliwe wyjścia, do wyboru: modlitwę, pamiątki lub drogę ewakuacji na wypadek pożaru. Z ciekawości wybieram pierwsze. Idę długim przejściem, które lekko wznosi się w górę, i u jego kresu naprawdę doznaję szoku. Nagle jestem w ogromnym tipi [Tipi (indiań.) – duży lekki namiot wykonany z żerdzi pokrytych skórą, ozdobiony malowidłami (przyp. red.)] z betonu i drewna. Monotonie szarego sklepienia łagodzą jasne, drewniane ozebrowania, skąd zwieszają się flagi wszystkich państw świata. Tilma góruje nad pustym ołtarzem, który znajduje się w odległości dziesięciu metrów od miedzianej płyty zamykającej prezbiterium. I nic nie wskazuje na to, że gdzieś na dole, w studni światła, krąży tłum fotografujących.

Właśnie odprawiana jest nagrana wcześniej msza. Tysiące stojących nieruchomo osób uczestniczy w modlitwach płynących z głośników; każdy śpiewa we własnym języku. Inni, wznosząc wyciągnięte dłonie, posuwają się na kolanach od strony esplanady, skąd przy otwieraniu drzwi dobiega hałas targowiska. I nagle, pośród tego bezładnego tłumu wyciszonego w rozmodleniu, ogarnia mnie dziwne wzruszenie. Jakaś lekkość, jakby nie z tego świata, wyciska mi łzy z oczu, a ja nie rozumiem dlaczego. Przypuszczalnie to wina zmęczenia, niedotlenienia albo papryczek z Aeromexico, które torturują mi żołądek w regularnych odstępach czasu. Ale faktem jest, że patrząc na szklaną ramę i tę kiczowatą Madonnę, otoczoną wianuszkiem złocistych promieni, sama łapię się na tym, że mówię półgłosem, nie wiem komu dziękuję za swoje uzdrowienie, ułaskawienie czy odroczenie wyroku i błagam o wybaczenie za to, że nic nie zrobiłam, nie zmieniłam się ani nie skorzystałam z tej szansy czy ostrzeżenia. Pomóżcie mi, dajcie jasność widzenia i pozwólcie wykorzystać ten suplement życia, który mi przyznaliście, kimkolwiek jesteście: moimi kolegami z pracy, Bogiem, moim ciałem, moją wolą, moim psem, moją matką, moim mężczyzną. I zamykam oczy, dołączam moją rozpacz do ogólnego wzruszenia, które się odbiło na moim zmęczeniu, rozdrażnieniu, niechęci i wątpliwości. I coś nowego wślizguje się we mnie: mieszanina siły i harmonii; przyjmuję wdzięczność i błagania tysięcy obcych ludzi, którzy mnie *otaczają*. Nagle nie mam tylko swojego wieku, mam każdy, moje są wszystkie nadzieje, klęski i choroby. Łączę się w szczerym zapale z gromadą tych ludzi przed kawałkiem tkaniny, co ma czterysta lat. Ale nie ma nic nadprzyrodzonego czy religijnego w uczuciach, które mną miotają; zbieram odbicia tych fal, które zbiegają się w szklanej ramie, to wszystko. Tu jest moja historia, a tam ich: to jest spotkanie, wymiana, punkt wspólny. I ja, samotnica cierpiąca na agorafobię, poddaję się urokowi, słodyczy, bólowi i tej pełni, do której przenikają rozstrojone głosy, śpiewy świata, wewnętrzne dramaty i radości.

Chwiejnym krokiem wychodzę na świeże powietrze, wędruję alejami pośród setek Madonn na plakatach, dywanach, ręcznikach, lizakach, świeczkach, pierniczkach i lampkach nocnych, w dymach z grilla; przepycham się wśród ludzi, pozwalam się popychać, idę slalomem aż do wzgórza Tepeyac, po którym pną się schody wśród przyglądzonej roślinności. Idę jak automat, zaczynam wspinaczkę w pejzażu, który nie ma pewno nic wspólnego ze wzgórzem objawień; staram się nie dostrzegać tłumu, różanych klombów, wafli z lodami i puszek napojów, palm, staromodnych rzeźb u wodospadu, modnych butików i gwaru stolicy duszącej się we mgle; próbuję iść śladami kroków Indianina z 1531 roku i zastanawiam się, czy on też wątpił, zanim zobaczył, czy też raczej dostał potwierdzenie swojej wiary, jak resztę wydaną za swoje modlitwy.

Na ogrodzeniu cmentarza umieszczona jest marmurowa płyta: *El panteon es civil. Aqui no se encuentra Juan Diego* [(hiszp.) to cywilny panteon. Nie ma tutaj Juana Diega.]

To ostrzeżenie wywołało mój uśmiech, jeszcze zanim sprawdziłam znaczenie tych słów.

No pewnie, że mnie tu nie ma: ani pomiędzy równiutkimi alejkami tego ślicznego cmentarzyka bez żywej duszy, ani wśród kramów z pączkami, filmami do aparatów i świętymi medalikami, ani w tym luksusowym różanym ogrodzie, dobrym na pocztówki, ani przed sztucznym źródłem z wypucowanymi skałkami, gdzie naiwniacy przychodzą napełnić kanistry cudowną wodą, choć jedyny cud polega na tym, że jeszcze nikt się nią nie otruł.

Jeśli chciałabyś wędrować moimi śladami, Nathalie, musiałabyś zamknąć oczy, zatkać uszy i nos i wyobrazić sobie Meksyk zbudowany na wyspie, na samym środku jeziora, które już dawno osuszono. Ze stałym lądem łączyły go mosty i cztery drogi biegnące przez groble, z czego jedna przechodziła obok Tepeyac, tego nagiego pagórka, gdzie były tylko głązy, ciernie i drzewo.

Usiądź na ławce, o tu, w cieniu tego quetzhincala, który rósł już w czasach mojej młodości. Dwadzieścia razy był ścinany i odrastał na pniu, uparty, cherlawy, bez wdzięku. To było drzewo ofiarne, drzewo płodności, gdzie pary przychodziły prosić Tonantzin, boginię matkę w naszyjniku z czaszek i odciętych dłoni, by dała im co najmniej dwoje dzieci: po jednym dla nich i dla niej. Jedno, by zapewnić ciągłość rodu i podzielić się wykonywaną pracą, a drugie po to, by dodać słońcu sił potrzebnych do wstawania co rano. To tutaj Maria Lucia i ja po raz pierwszy posmakowaliśmy naszych ciał, zgodnie z tradycją, ale drzewo musiało być roztargnione. Pozostało głuche na nasze modlitwy – albo odmówiło nam dla naszego dobra. Kto wie, co zmieniłoby w naszej miłości pojawienie się dziecka? Maria Lucia aż do końca zachowała dziewczęcą sylwetkę i byliśmy zawsze, jedno dla drugiego, na zmianę dzieckiem i rodzicem. A potem Hiszpanie ścięli to drzewo przesądów, ale pozwolili mu odrosnąć. I miało już ponad sześć metrów, gdy przeżyliśmy naszą ostatnią rozkosz w cieniu jego gałęzi. Potem ścięli je chłopcy, a później rewolucjoniści, a jeszcze później – spece od architektury krajobrazu. Dzisiaj powoli dogorywa od kwaśnych deszczy, graffiti wrytych na korze i poprzyklejanej wszędzie gumy do żucia, która nie daje mu oddychać. Albo tylko udaje, że dogorywa, żeby znowu ktoś je ściął i żeby znów odrosło. Już jednak nikt nie przychodzi kochać się w jego cieniu.

Posiedź przez chwilę na tej ławce, Nathalie, spróbuj wślizgnąć się w mój czas. Wyobraź sobie moją codzienną wspinaczkę, objawianie się Najświętszej Dziewicy i ten krzak róży wyrosły pośród cierni, wyobraź sobie budowę kaplicy, o którą poprosiła mnie Królowa Niebios – nie tu, tam, dwadzieścia metrów w lewo, na miejscu sprzedawcy lodów. Była gotowa w dwa tygodnie. Szóstego grudnia oprawiono święty obraz w ramy i biskup Zumarraga poprowadził procesję, która połączyła wszechmocnych i najędzniejszych, kolonizatorów i tubylców, przechrztów i heretyków, gorliwych katolików i skrytych wyznawców bóstw azteckich, a każdy brał do siebie symbole odcisnięte na moim ubraniu, każdy słyszał głos swojej religii w podwójnym języku nieba.

Wszyscy mieszkańcy Meksyku towarzyszyli mojej tilmie do jej nowego miejsca pobytu. Były ich tysiące na grobli wiodącej do Tepeyac i setki na wodzie dookoła, w kanoe. Niektórzy na znak radości napinali łuki i celowali w słońce. Jakaś strzała trafiła jednego z nas, przebiła mu gardło i uśmierciła na miejscu. Wtedy zapanowało poruszenie, w wielkiej nadziei przyniesiono do niego obraz Najświętszej Panienki, by dotknął go swoją martwą dłonią, a wtedy on powstał z martwych. Przynajmniej tak mówią. Zanim przedarłem się przez tłum, który dziękował mi za uratowanie człowieka za pośrednictwem mojej tilmy, on już był na nogach, rzeński i żwawy, mimo strzały wciąż tkwiącej w gardle. Po czym padł mi do stóp, by je ucałować, i inni poszli za jego przykładem, i nie było to niemiłe, przyznaję, czuć na palcach i piętach wargi wszystkich tych dostojników.

To właśnie 26 grudnia wszystko się zaczęło, cała przesada: legenda i kult mojej osoby. Od przybycia Hiszpanów jedna za drugą wybuchwały epidemie: grypy, ospy, odry, tyfusu; połowa ludności padła ich ofiarą, a modlitwy pozostawały bez echa. Rodacy poprosili, bym wstawił się u mojej Panienki, a nadzieja, którą obudziło jej objawienie się, wzmocniła być może reakcje obronne organizmu; tak czy inaczej, postępy zarazy zostały zahamowane. Choroby nie znikły z dnia na dzień, za to świadomość ich nieuchronności – tak. Staralem się pozostać skromny, ale to wymagało bezustannych, trochę ponad moje siły, uników bardzo przypominających niewdzięczność. Czemu miałem wyjaśniać tym, których prośby zostały wysłuchane, że nie czyniłem cudów, skoro ich wiara we mnie przemieniała ich, leczyła i ratowała? Nie widziałem potrzeby demaskowania oszustwa, bo o żadnym oszustwie nie było mowy: skoro Maryja Dziewica mnie wybrała, to przecież nie po to, żeby im odmawiać współczucia albo pozbawiać ich uczucia wdzięczności, i z pełną świadomością zgodziłem się na to, by stopniowo stawać się bożyszczem.

– *Tu alma! oh Santa Maria! esta como viva en la pintura* [(hiszp.) – Twoja dusza, o Święta Mario, jest jak żywa na malowidle. – wyśpiewywali jednym głosem najeżdźcy i najechani, pogodzeni wokół mojej szaty, odkąd zawieszono ją w ramach ponad ołtarzem, nazajutrz po Bożym Narodzeniu 1531 roku. I modlili się, patrząc w oczy Maryi Panny, w których wkrótce miała uwięzić mnie śmierć. Jakże bolesne jest dla na tym malowidle mnie to wspomnienie, Nathalie! Jak ja nie cierpię oglądać się w oczach tych dewotów, kiedy mnie obnoszą triumfalnie, z pobożnie złożonymi rękoma, niczym współnika; jakże żałuję tego 26 grudnia, gdy, jak to się mówi w twoim życiu, uwierzyłem w siebie.

Chodźmy stąd, poszukajmy Marii Lucii, cofnij się w czasie i przeżyj ze mną Święto Ostatniego Razu: rozkosz i tęsknotę, cierpienie i decyzję, by jeszcze raz doznawać razem rozkoszy, ale ze świadomością, że już nigdy nasze ciała się nie połączą, skoro granica wieku, zdaniem naszego spowiednika, zmieniła obowiązek małżeński w grzech śmiertelny.

Pozwól, niech w tym miejscu przepojonym jeszcze wspomnieniem naszej ofiary ogarną cię

moje uczucia. Spróbuj zrozumieć moją samotność, teraz, gdy poczułaś w bazylice siłę modlitw, które trzymają mnie na ziemi...

Już mnie jednak nie słuchasz. Wstajesz i powracasz do teraźniejszości, schodzisz ze wzgórza i opuszczasz mnie, bo bołą cię stopy, chce ci się spać, zapada noc i tęsknisz za mężczyzną, którego kochasz.

Do zobaczenia później, Nathalie, jak to się mawia za życia.

Skupieni w głębi holu, przed wejściem do pustej restauracji, starcy w uniformach z galonami wyglądają na spiskowców, którzy planują kolejny zamach stanu. Na mój widok rozbiegają się na wszystkie strony. Jeden, kuśtykając, szybko idzie po moje bagaże, drugi staje na baczność, trzeci zapina guziki uniformu, a dwaj ostatni zaczynają klaskać w dłonie, żeby spawacz wiszący na wsporniku przestał zrzucać odłamki szkła. Nie igra się z życiem klientki, która zostawia tysiąc pesos napiwku.

Tym razem mój pokój jest gotowy, ale za to zgubił się faks z rezerwacją. Mówię, że nic nie szkodzi, ale najwyraźniej szkodzi, bo oznacza, że nie mogę skorzystać z taryfy, która została wcześniej wynegocjowana. Daję recepcjoniście jak najwyraźniej do zrozumienia, że mam to gdzieś i że chcę pójść spać. Podaję mu paszport, zaczyna go przepisywać ze starannością fałszerza, podczas gdy boy hotelowy, lekko pod osiemdziesiątkę, czeka przy mojej walizce. Inny wręcza mi uroczyście szarą kopertę. Zawiera ona tekst powitania w moim języku, które podpisał ojciec Abrigón Diaz, przewodniczący Centro de Estudios Guadalupanos. Wyrażając radość ze spotkania ze mną jutro w porze obiadowej, podaje adres restauracji, ale nie konkretną godzinę. Najwyraźniej byłoby to nieeleganckie w tego typu zaproszeniu.

Recepcjonista zwraca mi paszport i podaje klucz do pokoju boyowi hotelowemu, który waha się przez chwilę między dwiema windami z kutego żelaza, stojącymi naprzeciwko siebie, na przeciwległych krańcach holu. W końcu wybiera tę po lewej, ale zaraz po zamknięciu się kraty wydaje się żałować tego wyboru. Mruczając pod nosem, wsuwa dłoń za pręty pokryte zardzewiałymi kwiatami i naciska guzik z masy perłowej. Potem, w głębi kabiny, zaczyna manipulować dźwignią przypominającą stare automaty do gry – i odrywamy się od ziemi, a seria wstrząsów przeplata się z potwornym zgrzytaniem. Wsiadamy na trzecim piętrze. Rusza przodem, ja za nim, korytarzem udekorowanym postaciami historycznymi, które lypią okiem z portretów w stiukowych ramach: rewolucjoniści, duchowni, generałowie, żeglarze, wszyscy naznaczeni rodzinnym podobieństwem – lub pochodzący spod jednego pędzla i w jednym stylu. Ostatni portret z tej serii, większy od innych, przedstawia Juana Diega w tilmie z wizerunkiem maryjnym. Być może artysta namalował pozostałych właśnie na jego obraz i podobieństwo, żeby podkreślić wpływ tej postaci na tożsamość narodową: wszak to dzięki niemu meksykańscy Indianie mają duszę, oficjalnie od wydania bulli papieża Pawła III z 1537 roku; to jego woń świętości przemieniła eksterminację w *mestizaje*, mieszanie się ras. Jakie by nie były

zapożyczenia czy ogrom nadużyć, które przybyłam zdemaskować, Indianin miał zupełną rację, że wymyślił swoje spotkanie z Matką Boską.

Boy zatrzymuje się przed wizerunkiem Juana Diega i przekłada walizkę z prawej ręki do lewej. Spodziewam się, że zrobi znak krzyża, ale on tylko poprawia wiszący krzywo obraz.

Później dwadzieścia pesos i jestem już w połówce ogromnego niegdyś pokoju, którego gzyms przerywa działowa ściana z gipsu. Pachnie środkiem owadobójczym i zjełczałym masłem. Dwoje kutych, przeszklonych drzwi, których za nic nie da się domknąć, wychodzi na ślepa ścianę z bucującym klimatyzatorem, sztywne od brudu aksamitne kotary w kolorze śliwkowym siłą woli trzymają się naderwanych karniszy, trzy plastikowe wieszaki królują ponad minibarkiem, a łazienka ma dwie części: wanna i sedes są za drzwiami, umywalka w pokoju, oddzielona od łóżka taflą przyciemnionego szkła w kształcie cebuli. To ma być designerski sznyt.

Kręcę gigantycznymi kurkami, żeby napuścić wody do wanny: w efekcie otrzymuję cały koncert pojękiwań i drgań, a na koniec strużkę brązowej cieczy. Rezygnuję i siadam przy telefonie. Chciałabym usłyszeć głos Francka, opowiedzieć mu o tym dziwnym uczuciu, jakiego doznałam w bazylice, a później na wzgórzu; o tym wrażeniu déjà vu, którego nie potrafię sobie wytłumaczyć. Niczego nie rozpoznałam w pejzażu, który odkryłam w Tepeyac, a jednak coś mi on przypominał. Mimo wyczerpania, wrażenia ciężkości w nogach, palenia w gardle i nosa pełnego zakrzepłej krwi, czuję się jednocześnie lżejsza i pełniejsza niż zazwyczaj. Jak gdyby czyjaś obecność krążyła wokół mnie i, chwilami, filtrowała życie na mojej drodze, zabierając moją energię i przekazując mi w zamian emocje, otuchę i nostalgię.

Już kiedyś przeżywałam taką sytuację, przez kilka tygodni, po śmierci mojego psa. To wołanie. Tę nagłą pewność bycia we dwoje. Tę niepowstrzymaną ochotę zamknięcia oczu i przytulenia pustki, i rozmawiania z ciszą. Nic z tych rzeczy nie czułam, gdy pochowałam mamę. Wszystko wchłonęła za życia: nie miałam nic więcej do oddania, nie licząc obowiązkowego smutku, współczucia zgodnego z zasadami i tego wyzwolenia, które ciągle mi obiecywała w trakcie wszystkich swoich chorób, jak trener obiecuje zwycięstwo graczowi. Dla porównania, Jef dostał tak niewiele; ileż godzin mu poświęciłam w ciągu ośmiu lat jego życia? Witaliśmy się po przebudzeniu, wyprowadzałam go na dziesięć minut, po czym widzieliśmy się wieczorem. Ani ludzie, ani psy nie przychodzą po śmierci, by nas straszyć: to, co nas prześladowuje, to ten czas, którego nam dla nich zabrakło, stracone okazje i wspomnienie niespełnionych oczekiwań.

Dlaczego to wszystko wraca do mnie właśnie teraz, w Meksyku? Bo po raz pierwszy od wielu lat się zatrzymałam. Po raz pierwszy wypadłam ze swojego otoczenia, ze swojego rytmu. Odkąd adwokat diabła wprowadził do mojej głowy Juana Diega, Franck jest jedyną osobą, której mogłabym zwierzyć się ze zmieszania i dziwnych wrażeń. Tak bardzo potrzebuję jego uwagi,

zartów, milczenia i wykrętów – jak tamtego wieczoru, gdy spaliły się tosty. Brakuje mi tego wspólnego zakłopotania, wolnego od jakiegokolwiek nieporozumienia; tego wstydliwego dystansu, który nam zastępuje intymność, odkąd oficjalnie nie jesteśmy już razem. Ale mój telefon komórkowy nie działa w tym kraju, telefonistka mnie nie rozumie, i z żalu znów daję nura w sprawozdania z Watykanu, zjadając na kolację słone orzeszki z minibarku, popijając je whisky z miniaturowych buteleczek.

Budzę się dziesięć godzin później, w samym środku koszmaru, z gardłem przebitym strzałą. Wyłączam przedpotopową klimatyzację i porządkuję wymięte papiery, ssąc pastylki przeciwko anginie. Biorę prysznic w wodzie równie brunatnej, co poprzedniego wieczoru, i zwalczam rdzę kremem nawilżającym, po czym zakładam komplet w stylu safari i wyruszam na poszukiwanie śniadania. Jadalnia pełna jest matron, wszystkie są gadatliwe i noszą charakterystyczne plakietki – kongres grających w scrabble albo podróż archeologiczna – a półmiski pełne omletów, fasolki szparagowej i tłustych pączków pluskających się w brytfannach przyprowadzają mnie o mdłości. Rogaliki, które zamiast tego wybieram, są jeszcze na wpół zamrożone, a kawa przypomina wodę z mojego prysznica. Jedno i drugie napęnia mi żołądek. Wychodzę na plaża de la Constitución, w powietrze zamglone od upału, w którym o tej porze już można się udusić.

Mam do zabicia dwie czy trzy godziny przed umówionym spotkaniem. Obchodzę dookoła esplanadę obleżoną przez turystów, zablokowanych przez korki samochodowe. Ciężarówka z wyjącymi klaksonami, wyrzucające z siebie kłęby czarnych spalin, wypadają z każdej alei tylko po to, by wcisnąć się do korka, który tworzy się tuż pod nosem zobojętnianego na wszystko gliniarza żującego zapalkę. Z nosem w chusteczce higienicznej, pełna dobrej woli, próbuję podziwiać przekrzywioną katedrę, która zaliczyła cios w kopułę podczas ostatniego trzęsienia ziemi. Ocienione chodniki prowadzą mnie ku czemuś w rodzaju wykopalisk archeologicznych pod gołym niebem, między dwoma muzeami, dokąd pchają się wycieczki. A ja nie lubię muzeów, nie lubię ruin, nie lubię wycieczek i nie lubię słońca. Zawracam. Wielokrotnie oglądam się za siebie, zniecka lub jak gdyby nigdy nic. Czuję się śledzona, szpiegowana; odnoszę wrażenie, jakby ktoś odgadywał, dokąd pójde, uprzedzał moje reakcje. Paranoja wywołana wczoraj po południu przez skorumpowanego urzędnika tylko zwiększyła niepokój, który noszę w sobie od wizyty kardynała Fabianiego, tę pewność, że byłam obserwowana na odległość, podsłuchiwana przez szpiegów wiary – ale to nie wszystko. Czuję, jakby ktoś mi towarzyszył, jak gdyby czyjaś lornetka albo wizjer strzelca wyborowego bezustannie ustawiała na mnie ostrość. Nogi prowadzą mnie z powrotem na avenida 16 de Septiembre. Naprzeciw mojego hotelu wznosi się blok z przydymionego szkła, ochrzczone marmurowymi literami: „El Nuevo Mundo”. Nagłe pragnienie chłodu i zwyczajności każe mi pchnąć drzwi. Stojąc na ruchomych schodach, w świetle jarzeniówek, wracam do równowagi w tej neutralnej przestrzeni centrów handlowych, w mikroklimacie identycznym jak

w dowolnym miejscu na ziemi, w tym wspólnym dla wszystkich domów towarowych układzie przestrzennym, z działami ułożonymi według pory dnia, wieku, płci, według pólek, sugerowanych pragnień i podaży adekwatnej do popytu; w tej strefie eksterytorialnej, w której poszczególne kraje oznaczają najwyżej miejsce produkcji, gdzie tożsamość równa jest etykietce, a wartość – kodowi kreskowemu. Za każdym razem, gdy uczestniczę za granicą w jakimś kongresie czy seminarium i związanych z nimi odgórnie planowanych rozrywkach, odczuwam potrzebę ucieczki przed tym, co egzotyczne, autentyczne i typowe dla danego miejsca, w równoległy świat wielkiego sklepu.

Im wyżej, tym bardziej odżywam na tych ruchomych schodach. To pierwszy moment od przyjazdu do Meksyku, kiedy czuję się naprawdę dobrze, powietrze wydaje mi się zdatne do oddychania, ludzie skoncentrowani na tym, co robią, mężczyźni grzeczni, a kobiety – szybkie. Spaceruję wzdłuż poszczególnych działów, szukam znanych marek, zauważając drobne niuanse w asortymencie i sposobie prezentacji. Wszystkie sprzedawczynie mnie rozumieją i cudownie jest wypytywać je o produkty, na które nie mam ochoty, dla samej przyjemności wypytywania.

W dziale bielizny dziewczyna urocza i tak szczupła, że aż się chce płakać, obserwuje moje pełne sceptycyzmu ewolucje wokół różnych stoisk, mierzy wzrokiem mój biust, ocenia styl, po czym proponuje mi *rzeczy*, których nigdy nie ośmieliłabym się założyć, zachęcającym tonem i z porozumiewawczym spojrzeniem, jakby kiedyś ona również nie myślała, że pewnego dnia odważy się to zrobić. Wzruszona zarówno jej delikatnością, jak i skutecznością w roli sprzedawczynie, nie protestuję, gdy pakuje mi stringi z przezroczyściego jedwabiu i zupełnie otwarty z przodu biustonosz. Uwolniona od ciężaru niepokoju, gnębiącego mnie na ulicy, kontynuuję swój spacer, wymachując lekko reklamówką w różowe grochy. Jej przeznaczeniem jest trzecia szuflada mojej komody, szuflada na bezceństwa, wystawa pamiątek z podróży, których nigdy nie wyjmuję na światło dzienne. Inni ludzie przywożą do swoich rodzinnych krajów egzotyczne specjały, wytwory lokalnego rękodziela czy pocztówki. Ja uzupełniam kolekcję bielizny nie do noszenia.

Skręcam do działu meblowego, zgłębiam iluzję salonów, kuchni, pokoi gościnnych. Klimatyzacja jest wciąż tak samo przyjemna, ale teraz robi mi się zimno; czuję pewne napięcie w okolicy karku. Nagle, posłuszna głosowi instynktu, wewnętrznemu poleceniu, jakiego nigdy dotąd nie otrzymałam, odwracam się gwałtownie. Napotykam intensywne spojrzenie niebieskich oczu należących do bardzo przystojnego faceta w beżowych prążkach, idącego dwa metry za mną. Zaskoczony, aż podskakuje i cofa się o krok. Uśmiecha się do mnie. Ja też, odruchowo. Po czym on skręca w inną alejkę, a ja idę swoją drogą, nie bardzo wiedząc, co tak zapiera mi dech – spóźniony strach, wstyd za moje głupie zachowanie czy też jego posągowa uroda. To ten gatunek mężczyzn, których nigdy się nie spotyka, bo istnieją tylko po to, żeby prezentować dzinsy i piankę do golenia w reklamach telewizyjnych. Nie gada to, nie myśli, tylko się uśmiecha

– a my czujemy się poruszone do szpiku kości. Kontynuuję spacer po piętrze, sadowię się na rozmaitych kanapach, na drapowanych ozdobnie łóżach notabli i na rustykalnych łózkach zakochanych, przy biurkach z imitacji mahoni i przed toaletkami z płyty pilśniowej w stylu Ludwika XVI. Uwielbiam te szeregi dekoracji, które mają niby definiować jakiś styl, fragmenty patetycznych sypialni, próbujących sugerować prawdziwe życie, intymność, codzienność, wszystkie możliwe gusta...

Nagła wrzawa zrywa mnie na nogi. Słyszę krzyki, szarpaninę. Przechylam się przez barierkę. Ktoś zbiega pod prąd po ruchomych schodach. Zdaje mi się, że pośród bannerów reklamowych rozpoznaję koszulę i włosy sekssymbolu w beżowe prążki. Biegnę w stronę małego zbiegowiska, które utworzyło się tam, gdzie byłam jeszcze pięć minut temu. Na podłodze leży kobieta w stanie szoku, z policzkami zalanyymi krwią. Wyrwano jej kolczyki. Nagle czuję, jak palą mnie moje; aż dotykam mimowolnie złotych kółeczek wysadzanych rubinami, które należały kiedyś do ciotecznej prababki, a które mama tak lubiła oglądać w moich uszach. Nie miałam odwagi prehandlować ich po jej śmierci. Nie dałam jej wnuków – ale przynajmniej noszę rodzinną pamiątkę.

Jacyś ludzie odpychają mnie, biegnąc do leżącej ofiary. Do tej biednej kobiety, drżącej i okaleczonej, którą mogłam być ja. Tłum ciekawskich pcha mnie w stronę balustrady. Na parterze słychać gwizdki, dzwonek, wołania, odpowiedzi odmowne. Złodziej już zdążył wmieszać się w tłum.

Zaciskając palce na reklamówce z bielizną, przemykam się pośród żadnych sensacji klientów, którzy relacjonują sobie całe zdarzenie, i wybieram schody awaryjne. Wyrzucam zakupy do kosza na śmieci w pasażu handlowym: śmiechu warta próba wymazania wspomnienia. Co mnie bardziej gnębi? To, że ledwo uniknęłam ataku, czy to, że jestem w takim stanie emocjonalnym, iż słyszę głosy w mojej głowie? Na chodniku ogarnia mnie gwałtowna chęć wskoczenia do pierwszego lepszego samolotu i opuszczenia tego brutalnego miasta, gdzie nie mam nic do roboty. Manipulacja, naciski, niebezpieczeństwo realne czy urojone – wszystko po to, by spróbować zdementować cud w kraju bezprawia, gdzie wiara jest być może ostatnią gwarancją bezpieczeństwa... Ale świadomość, że u siebie też nie mam nic do roboty w tym tygodniu – bez pacjentów i po odwołaniu wizyt – osłabia moje postanowienie już wtedy, gdy przechodzę przez ulicę.

Wchodzę do hotelu, znieruchomiłego już w atmosferze sjeisty, biegnę prosto do telefonistki, wypełniającej właśnie quiz w piśmie kobiecym, i proszę o książkę telefoniczną Meksyku. Wertuję ogromną cegłę, litery od L do N, i w końcu znajduję okulistę, który pięć lat wcześniej wydał pierwszą diagnozę dotyczącą dziecka z okiem przebitym haczykiem. Czekam kilka minut na połączenie, wymieniam swoje tytuły, precyzuję powód mojego pobytu w Meksyku i dlaczego dzwonię. Mój kolega po fachu odpowiada pośpiesznie po angielsku, że nie ma nic do dodania do

opinii zawartych w raporcie posiadanym przeze mnie. Wobec moich nalegań ogranicza się do potwierdzenia, że uszkodzenia oczodołu dziecka uniemożliwiały jakąkolwiek interwencję chirurgiczną, z przeszczepem żywego oka włącznie. Dla własnej informacji pytam go, czy w Meksyku jest dostępnych dużo ludzkich narządów do przeszczepów. Odpowiedzią jest przedłużające się milczenie. Powtarzam pytanie. Wreszcie rzuca chłodno, że istnieje rynek.

– Rynek?

– Czarny rynek, w przypadku absolutnej konieczności. Jeśli chce pani oka, będzie je pani miała. Ale za jaką cenę...

– To znaczy?

– Podziemny bank organów wynajmuje dostawców, którzy porywają dzieci ze slumsów.

Kończy rozmowę, podkreślając, że sam nigdy nie zgodził się na takie rozwiązanie i że zamiast kwestionować nadprzyrodzoną interwencję Juana Diega, lepiej bym zrobiła, idąc na pogotowie, gdzie sama mogę ocenić ilość dzieci z wylupionymi oczyma. Pytam, czy może mi udostępnić, na zasadzie współpracy między lekarzami, adres swojego cudownie uleczonego pacjenta. Odkłada słuchawkę.

Myślisz, że to ja? Że to mnie udało się ostrzec cię przed grożącym ci niebezpieczeństwem? Och, Nathalie, to byłoby cudowne... Tak nieoczekiwane i tak niespodziewane... To, że udało mi się przekazać ci informację związaną tylko z tobą, niezależnie od reakcji, jakie wywołuje w tobie moje dossier, moja historia, mój kraj... Informację bezinteresowną, powodowaną tylko moim pragnieniem ochrony ciebie.

Nigdy nie przeżyłem wymiany tego rodzaju, takiego rozszerzenia zasięgu mojej myśli... I nawet jeśli to wszystko jest złudzeniem, jeśli odwróciłaś się tylko pod wpływem nagłego impulsu czy instynktu przetrwania, z którym nie mam nic wspólnego – nie ma to żadnego znaczenia. Nieważne, czy udało mi się ciebie uprzedzić, czy też nie: liczy się to, że w ogóle możesz brać coś takiego pod uwagę, a to oznacza, że zrobiliśmy milowy krok w swoją stronę.

Nie mógłbym marzyć o lepszej chwili, w której przekroczysz ten etap. Tego, co teraz cię czeka, nie odbierzesz już w taki sam sposób; będziesz gotowa wysłuchać czegoś, co jest nie do przyjęcia, i znaleźć w tym własne echo. Mam tylko nadzieję, że u źródeł ataku, którego ofiarą nieomal padłaś, nie leży moje pragnienie, by cię przygotować jak najlepiej na spotkanie z ojcem Abrigónem.

Przed hotelem stoją trzy wraki „garbusów” i jeden względnie czysty buick: szofer o surowym wyglądzie właśnie poleruje go brudną szmatą. Podaję mu adres restauracji, gdzie oczekuje mnie ojciec Abrigón. Z prawdziwym entuzjazmem otwiera przede mną drzwiczki i mówi, że mam szczęście, bo to najlepsza restauracja w kraju.

Ruch na drodze jest równie chaotyczny, jak poprzedniego dnia. Wydostajemy się z plataniny obwodnic i przejeżdżamy przez przedmieścia tak ponure, że kierowca blokuje drzwiczki

samochoodu od wewnątrz. Godzinę później slumsy rzadną, gęstnieją fermy kurze i wjeżdżamy na coś w rodzaju szosy krajowej, prostej jak strzełił, która przecina szereg wiosek i wysypisk śmieci, aż do ogrodzenia pod napięciem, gdzie zaczyna się kamienista pustynia. Na poboczu białe tablice z czerwonymi literami przeplatają się z zakazami postoju. Taksówka zwalnia, zbliżając się do kwadratowej fortecy z betonu, której strzegą wieże strażnicze i potrójne ogrodzenie z drutu kolczastego, usiane czaszkami z błyskawicami zamiast puszczeli, i równie wysokie jak mury fortecy.

– To najlepsze więzienie w kraju – zwierza mi się kierowca, pełen respektu. – Tu siedzi brat poprzedniego prezydenta republiki.

Wrzuca migacz i parkuje po drugiej stronie drogi, na ocienionym parkingu zajazdu w stylu hacjendy, pośród mercedesów z przyciemnianymi szybami i długich cadillaców. Podaje mi cenę przejazdu i życzy smacznego.

Upał jest tak morderczy, że od razu zaczynam tęsknić za lodówką na kółkach, z której wysiadłam. Do kierowców pod krawatem, dyskutujących wokół czarnych limuzyn, zupełnie nie pasuje młody człowiek w krótkich spodenkach, który siedzi na składanym krzeselku, oparty plecami o mikrobus, i przypatruje mi się, jedząc lody. Przekłada wafel z dłoni do dłoni i wolną ręką wskazuje mi ciężkie dębowe wrota z zakratowanym judaszem, przywodzące na myśl raczej nocny klub niż wiejski zajazd.

Za trzecim uderzeniem kołatki okienko otwiera się, po czym zamyka, słychać zgrzytanie klucza w zamku i jedno skrzydło wrót się uchyla. Matrona w fartuszkach wita mnie uprzejmie pośród glinianych naczyń i kociołków z epoki przodków zdobiących wejście zajazdu. Gdy pytam, przy którym stoliku siedzi ojciec Abrigón Diaz, jej oblicze pochmurnieje. Odwraca się do mnie plecami, machając ręką, żebym szła za nią. Przechodzimy przez trzy zatłoczone, milczące sale, gdzie rodziny i ochroniarze spożywają posiłek z obrażonymi minami, pośród zbyt wybujałych pelargonii, przymocowanych do belek stropu, kołyszących się w podmuchach z klimatyzatora i zwisających jak liany ponad talerzami.

Matrona otwiera drzwi prowadzące na coś w rodzaju patia: trzy ściany pokryte są iluzjonistycznymi malowidłami, czwarta otwiera się na niewielki ogród, znajdujący się pod ostrzałem automatycznych zraszaczy. Na podłodze z terakoty stoją dwa nakryte stoły: jeden prostokątny, przy którym pięć osób dyskutuje hałaśliwie, a w głębi – mały, owalny, z jednym nakryciem. Ten wskazuje mi restauratorka, po czym wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Wszystkie oczy zwracają się na mnie i powoli zapada cisza, podczas gdy ja z ostentacyjną dyskrecją wędruję na odległe miejsce, na które mnie skazano jako wysłanniczkę diabła.

Za moimi plecami krzesło szura po podłodze, słychać ciężkie kroki i ktoś przesuwając meble z kutego żelaza. Odwracam się i widzę uśmiechniętego, olbrzymiego grubasa w koronie kręconych siwych włosów. Chwyta moją dłoń i potrząsa nią z wymuszoną wesołością. Ma

srebrny krzyżyk na żółtej koszulce polo i mówi po angielsku tak prędko i potoczyście, że rekompensuje to pewne niedociągnięcia.

– Doktor Krentz? Witam panią, już zaczęliśmy: program jest napięty, a pani koledzy konali z głodu. Jestem ojciec Francisco Abrigón Diaz de Gardiinoz, może mi pani mówić Paco, niech pani pozwoli, przedstawię panią, podoba się pani Meksyk?

– Szalenie. Proszę mi wybaczyć wczorajsze popołudnie.

– Ale o co chodzi?

– O moje spóźnienie.

Wybuchając śmiechem, ciągnąc mnie w kierunku większego stołu.

– To jest słowo, które najlepiej natychmiast wykreślić ze słownika, inaczej będzie pani bez przerwy czekała. A więc była pani w Centro de Estudios? To nic, coś mi wypadło. Sekretarka pani powiedziała?

– Było zamknięte.

– Coś takiego. Oto profesor Wolfburg ze Stuttgartu, doktor chemii, specjalista w dziedzinie włókien i pigmentów.

Wskazany przez niego mężczyzna z czerwoną twarzą odkłada swoją tortillę na brzeg talerza i podaje mi otłuszczoną dłoń, unosząc jeden pośladek i unikając mojego wzroku.

– Iwan Siergiejewicz Traskin z Międzynarodowego Instytutu Astrofizyki.

Chudy brodacz z płonącym spojrzeniem przygląda mi się dość frywolnie, po czym ruchem kciuka pyta, kim jestem.

– Doktor oftalmologii Nathalie Krentz – odpowiada ojciec Abrigón półgębkiem – wydelegowana do nas przez Promotora Wiary.

– *Muchas gracias, abogado del Diablo* [(hiszp.) – wielkie dzięki, adwokacie diabła.] wymawia z bełkotliwą starannością astrofizyk, z policzkiem opartym na dłoni, a wzrokiem zatopionym w moim dekolcie.

Ksiądz gratuluje mu postępów w nauce hiszpańskiego, po czym wskazuje na kwadratową, spoconą damę w workowatej sukni, która wita mnie ruchem brwi, wysysając szczypcę jakiegoś skorupiaka.

– Doktor historii Leticia Galan Turillas, nasza najlepsza specjalistka w dziedzinie konkwisty i całego XVI wieku, oraz profesor Kevin Williams, który współpracuje z NASA nad obróbką zdjęć z Marsa przesłanych przez sondę kosmiczną.

Z kawałkiem ośmiornicy nabitym na widelec mój wybawca z lotniska wpatruje się we mnie z niezdecydowanym wyrazem twarzy, coś między zakłopotaniem a zmieszaniem, ale tak naprawdę nie mam pewności, czy mnie rozpoznał. Przypominam mu walizkę rozszarpaną przez psy z brygady antynarkotykowej. Odkłada mackę na talerz, nieśmiało próbuje się uśmiechnąć i z leciutką ironią pyta, czy mój pobyt w Meksyku dalej toczy się tak, jak się zaczął.

– Mniej więcej, dziękuję.

Przewodniczący Centro de Estudios spogląda na nas ze zmarszczonymi brwiami, najwyraźniej niezadowolony z kontaktu, który mogliśmy nawiązać poza jego kontrolą.

– Spotkali się państwo na lotnisku?

– Tak. W waszym mikrobusie nie było już miejsca?

– Ależ było. Tyle że Jego Eminencja kardynał Fabiani napisał w faksie, że po panią wyjedzie auto z nuncjatury. Nie czekała pani na nie?

– Nie wiedziałam, że taki jest zwyczaj.

Znów bierze mnie za ramię i okrężną drogą prowadzi z powrotem do oddalonego stołu.

– Nie chodzi o segregację – wyjaśnia – tylko o to, że ktoś chce rozmawiać z panią sam na sam.

Tu ojciec Abrigón posyła szybkie spojrzenie w kierunku bladej dziewczynki w ciemnych okularach, dzinsowej kurtce i espadrylach, który wygrzewa się w ogrodzie. Po czym podsuwa mi szarmancko krzesło, rozkłada serwetkę na moich kolanach i powraca do zwolenników swojej frakcji, którzy znowu zaczynają toczyć ożywioną dyskusję po hiszpańsku. Wciąż przynoszą im góry jedzenia ociekającego sosami i morze piwa, a oni się obżerają, nie przerywając rozmowy, zapominając najwyraźniej o moim istnieniu. Tylko Kevin Williams, ukradkiem, rzuca mi co jakiś czas niespokojne spojrzenia.

Blada twarz w ciemnych okularach przemierza ogród z udawanym zainteresowaniem dla znajdujących się w nim roślin, w końcu zahacza o patio. A wtedy, pochylona do przodu, z głową wciśniętą w ramiona, sunie prosto do mojego stolika i siada naprzeciw mnie, bez pytania.

– Niech się pani nie odwraca, obserwują nas – szepcze w moim ojczystym języku, z akcentem, który przypomina mi trochę wymowę kardynała Fabianiego w bardziej syczącej wersji. – Jestem Guido Ponzio, próbowałem się dodzwonić do hotelu, ale nikt tam pani nie zna. Wie pani, kim jestem? – sprawdza nagle.

– Nie.

– Nie mówili pani o mnie? – dziwi się, lekko podejrzliwie, machając ręką w kierunku tamtego stołu. – A adwokat diabła nie ostrzegł pani? Dobrze. Proszę słuchać, nie będę niczego owijał w bawełnę, bo w każdej chwili mogą nam przerwać. Studiowałem biologię i chemię w Neapolu, pracuję jako dziennikarz i też jestem ekspertem.

– W jakiej dziedzinie?

– Oszustw, machlojek, przestępstw, nadużycia zaufania. Poluję na cuda, rozkładam je na czynniki pierwsze i wyjaśniam. W samej tylko Kampanii, moim rodzinnym regionie, rozwiązałem tajemnicę trzydziestu ośmiu Madonn płaczących krwawymi łzami: zwykła rurka zatkana gipsem, przez który w końcu kapło po naciśnięciu pompki. Ale moje największe osiągnięcie to ampułka San Gennaro. Słyszała pani o tym?

Kręcę przecząco głową.

– Inaczej świętego Januarego, jeśli pani woli. To patron Neapolu. Co roku, od XIV wieku, jego krew, przechowywana w ampułce, przechodzi ze stanu stałego w płynny. Na pewno widziała to pani w telewizji, co nie? Arcybiskup Neapolu przechadza się po ulicach, potrząsając ampułką, żeby wyraźnie pokazać, że krew jest zakrzepła, aż do chwili kiedy w cudowny sposób staje się płynna i całe miasto pada na kolana. A ja zacząłem kombinować: jakie substancje były dostępne w tamtych czasach? Bo Watykan nie chce mi wydać zgody na otwarcie ampułki i zbadanie świętej plazmy. No to zrobiłem samodzielnie mały koktajl. Mieszając chlorek żelaza rozpuszczony w wodzie ze sproszkowanymi skorupkami jajek, otrzymuję ciemnoczerwoną zawiesinę na bazie węgla wapnia, która po sześciu dniach tężeje, jeśli zostanie umieszczona w chłodnym miejscu. Po czym, i tu właśnie pomógł mi przypadek – chciałoby się powiedzieć: „opatrzność”, ale chyba nie w tym miejscu – obracam próbkę w dłoniach, żeby sprawdzić, czy zawiesina na pewno stężała, i nagle trzask-prask, moja mikstura przechodzi w stan płynny. Jak krew świętego Januarego, a niech mnie! Co za zabawny zbieg okoliczności! Prawda? Przecież to dokładnie ten sam gest, którym obracają tamtą ampułkę, żeby sprawdzić, czy zakrzepła krew się rozpuszcza. I rozpuszcza się właśnie dlatego, że nią obracają. Wykonałem mój mały eksperyment przed arcybiskupem, który wyrzucił mnie na zbity pysk, a potem jeszcze raz zrobiłem to na placu przed katedrą, gdzie o mało mnie nie zlinczowali. Oto cała historia.

Czekam przez chwilę w milczeniu, aż wzburzony ekspert od plazmy złapie oddech, i pytam, jaki to ma związek z Matką Boską Juana Diega.

– Rozgryzłem ich – zwierza mi się trzy tony ciszej. – Wiem, jak to robią, mogę to udowodnić, ale nie jestem akredytowany, więc potrzebuję pani. Wyskubie mi pani włókno?

– Co proszę?

– Zdejmą dla pani szybę ochronną – mruczy na granicy słyszalności. – Gdy będzie pani badać oczy, jak gdyby nigdy nic wyskubie mi pani włókno agawy. Pincetą. Oni się nie pokapują, a ja je zbadam i to mi wystarczy, żeby całą tajemnicę diabli wzięli.

Jego bezczelność aż zapiera mi dech. Moczę usta w piwie, które postawiła przede mną kelnerka.

– A niby czemu miałabym to zrobić?

– Zależy pani na powodzeniu misji, prawda?

– Tu nie chodzi o powodzenie czy o porażkę, panie Ponzo. Zostałam poproszona o wydanie bezstronnej opinii po przeprowadzeniu badania i wydam ją, to wszystko. Nie podzielam ani pańskich motywacji, ani pańskiej chęci robienia sensacji wokół Kościoła.

– Już pani wierzę! – szydzi. – Nie wmówi mi pani, że zgodziła się przylecieć do tego kraju wariatów i narażać własną skórę z sympatii dla kardynała Fabianiego. Wie pani, kim jest ten Fabiani? Największą szują chrześcijaństwa. Słyszała pani o Instytucie Dziej Religijnych? To

taka bogobojna nazwa banku watykańskiego. Gdy jego szef, monsignore Marcinkus, stracił stołek za pranie brudnych pieniędzy przez Stolicę Apostolską, konkretnie dziewięciuset pięćdziesięciu milionów dolarów, to właśnie Fabiani uratował bank. Oczyszczył im konta, jeśli mogę tak powiedzieć. A potem mniej lub bardziej maczał palce w zamordowaniu Jana Pawła I, który chciał przepędzić z Watykanu słynną lożę P2 i mafię. W zamian za swoje konszachty Fabiani zażądał pieczy nad tajnymi archiwami: to tak zwana Riserva, schron atomowy o powierzchni siedmiuset metrów kwadratowych, ukryty pod dziedzińcem biblioteki watykańskiej. Teraz trzyma w garści połowę rządów na tej planecie, zarówno dzięki tajnym raportom finansowym, jak i teczkom z przepowiedniami: ma tam tajemnice fatimskie, zaszyfrowany klucz do przepowiedni Nostradamusa, skarb z Rennes-le-Chateau, świętego Graala, rzekomego syna Jezusa, który wylądował w Saintes-Maries... Rozumie pani, o co chodzi?

Przytakuję, żeby nie rozniecać jeszcze bardziej furii tego mitomana.

– Jest dwóch kardynałów, którzy manipulują papieżem: Damiano Fabiani i Luigi Solendate, prefekt Kongregacji Spraw Świętych, który z kolei jest typem w miarę uczciwym, ale skłonny do tuszowania najgorszych świństw, jeśli leży to w interesie wiary. Już od siedemdziesięciu lat Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna prześladowa Kościół w Meksyku. Po to, żeby mógł on odzyskać władzę w czasie lipcowych wyborów za sprawą liberalnego kandydata Vincentego Foxa, Juan Diego musi absolutnie zostać kanonizowany. To ludowy bohater, a żarliwość ludu popłynie prosto do urn, więc adwokat diabła znalazł panią, bo pani jest taka jak ja, bo nikt nie da pani wiary, bo rzuciła się pani na cuda w Lourdes, bo przypięto pani łatkę antyklerykałki i na dodatek jest pani Żydówką – dlatego pani zastrzeżenia, jeśli je pani ma, nie będą nic znaczyły w dossier, no, chyba że poprę je moimi odkryciami.

– Jakimi odkryciami? Że to nie agawa tylko poliester?

Macha ręką na moją ironiczną sugestię, po czym zmienia zdanie i punktuje oskarżycielsko, mierząc we mnie palcem wskazującym:

– Właśnie, że jest pani całkiem blisko prawdy, pani doktor. Jeżeli pomogę pani udowodnić, że Juan Diego to jedno wielkie oszustwo, Fabiani będzie zniszczony. Jeśli nie dojdzie do kanonizacji, to cała wina spadnie na niego i w ten sposób w Watykanie będzie o jedną gnidę mniej. Umowa stoi?

Opieram łokcie na stole i walę mu prosto w oczy:

– Nie potrzebuję pana, żeby cokolwiek udowodnić, panie Ponzio.

– Tak pani sądzi? – uśmiecha się szyderczo.

– Czego wy wszyscy ode mnie chcecie, do cholery! Opublikowali moje zdjęcie w Internecie, czy co?

Przewracając oczami z przerażenia, zmusza mnie do ściszenia głosu, po czym dodaje przez

zęby, bez tchu, że on jest po mojej stronie, sugerując istnienie zbiorowego spisku przeciwko mnie.

– Nie potrzebuję nikogo, dziękuję.

Wzdycha, załamany moją naiwnością. – Naprawdę pani sądzi, że znajdzie pani w tych oczach jakąś anomalie? Nieszczęsna, przecież oni zachowali wszystkie środki ostrożności! W tajnych lochach Watykanu mieszczą się największe pracownie fałszerskie na świecie! Skąd się wziął, pani zdaniem, całun turyński? A chusta z Oviedo? A święte nakrycie głowy z Cahors, na którego wewnętrznej stronie widnieje negatyw głowy Chrystusa? Najwybitniejsi specjaliści wyprodukowali na pani użytek cały cyrk, który odkryje pani w oczach Matki Boskiej. Trzyńście postaci, odbicia Purkatego-Simpsona...

– Purkyniego-Sansona.

– Najmocniej przepraszam. A propos, co to właściwie jest?

– Jeśli przysunę świeczkę do pańskiego oka, zobaczę w nim trzy obrazy płomienia: dwa proste odbicia na przedniej ścianie rogówki i soczewki, które działają jak zwierciadła wypukłe, i jedno odwrócone na tylnej ścianie soczewki. To zjawisko odkryli w 1832 roku Louis Joseph Sanson w Paryżu i Jan Evangelista Purkyně we Wrocławiu.

– Ktoś mógłby na to powiedzieć, że w 1531 roku już istniały świeczki.

– Jaka jest pana teoria, panie Ponzo? Że obraz jest dziełem malarza miniaturzysty z XVI wieku?

– Tak. Na początku.

– Co to ma znaczyć?

Rzuca nerwowe spojrzenie na oficjalny stół, przy którym nikt nie zwraca na nas najmniejszej uwagi, wszyscy zajęci są rozczłonkowywaniem skorupiaków, śmiejąc się z dowcipów rosyjskiego astrofizyka.

– Moja teoria jest taka, że oni wymieniają tilme co dziesięć lat, żeby przetrwała. I za każdym razem wykorzystują najnowsze odkrycia możliwe do zbadania przez najnowocześniejsze instrumenty badawcze. Za każdym razem też dorzucają szczegóły, których dostarcza im postęp nauki, i w ten sposób nabijają w butelkę kolejnych naukowców. Brak podkładu malarskiego, potwierdzony pod mikroskopem, układ gwiazd zgodny z obrazem nieba z 12 grudnia 1531 roku, równania matematyczne ukryte wśród symbolicznych motywów azteckich, zjawiska zgodne z prawami optyki, malutkie postaci uczestników całej sceny, których oczy odbijają siebie nawzajem przy powiększeniu... Niech się pani nie śmieje. Nie ma pani pojęcia, do czego są zdolni ich miniaturzyści i iluminatorzy, którzy od średniowiecza przekazują sobie sekret pędzli z podwójnego włosa utwardzonego w byczej żółci. Zwłaszcza że dzisiaj ponadto posługują się biegle paletą graficzną i fotochemią. Watykan dysponuje najlepszymi specjalistami w każdej dziedzinie, najnowszą technologią, nieograniczonymi środkami. No i stawka jest gigantyczna:

jeśli zabraknie cudów, które podsycają wiarę – koniec z wierzącymi, z Kościołem, z bankiem i koniec z władzą!

Chwyta mój kufel, opróżnia go jednym haustem i pochyla się do przodu, a kurtka podnosi mu się na ramionach.

– Niech im się pani przyjrzy, tym pani kolegom ekspertom, którzy tak hulają na całego: myśli pani, że zostali wybrani przypadkowo? Rosjanin, który od upadku komunizmu jest prawosławny, osiem lat temu dokonał epokowego odkrycia dotyczącego praw matematycznych rządzących konstelacjami: proszę bardzo, dostanie je na tilmie. I oczywiście stwierdzi boskie pochodzenie obrazu, skoro ten potwierdza jego odkrycie! Niemiec opublikował serię badań na temat irydescencji włókien: teraz potwierdzi słuszne założenia swoich publikacji i będzie przekonany, że nie jest to tkanina malowana, bo teoretycznie dyfrakcji światła nie da się odtworzyć ludzką ręką. A historyczka stwierdzi autentyczność symboliki mistyczo-azteckiej, na której temat spłodziła już trzy książki. Jeśli chodzi o faceta z NASA, parającego się powiększaniem pod skanerem zdjęć przestrzeni kosmicznej, to padnie na kolana wobec cudu miniaturyzacji odbić, który jest w zasadzie zastosowaniem jego własnej techniki, tylko na odwrót. Krótko mówiąc, niech pani zdobędzie dla mnie włókno, a to mi wystarczy, by udowodnić, że obecna tilma ma mniej niż dziesięć lat.

Zamyka gwałtownie usta, gdyż podchodzi matrona i bezceremonialnie rzuca przede mną talerz smażonych warzyw, ochlapując mnie sosem. Wycieram bluzkę, po czym kontynuuję:

– A nie sądzi pan, że ekspert z Niemiec jest bardziej kompetentny od pana, jeśli chodzi o datowanie tkaniny?

– Naturalnie, pod warunkiem, że się go o to poprosi.

Przypatruję mu się poprzez parę unoszącą się nad talerzem.

– Niech no się pani przyjrzy protokołowi ekspertyzy, którą on ma przeprowadzić: dotyczy natury pigmentów, a nie wieku tkaniny. A takie barwniki, które nie istnieją na kuli ziemskiej, ja mogę pani wyprodukować w mojej kuchni, wystarczy zmieszać kolce kaktusa, trochę ogórka i bakterii z szamba. „Nic nie ginie, nic nie powstaje, wszystko tylko zmienia swoją formę...” Zna pani tę zasadę. Odkąd woda przemieniła się w wino, katolicy nigdy nie zmienili swojego menu. Mogę na panią liczyć? Walczymy w tej samej sprawie, doktor Krentz – w imię prawdy. Przeciwno mocom obskurantyzmu, dostawcom dla sekt i handlarzy wszystkim, co paranormalne!

Wtem na patio wpada czterech policjantów w samych koszulach, z pałkami przytroczonymi do pasa. Trzech z nich natychmiast obstawia różne wyjścia, natomiast czwarty wywija tablicą rejestracyjną i wrzeszczy:

– *A quien es eso?* [(hiszp.) – czyje to jest?]

Spojrzenia ojca Abrigóna i jego kolegium ekspertów dyskretnie kierują się w stronę naszego

stołu. Mój interlokutor wciska głowę w ramiona, przygryza wargi, po czym zdejmuje ciemne okulary, żeby rzucić mi błagalne spojrzenie.

– Mogę na panią liczyć, prawda? – powtarza łamiącym się z niepokoju głosem.

Po czym nabiera powietrza w płuca i wstaje, twarzą do policjanta, z palcem uniesionym, by wskazać na tablicę rejestracyjną. Trzej pozostali obezwładniają go i wyprowadzają dość brutalnie. Podnoszę się, żeby zaprotestować, biorąc na świadka ojca Abrigóna, ale ten powstrzymuje mój zapał spokojnym gestem, obciera usta i podchodzi do mojego stołu, by usiąść na miejscu opuszczonym przez złodzieja włókien.

– Źle zaparkował samochód – stwierdza z powagą godną mowy pogrzebowej.

– Jak to?

– Przypuszczalnie po drugiej stronie szosy. Wie pani, to najpilniej strzeżone więzienie w Meksyku. W tym sektorze z policją się nie igrza.

– A czemu zerwali mu tablicę rejestracyjną?

– Bo nie zawsze potrafią czytać. Tutaj to powszechny zwyczaj. Zamiast spisywać, zabierają tablicę rejestracyjną z pani wozu i trzeba iść ją odebrać na komisariat, w zamian za niewielką sumę pieniędzy, która pozwala uniknąć formalności administracyjnych. Należy się z tym pogodzić: cały kraj tak funkcjonuje.

– Zdażyłam zauważyć.

Kolos w żółtej koszulce łagodzi moje uprzedzenia błogosławiącym ruchem ręki:

– Pensje u nas są bardzo niskie, pani doktor, bieda i analfabetyzm idą w parze z przeludnieniem, i każdy musi sobie radzić, jak potrafi, na swoim poletku. Ale czy zdażyła pani usłyszeć mętne wywody tego nieszczęsnego sceptyka? Niech mi pani wybaczy, że skazałem ją na takie udręki... On nie jest niebezpieczny, tylko trochę męczący ze swoimi teoriami, ale teraz będzie siedział cicho, skoro już z panią porozmawiał.

– Sądzi pan, że jest jakiś związek między jego sceptycyzmem a tym aresztowaniem?

Przewodniczący Centro de Estudios bierze głęboki wdech, splata palce na wysokości nosa i pozwala powietrzu wypłynąć bardzo powoli między wargami, zanim sformułuje odpowiedź:

– Jesteśmy starą cywilizacją, doktor Krentz. A administracją – jak by to rzec? – wiecznie młodą. I wciąż nastoletnią demokracją. Duch rewolucji, ze swoimi przyzwyczajeniami i porywami, wciąż ożywia nasze struktury państwowe... Kler meksykański bardzo długo był źle traktowany: to eufemizm. Dziś jeszcze ksiądz nie ma prawa wyjść na ulicę w sutannie – dodaje, wskazując na swoją koszulkę polo. – Albo musi być bardzo bogaty. Ale żarliwa wiara przetrwała wszystkie dyktatury. Wie pani, że w czasie najostrzejszych represji antykatolickich, za prezydenta Callesa, jedynym kościołem, którego Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna nie odważyła się zamknąć, była bazylika Matki Boskiej Guadalupe?

– Czytałam wszystko, co dotyczy kultu waszej Madonny.

– To naprawdę miło z pani strony. Przede wszystkim proszę nie myśleć, że krzywo patrzę na pani kartezyjańskie przekonania i tę rolę, którą bardzo odważnie postanowiła pani przyjąć. Adwokat diabła to instytucja godna szacunku i bardzo potrzebna. Notabene, miałem długą rozmowę z Jego Eminencją kardynałem Fabianim, kiedy osobiście przybył do Meksyku w ramach prowadzonego dochodzenia. To niezwykle człowiek, o wszechstronnym umyśle rzadkiej wielkości, wybitnym poczuciu humoru i wyjątkowej delikatności. I wielki smakosz – dodaje, spoglądając na mój nietknięty talerz. – Jest pani w najlepszej restauracji w kraju, wie pani o tym? Nie chciałbym nikogo obmawiać, ale chodzą plotki, że brat naszego byłego prezydenta, który jest zamknięty naprzeciwno, może się tutaj stołować bez ograniczeń. Niechże pani spróbuje tych *chiles en nogada*, to jedno z tych dań, którym nie mogę się oprzeć, przyznaję. Zielone papryczki z Puebli faszerowane wieprzowiną, w białym sosie i kremie z owoców granatu – rozpoznała pani kolory naszej flagi narodowej? To danie wymyśliły i podały siostry z Santa Monica w 1821 roku na bankiecie wydanym na cześć Iturbidego, kiedy podpisał traktat o niepodległości Meksyku. Jednym słowem, chciałem pani powiedzieć, że nie musi pani trzymać się na osobności. Proszę przysiąść się do naszego stołu. Jest pani też mile widziana w mikrobusie.

Daję wyraz mojej wdzięczności tak lodowato, jak tylko potrafię, i pytam, kiedy będzie można przeprowadzić badanie. Jego oblicze nieco się zachmurza, a wzrok wędruje w dół, w kierunku mojej metalowej walizeczki stojącej obok krzesła.

– Widzę, że ma pani ze sobą sprzęt. Doskonale. Tak czy inaczej, nie będzie to możliwe wcześniej niż tej nocy, kiedy bazylika zostanie zamknięta dla wiernych. W dodatku doktor Berlemont z Lozanny, który również ma zbadać Matkę Boską, spóźnił się na samolot, a ja, ze względów bezpieczeństwa, mogę zdjąć szkło ochronne tylko raz.

– Kardynał Fabiani nic mi nie mówił o zbiorowej ekspertyzie.

Pokasłuje, zasłaniając usta dłonią.

– No więc, tak naprawdę mamy mały problem i trochę szczęścia. Problemem jest Jego Wielbność Ruiz, rektor bazyliki, który kategorycznie nie zgadza się na badania bez szyby. Uważa, że są niebezpieczne i niepotrzebne, a wszystko jest dostatecznie udowodnione i wystarcza do kanonizacji. Szczęście polega na tym, że wyjechał w podróż. Kardynał Fabiani uprzejmie zgodził się dostosować daty pani przyjazdu do tych, które mu podałem...

– Mam już numerek w kolejce?

– Proszę się nie obawiać, nie zabraknie pani ani czasu, ani spokoju potrzebnego do przeprowadzenia badań. Jaki będzie ich przebieg?

– Zbadam dno oka w celu dokonania pomiaru lokalizacji, dystorsji i dyssymetrii odbić opisanych przez moich poprzedników. Jeśli oftalmoskop ujawni odbicia na przedniej i tylnej ścianie soczewki i rogówki, wtedy ustalę, za pomocą różnych soczewek wziernika, czy każde

odbicie poprawnie zarejestrowało odległości ogniskowych między jedną a drugą powierzchnią soczewki oka, jak to się dzieje w oku ludzkim. Jeżeli tak nie jest, będzie to stanowić dowód, że chodzi o fenomen na płótnie albo o efekt malarski.

Kiwa głową, skupiony na żargonie naukowym, którego używam umyślnie, żeby go odstraszyć. Uśmiecha się, niewątpliwie dla okazania mi, że mój sposób procedowania w niczym nie budzi jego niepokoju, po czym podsumowuje:

– Tymczasem proszę wykorzystać swój czas na odpoczynek, zwiedzanie naszych ruin, smakowanie naszej kuchni... Czy odpowiada pani nocleg?

– Jest jak ze snu.

– Jeśli mógłbym w jakikolwiek sposób uprzyjemnić pani pobyt...

– Jakie ma pan stosunki z Instituto Mexicano de Cultura?

Marszczy brwi.

– Skąd to pytanie? – Wyczuwam nienaturalnie pogodny ton.

Kładę na obrusie kwit, który wczoraj po południu wymusiłam na mężczyźnie usiłującym mnie przekupić. Ojciec Abrigón rzuca nań okiem i niepewnie drapie się po brodzie.

– Nie znam tej osoby ani tego departamentu. W każdym razie nie mają oni nic wspólnego z moim Centro de Estudios ani z dochodzeniem prowadzonym przez Watykan...

– Może to być przykrywka dla jakiegoś biura śledczego?

– W jakim sensie?

– Meksykańskich służb wywiadowczych, czegoś w tym Stylu...

– Nie, wydaje mi się, że ta struktura zajmuje **się raczej** muzeami narodowymi. Czy ten mężczyzna chciał **od pani** czegoś konkretnego?

– Mojej współpracy, tak mi się zdawało. Mojej **opinii** albo milczenia, nie było to zbyt jasne. Wyznaczył mi **spotkanie** pod tym adresem, dziś wieczorem.

Pokazuję mu odwrotną stronę wizytówki. Prostuje się z zaciśniętymi szczękami i oświadcza ze stanowczością godną ochroniarza, że pójdzie ze mną. Ta szczerość i brutalna energia, które nagle zastępują jego eklezjastyczną rezerwę, bardzo mi się podobają. Pewnie wyczuł, że jestem mniej spięta, bo daje kelnerce znak, by podała na mój stół kolejne danie. I serwuje mi rodzaj niebieskawej zupy, w której pływa coś smażonego, w czym dziobię widelcem, podczas gdy on kontynuuje:

– Czy są jakieś inne problemy, które mógłbym pomóc pani rozwiązać?

– Samo imię Matki Boskiej? Skąd „Guadalupe”? Czytałam wiele sprzecznych wyjaśnień.

– Niekoniecznie sprzecznych, moja droga, ale komplementarnych. Proszę spróbować – to jest przepyszne. *Huachinango* smażone w niebieskiej kukurydzy. Na tym właśnie polega cała potęga naszego cudu, powiedziałbym nawet – jego głęboki sens: dwukulturowy. Zarówno w słowach skierowanych do Juana Diega, jak i poprzez symbole na swoim płaszczu Matka Boża

pragnęła zwrócić się do przedstawicieli dwóch kultur. Różnorodność interpretacji jest nie tylko uzasadniona, ale wręcz pożądana. Po pięciu wizytach, które złożyła Juanowi Diegowi, zmaterializowała się przed Juanem Bernardinem, który był jego...

Zawiesza głos, żeby się przekonać, do jakiego stopnia opanowała materiał.

– Jego wujem. Tym, którego wyleczyła z zarazy.

– Tak jest. Przedstawiła mu się jako „Panienska Guadalupe”. W nawiązaniu do swoich objawień dwa wieki wcześniej, niedaleko tej właśnie rzeki w Hiszpanii, której nazwy Indianin znać nie mógł, co dla biskupa Zumarragi stanowić miało dodatkowy dowód autentyczności. Nie tracąc przy tym znaczenia dla Azteków, jako że wymówiła swoje imię w języku nabua, jako Cuahtlapcupeuh: „ta, która przybywa, lecąc z krainy światła”. Albo Coatlxopeuh: „ta, która depcze węża”. Boga węża, Quetzalcoatla.

– Tego, który miał naszyjnik z czaszek i odciętych dłoni?

– Nie, dlaczego?

– To tylko obraz, który przyszedł mi do głowy...

– Nasza historyczka opowie pani o tym lepiej niż ja, ale Quetzalcoatla nosił coś w rodzaju kryzy z gigantycznych piór, tak mi się przynajmniej wydaje. Naszyjnik z czaszek to raczej atrybut bogini Tonantzin, którą Indianie czcili kiedyś właśnie na wzgórzu objawień. Gratuluję pani znajomości dossier.

Uśmiecham się, choć czuję się nieswojo. Ostatnie imię, które wymówił, Tonantzin, wywarło na mnie dziwne wrażenie, jak gdyby łączyło się z jakimś przykrym wspomnieniem, którego jednak nie potrafię sobie uzmysłować.

– Wie pani, Juan Diego był niezwykłą postacią – ciągnie dalej. – To prawdziwy wtajemniczony, pod pozorami prostaczka. Wieczny chłopiec, naiwny, ale pełen wiary i patriotyzmu, przesuwiał w ten sposób granice tego, co możliwe. Widział swój umęczony kraj, swoich braci pod jarzmem przymusowych danin dla kolonizatorów. Cierpiał bezbrzeżnie, do szpiku swych indiańskich kości, a jednocześnie pozostawał nieskończenie wdzięczny Hiszpanom, którzy przynieśli mu objawienie prawdziwego Boga. Mówił swojemu spowiednikowi, że codziennie modli się do Matki Bożej, aby przyniosła pokój i zrozumienie pomiędzy obiema wspólnotami. I marzył, słuchając historii wojen krzyżowych, którą wykładano mu na lekcjach katechezy. Widział się w zbroi świętego Ludwika, który wyruszał wojować z niewiernymi. A jeszcze lepiej wyobrażał sobie siebie w skórze Joanny d’Arc, tej małej niepiśmiennej pastuszki, jak on sam, której mimo to objawili się święty Michał, święta Katarzyna, święta Małgorzata i kazali jej uwolnić Francję spod angielskiego jarzma...

– Chce ksiądz powiedzieć, że Juan Diego sfabrykował swój własny mit, inspirując się Joanną d’Arc?

– Och, tak... Jestem o tym głęboko przekonany. Nie w tym umniejszającym go znaczeniu,

jak pani to rozumie. Jego czystość, modlitwa i wiara przyciągnęły łaskę boską. Najświętsza Dziewica nigdy nie objawia się przypadkiem... Bzdury, Nathalie, bzdury! Nie mam nic wspólnego z tym pobożnisiem łasym na wyprawy krzyżowe, tym bojownikiem entuzjastą w barwach Maryi Dziewicy. Nigdy w życiu nie prosiłem Najświętszej Pani, żeby mi się ukazała i zleciła jakąś misję! Nigdy też nie prosiłem o nic dla moich pobratymców. Było mi wszystko jedno, rozumiesz? Los żywych już mnie nie obchodził, prawdopodobieństwo wygaśnięcia mojej rasy było mi obojętne, miałem w sobie zero uczuć patriotycznych i ideałów religijnych. Byłem człowiekiem zakochanym, który po stracie ukochanej z rozmysłem uciekał w modlitwę i wiarę w życie pozagrobowe, byle tylko utrzymać przy sobie tę, która odeszła, to wszystko.

Chcesz prawdy? To, co zrobiła ze mną Maryja Panna, to było molestowanie niebiańskie! Nic innego. Napastowała mnie bez przerwy, nie zwracając uwagi na mój brak znaczenia, moją boleść, pracę czy chrześcijańskie obowiązki! Wykorzystała mnie, a potem porzuciła. Ot co! Wierzę w nią, miłuję, wielbię i dalej służę jej sprawie, ale to nie znaczy, że jestem ślepy!

- Może inni na moim miejscu cieszą się, że weszli do historii, że się ich hołubi, beatyfikuje, kanonizuje i wzywa przy najmniejszej okazji, sam nie wiem. Nigdy nie udało mi się nawiązać kontaktu z „pośrednikami” mojego typu, tymi wszystkimi Dziewicami Orleańskimi, Łucjami z Syrakuz, Józefami z Copertino, Bernatkami z Lourdes, Katarzynami Laboure, Teresami od Dzieciątka Jezus... Przypuszczam, że każde z nich trwa dalej, w większym lub mniejszym szczęściu, odosobnione w swojej misji, symbolu i swojej sławie. Tamci jednak przynajmniej cierpieli, wiem to, bo wyczuwam ich fale w umysłach wiernych, którzy mnie z nimi kojarzą; tamci stawiali czoło niebezpieczeństwu, dokonywali rzeczy niemożliwych, ponosili kary, zaznali stygmatów, wzniosłości i męczeństwa, a przynajmniej sprzeciwu... A mnie się nic nie przytrafiło, zupełnie nic! Przyszedłem, zobaczyłem, opowiedziałem i pożyłem sobie. Nie byłem nawet prawdziwym *porte-parole*: nie przyniosłem dobrej nowiny, byłem wieszakiem [Nieprzetłumaczalna gra słów: *porte-parole* (fr.) – rzecznik sprawy; *porte-manteau* (fr.) – wieszak.] na tilmę, to wszystko. Nic nie ryzykowałem z moim świadectwem, nie oskarżono mnie o herezję ani fałszerstwo, ponieważ miałem dowód. I on dalej tu jest! Nikt nie szukał ze mną zwady, nikt mnie nie prześladował, nie stanął przede mną, by odrzucić moje argumenty: wręcz przeciwnie! Chuchano na mnie i dmuchano, wychowywano i kształcono, żebym mógł rozpowszechnić swoją opowieść w świętym spokoju. „Wtajemniczony” – akurat! Za życia robiłem to samo, co teraz robi taka maszyna, którą postawiono w 1979 roku u wrót bazyliki i która powtarza jak katarynka historię objawienia Maryi Panny w piętnastu językach za jedyne pięć pesos.

I otacza się mnie kultem! I odprawia msze! I przypisuje moc czynienia cudów! A intryganci z Watykanu chcą mnie kanonizować ze względów politycznych, żebym już na zawsze pozostał

lukratywnym sługą legendy, która powstała na mój temat! Poświęciłem swoje ziemskie istnienie Maryi Dziewicy, ale ona mnie dłużej nie potrzebuje, nie objawia się więcej, zostawia mnie na pastwę żarliwości wiernych, którą jej kradnę, więc dosyć tego! Nie mam już siły spędzać wieczności, wysłuchując staruch utyskujących na żylaki i staruchów skarżących się na prostatę i emeryturę; młodych błagających mnie o dziecko albo o poronienie, kalek modlących się o nogi, deputowanych – o stołek, kibiców – o gola, zdradzonych – o współmałżonka, bezrobotnych – o robotę, nieuleczalnie chorych – o lekarstwo, bitych kobiet – o spokój, i żołnierzy – o wojnę! Mam tego po uszy! Nic nie mogę dla was zrobić, nawet przekazać dalej waszych próśb! Zwracajcie się bezpośrednio do Matki Boskiej albo domagajcie się niemożliwego od samych siebie. To czasem działa, wiem, jestem postawiony we właściwym miejscu, żeby to wiedzieć! Sam nie dokonałem żadnego cudu, ale wiele z nich wydarzyło się na moich oczach, na ruchomych chodnikach bazyliki. Dlatego zostawcie mnie w spokoju, rozwiążcie swoje problemy, żyjcie własnym życiem i przygotujcie swoją śmierć. Albo módlcie się za mnie. Żeby mnie zniszczono, zapomniano, dyskredytowano... Litości... Byłem niczym. Pozwólcie mi znów stać się niczym. Chcesz prawdy, Nathalie? Chcesz wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w 1531 roku? Chcesz, żebym ci opowiedział o moim spotkaniu z Maryją Dziewicą, tak jak jeszcze nigdy tego nie robiłem, z szacunku do niej, ze wstydu, z obawy o to, by jej nie skompromitować?

W sobotę, 9 grudnia, wychodzę z domu o świcie i idę na lekcję katechizmu do Tlatilolco. Mijam wzgórze Tepeyac i nagle słyszę śpiew ptaków, jakby była pełnia lata. Zatrzymuję się, a trele natychmiast cichną. Za to słyszę bardzo łagodny głos, który wzywa mnie po imieniu ze szczytu wzgórza: „Juantzin... Juan Diegotzin...”. Z tego samego wzgórza, gdzie kiedyś świętowaliśmy nasz Ostatni Raz. Rozpoznaję modulację głosu Marii Lucii i jej sposób mówienia. Nieprzytomny ze szczęścia, wspinam się na nasze wzgórze w poszukiwaniu ducha mojej żony – i zatrzymuję się nos w nos z nieznaną, która błyszczy tak jasno, jak gdyby słońce świeciło za jej plecami, choć jednocześnie ona sama nie stoi pod światło. To młodzianka dziewczyna, bardzo piękna, ale tym rodzajem urody pewnej siebie, spokojnej i doświadczonej: to uroda ponad jej wiek. I zaczyna gadać do mnie w nahua, moim języku ojczystym, z identycznym akcentem jak moja zmarła żona.

Rzecz tak: „Jestem Święta Maryja zawsze Dziewica, matka prawdziwego Boga, dla którego wszyscy istniejemy”. To ja jej odpowiadam dzień dobry i że właśnie idę na lekcje katechizmu. Mówię tak po to, żeby nie było niedomówień: w związku z tymi wszystkimi masakrami, okaleczeniami praktykowanymi przez kolonizatorów dla postrachu i syfilisem, który do nas importowali, w obiegu zostało niewielu sprawnych Indian dla dziewcząt z mojego ludu. Byłem często podrywany i strasznie tego nie lubiłem, choć przyznaję, że sztuczki z Matką Boską jeszcze nikt na mnie nie próbował. Ona jednak kręci wolniutko głową i mówi: „Nie, Juantzin kochany, dzisiaj nie pójdziesz na lekcję katechizmu, masz coś lepszego do roboty”. Na to ja jej

odpowiadam, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa, życzę jej powodzenia i lepszego wyboru, obracam się na pięcie z bardzo zaaferowanym wyrazem twarzy.

A tu ona znowu jest przede mną, wciąż ze słońcem za plecami, ale z dobrze oświetlonymi rysami twarzy – jakbym wykonał pełny obrót. To ona jednak znikła i znów zmaterializowała się w innym miejscu. Wkurzyłem się trochę, bo wzgórze było kiedyś sanktuarium Tonantzin, o której wielcy kapłani mawiali, że materializuje się wtedy, gdy potrzebuje świeżej krwi. I wydało mi się dość podłe z jej strony, że teraz przebiera się za Matkę Boga miłości po to, żeby żądać ofiary z niemowlaka. No więc mówię, że nie dam się nabrać i że źle trafiła: nie mam dzieci. „Pokaż no swój naszyjnik z czaszek i odciętych dłoni!” – dodaję, aby zrozumiała, że ją rozpoznałem.

A ona, nieporuszona, tylko się uśmiecha. Tracę cierpliwość: „Jazda, złaż mi z drogi, Tonantzin, nie bądź niemądra, już w ciebie nie wierzę, jestem ochrzczonym katolikiem”. I kończę znakiem krzyża, żeby odesłać ją do jej adoratorów. Ona dalej tam sterczy, nie reagując i nie przejmując się niczym, z pobłażliwym uśmiechem i łagodnym głosem: „Synu mój drogi, moje maleństwo, najskromniejszy z płomyczków roznieconych w ognisku mego serca, twoja bogini Tonantzin nie jest niczym innym jak tylko obliczem, które mi dawaliście, jeszcze mnie nie znając, zniekształconym przez waszych kapłanów, którzy umacniali swą władzę poprzez terror i rozlew krwi. Ale to pieśń przeszłości, a oto czego dzisiaj od ciebie oczekuję: pójdziesz do pałacu biskupa Meksyku i opowiesz mu, że mnie widziałeś”.

Jestem tak wstrząśnięty, że zapominam o nieufności i mówię, iż zrobiłbym to z przyjemnością, ale nie mówię językiem Hiszpanów. A poza tym trzeba być bardzo naiwnym, żeby sobie wyobrazić, iż ot tak spotyka się biskupa Meksyku: puk, puk, to ja, Juan Diego, przychodzę w imieniu Najświętszej Dziewicy. Ona upiera się przy swoim: „Kiedy staniesz przed jego obliczem, poproś go, by zbudował mi kaplicę dokładnie w tym miejscu, żebym mogła udzielać pomocy i ratunku, dzielić się miłością i współczuciem z tymi wszystkimi, którzy przybędą do mnie, czy będą chrześcijanami, czy też nie. Kościoły tam, na dole, zostały zbrukane przez tortury i przestępstwa popełniane w moim imieniu: twoją misją jest wskazać prawdziwą drogę do nieba”.

Nie chcę jej zirytować, ale mówię, że przenigdy Jego Wielmożność nie da wiary biednemu Indianinowi z najniższej kasty, i jeśli chce mieć kaplicę, powinna lepiej zwrócić się do prawdziwego katolika, zasłużonego, hiszpańskiego i dobrze odzianego. Ona dalej się upiera: „To ciebie wybrałam – o najskromniejsze z moich dzieci na samym dnie nędzy, najniższy z moich synów, mój ty najmniejszy posłańcu na ziemi, mój najłżejszy oddech życia, na który nikt nie zwracał uwagi – ciebie, mój Cuautlactactzinie, Juanie Diego, co uprawiasz ziemię innych ludzi, pleciesz słomiane maty, by mogli na nich spocząć, i który postradałeś swoją wielką miłość, Marię Lucie. Zostaniesz sownie wynagrodzony za oddaną przysługę i za trud, którego od ciebie

wymagam. Idź, poszukaj biskupa, a on ci uwierzy z racji twojej szczerzej pokory”.

I wtedy wydarzyło się coś niesłychanego – jak gdyby ufność Matki prawdziwego Boga rozlała się we mnie, żeby mnie zachęcić do grzechu pychy. Ja, który nigdy nie unosiłem głowy, jak tylko po to, żeby błagać niebiosa o wybaczenie, że jestem tak nędzny w jednej chwili ujrzałem siebie, jak rozmawiam z biskupem i od razu prowadzę go tutaj, wraz z robotnikami i krzyżem. Czułem, że oto ja, zwykły bezbożny przechrzta, teraz staję się misjonarzem, wybrańcem, natchnionym prorokiem, Mojżeszem Meksyku. Pognałem do rezydencji biskupa. Już nic nie wydawało mi się niemożliwe, Nathalie, ale to nie była ta wiara, co przenosi góry: tylko próżność, która dodaje skrzydeł. I jak było do przewidzenia, zbliżywszy się zaudto do słońca, spaliłem sobie pióra.

Biskup Zumarraga przybył do Nowego Świata trzy lata wcześniej. Był to stary, przygarbiony franciszkanin, łysy i brodaty. Źle znośił zarówno klimat, jak i niewolnictwo, którym gnębili nas jego rodacy pod przykrywką ewangelizacji. Sprowadził z Hiszpanii osły, żeby trochę nam ulżyć, ale kardynałowie z Madrytu przywołali go do porządku.

Jego słudzy uprzejmie pozwolili mi wejść, jak gdybym był oczekiwany, z czego wywnioskowałem, że ulegli potędze tej łaski, co na mnie spłynęła; ale tak naprawdę siedziby rezydencji były otwarte dla wszystkich, nawet dla największego zera.

Wysłuchał mnie. Lub raczej obejrzał pantomimę, jaką przed nim odstawiłem: najpierw cała sceneria, potem objawienie plus efekty świetlne, budowa kaplicy i dobrodziejstwa spływające na wszystkich pielgrzymów szturmujących święte wzgórze, gdzie śpiewają nieznane ptaszęta. Skinął głową, pobłogosławił mnie w swoim języku, podarował mi placki i miód, a potem mnie odesłał.

Powróciłem na wzgórze, już bez złudzeń, zawstydzony, ze spuszczoną głową. „Wszystko poszło dobrze?” – spytała Maryja Dziewica, która czekała tam na mnie ze swoim wiecznie pogodnym wyrazem twarzy. Pokazałem jej placki i miód, wzruszyłem ramionami, przyznałem się do porażki i w przypiływie urazy, jak gdybym chciał jej wypomnieć mój nadmiar próżności, rzuciłem: „Widzisz, miałem rację – nie uwierzył mi!”. Nie tracąc spokoju, kazała mi znowu pójść tam nazajutrz. Odparłem, że nie tylko mi nie uwierzył, ale nawet mnie nie zrozumiał. Powiedziała, żeby m wziął ze sobą tłumacza, i rozplnęła się na moich oczach.

Co byś zrobiła na moim miejscu, Nathalie? Zapukałem do Juana Gonzaleza, też przechrzty, ale z wyższej kasty, który nawrócił się ze względów finansowych. Nie chcę wrzucać kamyczka do ogródka lepiej urodzonych niż ja, ale najbogatsi Indianie spontanicznie zaoferowali swoje usługi najeźdźcom, żeby jeszcze korzystniej eksploatować biednych. Troszeczkę inny był przypadek Juana Gonzaleza, który był poetą i eksploatował jedynie swój talent – ale powiedzmy sobie, że poeci potrzebują, by ktoś ich czytał i słuchał, a tymczasem Hiszpanie w błyskawicznym tempie nas dziesiątkowali przez złe traktowanie, rabunek i choroby, więc bardziej się opłacało

inwestować raczej w ich język, aby zapewnić przetrwanie naszej kultury.

Juan Gonzalez wpuścił mnie, ja ofiarowałem mu placki i miód, wyjaśniając całą sytuację. Biskup już wcześniej korzystał z jego usług jako tłumacza, więc następnego dnia stanęliśmy przed nim we dwójkę. Tym razem Zumarraga słucha i jest najpierw nieufny, potem poruszony, a na końcu podejrzliwy i ostrożny. Każe mi poprosić Matkę Chrystusa o jakiś dowód na potwierdzenie jej tożsamości. Obiecuję przekazać wiadomość i wychodzę. Biskup zatrzymuje mojego tłumacza. Nie wierzy mi, ale sądzi, że jestem szczerzy i jakaś fałszywa Dziewica wykorzystuje moją naiwność, żeby ośmieszyć wiarę katolicką. Juan Gonzalez, jak to on, dodaje komentarze w swoim stylu. Budzi się w nim poeta, który śpiewa tak, jak mu zagrają: pewnie manipulują mną potępione duchy bogini matki Tonantzin, które chcą przywrócić miejsce kultu na swoim świętym wzgórzu. By mieć czyste sumienie w tej sprawie, biskup rozkazuje sługom śledzić mnie. Zauważam ich i mówię sobie: bardzo dobrze, staną się świadkami objawienia i już nie będę musiał bawić się w pośrednika. Jak gdyby nigdy nic zwalniam kroku, żeby na nich poczekać; ociągam się, podziwiam widoki... Oni jednak gubią mój trop, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, choć moją szpiczastą czapkę widać z daleka i zawsze chodzę tą samą drogą. Czy naprawdę było konieczne, żeby cud dokonał się tylko poprzez moją osobę?

Jak było do przewidzenia, Matka Boska czeka na mnie na skale. Przekazuję jej wiadomość, a ona mi mówi, że nie ma żadnego problemu: jutro rano, kiedy znów pójdę do biskupa, dostanie on znak, którego żąda. Jestem już trochę zmęczony tym lataniem tam i z powrotem jako gołąbek pocztowy między Najświętszą Panią i jej sługami, ale co zrobić: muszę się z tym pogodzić. Tylko że po powrocie do domu okazuje się, że Juan Bernardino, mój stary wuj, który wychował mnie jak syna, już nie może podnieść się z łóżka. Biegnę do lekarza, a on bada go od progu, z odległości pięciu metrów, i mówi, że to śmiertelna zaraza, że coś takiego już nie leży w jego gestii i trzeba iść po księdza.

Całą noc czuwałem przy wuju, kurując go ziołami, które wcześniej leczyły nasze choroby, zanim Hiszpanie przywieźli swoje. O wschodzie słońca wuj jest umierający i chce się wypowiedzieć, więc znowu wyruszam do Tlatilolco. Tym razem nakładam drogi, żeby ominąć wzgórze, bo inaczej Maryja Dziewica znów zacznie mi zawracać głowę swoją kaplicą, a dziś nie jest to dobry moment.

Dokładnie w połowie drogi, której do tej pory nie znałem, ona już na mnie czeka, unosząc się nad ziemią. I po raz kolejny zaczyna starą śpiewkę: idź, poszukaj biskupa, i całe to bla, bla, bla. Ja jej na to, że z całym szacunkiem, ale robi się trochę namolna, a mój wuj umiera i kaplica musi trochę poczekać, bo teraz mam na głowie inne zmartwienia. Na to ona rozplywa się w powietrzu: droga wolna. Najpierw pomyślałem, że się obraziła i już mi się nie objawi, wybierze sobie innego posłańca, lepiej ubranego i bardziej wiarygodnego. Kiedy jednak wracam do domu z księdzem i ostatnim namaszczeniem, wpadam na mojego wuja, który jest

zdrowiuteńki i właśnie sprząta dom. Oświadcza nam, że pojawiła się przed nim niejaka Maria z Guadalupe, żeby mu oznajmić, iż został uzdrowiony i powinien poinformować o tym biskupa, a mnie ma przekazać wiadomość: teraz, gdy jestem wolny od zmartwień, mam iść zrywać róże na wzgórzu. Róże! W środku zimy! Na nagim wzgórzu, gdzie rosną tylko ciernie i jedno drzewo! A jednak, z drugiej strony, mój wuj był chory i wyzdrowiał, więc czemu nie... Niech będą róże.

I w rzeczy samej, wzgórze Tepeyac rozsiewa przepiękną woń i wszędzie otaczają mnie kwiaty, a Najświętsza Paniienka zjawia się przede mną i mówi, że to róże kastylijskie, które Jego Eminencja bardzo sobie ceni: przypomną mu jego ogród w Madrycie. Zrywam dwanaście róż, owijam je tilmą, żeby podczas drogi nie zwracać na siebie uwagi, i po raz kolejny pukam do bramy pałacu.

Słudzy rozpoznają mnie i najpierw nie pozwalają wejść. A potem widzą kwiaty i, osłupiali, prowadzą mnie przed oblicze biskupa, przyjmującego właśnie na audiencji pewnego hidalgo oraz rodzinę indiańskich niewolników – akurat rozstrzygał ich spór, korzystając z wolnego przekładu poety Juana Gonzaleza. Wszyscy obracają się w moją stronę. Mówię, co mnie sprowadza, i na potwierdzenie moich słów rozwijam tilmę teatralnym gestem, rozsypując róże po podłodze. Zbiorowe osłupienie. Wpatrują się we mnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na kwiaty. Klękają i czynią znak krzyża. Potem podnoszą się, otaczają mnie, obmacują, wreszcie biskup każe swoim sługom mnie rozebrać. Dopiero wtedy odkrywam obraz Maryi Dziewicy odbity na tilmie. Resztę znasz.

Zupełnie jak w tej wizji wywołanej trzy dni wcześniej przez przyływ próżności, wspinam się na wzgórze, a za mną biskup w odświętnej szacie, z krzyżem i murarzami, wypytując mnie o dokładne miejsce objawienia. W chwili gdy pokazuję mu ulubioną skałę Maryi Dziewicy, ze skały tryska źródło, jakby na potwierdzenie moich słów – ale to już początek legendy. Jest ona efektem pracy poety Juana Gonzaleza – jako pierwszy spisał moją historię dla potomnych, na swój sposób upiększając fakty, dorzucając rozmaite epizody, tu szczyptę sensacji, tam garść przesłodzonego zapału i afektacji. To on zrobił ze mnie oniemiałego z wrażenia pastuszka prosto z szopki, i w takiej roli uwieczniły mnie kolejne pokolenia. Wszystkie dokumenty, które przetrwały do waszych czasów – *Nican Mopohua*, *Nican Motecpana*, *Codex Tetlapalco*, *Tira de Tepechpan*, raport z dochodzenia kościelnego z 1666 roku – inspirowały się pierwszą relacją, wzmacniając raz po raz przesadę poety i pokrywając moją postać kolejną warstwą mistycznej naiwności, aby podtrzymać żarliwość wiernych.

Przez tych siedemnaście lat, które przyszło mi jeszcze spędzić w moim ciele Juana Diega, byłem więziony, uczony i wystawiany na pokaz przez biskupa, tresowany w powtarzaniu na życzenie, posłusznie i dokładnie, po hiszpańsku i w nahua, zarówno śledczym z Madrytu, jak i pielgrzymom przybyłym z czterech krańców Meksyku, mojej opowieści o przygodzie

z Dziewicą Maryją. I w dniu, w którym w końcu umarłem ze starości, ukończywszy siedemdziesiąt cztery lata, wierzyłem święcie, że w pełni zasłużyłem sobie na rajska szczęśliwość u boku kobiety mojego życia. Niebo jednak postanowiło inaczej. Utknąłem przed ścianą, w martwym punkcie, wewnątrz własnego ubrania, jako więzień spojrzenia Matki Boskiej, w towarzystwie świadków „rózanego cudu”: Zumarragi, jego służby, hiszpańskiego szlachcica, rodziny indiańskiej i Juana Gonzaleza. Tych nieruchomych figurantów, którzy są już tylko pustymi odbiciami, jako że nikt się do nich nie modlił, nie wzywał ich imienia i nie zatrzymywał ich w poprzednim wcieleniu; przypuszczam, że zbiorowe zapomnienie pozwoliło ich duszom spocząć w pokoju Pana i osiągnąć raj, do którego moja domniemana świętość broni mi wstępu od czterystu pięćdziesięciu dwóch lat.

Oto cała prawda, Nathalie. Moja prawda. Więzień własnej legendy – jestem skazany na oglądanie tego, na co patrzy Dziewica Maryja, na wędrowanie za jej wzrokiem i słuchanie wszystkiego, co się mówi i myśli na temat jej wizerunku, niestety, niezniszczalnego. Czym sobie na to zasłużyłem? Albo może: co powinienem był zrobić, żeby uniknąć takiej kary? Bo jest to kara, uwierz mi, Nathalie. Jeśli czasem udaje mi się na chwilę uciec z tej pułapki, to dzięki waszym umysłom, dzięki wam, którzy rozpracowujecie mój przypadek na całej kuli ziemskiej i o mnie myślicie, a nie kierujecie do mnie swe modły. Obojętne, czy macie złe czy dobre intencje, czy jesteście oświeceni przez intuicję czy też zaślepieni błędem, jest mi wtedy tak dobrze... Dzięki wam zmieniam trochę otoczenie, za każdym razem zapraszacie mnie do swojej epoki, dzielicie się ze mną swoim językiem, kulturą, wiarą lub wątpliwościami, zmartwieniami, samotnością i radością; przywracacie mi, na okres naszego połączenia, świadomość przemijającego czasu i pozwalacie oglądać, waszymi oczami, nowe horyzonty; zabieracie mnie w terażniejszość w zmieniającym się świecie, pomiędzy zachowania ludzkie, które się nie zmieniają, ale dla mnie pozostają nieprzewidywalne. Nieśmiertelność, jeśli o mnie chodzi, w niczym nie wpływa na granice rozsądku, nie pozwala przewidzieć przyszłości ani wyrwać się złudzeniom, ani przedłużyć zainteresowania, jakie się wzbudza. Zmniejszacie na chwilę moją rezygnację, a potem zaczynacie myśleć o czymś innym. Przestajecie się tak na mnie koncentrować i wypadam wam z głowy, a wtedy powracam tutaj, za moją szybę pancerną ponad ruchomymi chodnikami. Nasz przelotny związek wynika tylko z daru wszechobecności, bez żadnych konsekwencji, jest jak sen; sen o ucieczce, któremu, taka już moja natura, pozwalam się omamić.

Ale nie teraz, Nathalie. Tym razem dotrę aż do kresu twoich sił; nie pozwolę ci mnie opuścić. I nie tylko przez wyrywanie jednej nitki z tilmy uda ci się zdyskredytować ten cud. Wiem, że z twoją wiedzą i twoim sprzętem masz szansę zwrócenia mi wolności, i na pewno uda mi się sprawić, byś odkryła tę możliwość.

Od prawie godziny mikrobus miota nami po dziurach i wybojach podłych szos, które wiją się serpentynami przez pustkowia. Nic, tylko nagie wzgórza, cmentarzyska samochodów, wioski z pustaków krytych blachą falistą, drogi usiane co dwadzieścia metrów gigantycznymi progami spowalniającymi, na których nasze żołądki dostają rozstroju. Ojciec Abrigón, z entuzjazmem komentując każdy szczegół tej przejażdżki poprawiającej trawienie, wyjawia nam, że nazywa się je *topes*. Kiedy pytam, czemu progów jest aż tyle, odpowiada, że ziemia tu jest bardzo sucha; gdy zatem zdarza się jakiś śmiertelny wypadek, nie grzebie się ciała, tylko kładzie je w poprzek szosy i zalewa asfaltem, żeby kolejny wzgórek bronił życia wioskowych dzieci przed szarżującymi kierowcami. Uśmiecham się jako jedyna. Albo moi koledzy nie mają poczucia humoru, albo znają ten kraj lepiej ode mnie.

Chciałam wykorzystać czas podróży na wymianę informacji z ekspertami z różnych dziedzin, ale Niemiec co kwadrans zatrzymuje mikrobus, a poza tym siedzi z zaciśniętymi zębami, skupiony na problemach swoich jelit, historyczka poprawia jakiś maszynopis, Rosjanin, upojony piwem Corona, pochrapuje na tylnym siedzeniu, a Kevin Williams konferuje przyciszonym głosem przez komórkę, informując po raz dwudziesty niejaką Wendy, że nic nie słyszy i to nie jest dobry moment, żeby znowu rozmawiać o akwarium.

– A oto i wykopaliska archeologiczne w Calixtlahuaca! – obwieszcza z dumą ojciec Abrigón.

Najwyraźniej sam nie wie, co ma z nami robić, dopóki nie będziemy w komplecie, więc zabrał nas na wycieczkę. Mikrobus zatrzymuje się przed zamkniętą i opustoszałą stacją benzynową. Maszerujemy dziesięć minut w żarze lejącym się z nieba, po kamienistej drodze, gdzie można skrócić nogę, aż do zrekonstruowanego przy użyciu zbrojonego betonu stosu ruin, który ksiądz wspaniałomyślnie nazywa piramidą. Jakiś smarkacz w kąpielówkach i zielonym kepi pędzi w naszym kierunku z książeczką kwitów w ręce, żeby zedrzeć opłatę za kręcenie się wokół. Korzystam z tego, by zbliżyć się do Niemca, który ze zbolałym wyrazem twarzy zaciska rękę pod koszulą, w oczekiwaniu na kolejny spazm. Najpierw proponuję mu moje pigułki, żeby zdobyć jego zaufanie, a potem pytam, czy już widział tilmę. Urywającym głosem, w tempie dostosowanym do rytmu skurczów, inżynier chemik odpowiada, że badał próbki oraz zdjęcia w podczerwieni i jego werdykt jest niepodważalny: obraz bezpośrednio „wimpregnowany” w płótno, bez zagruntowania, co czyni jego wyrazistość niewytłumaczalną, a konserwację – niemożliwą; pod mikroskopem nie da się wyróżnić najmniejszego śladu pędzla, nie pojawiają się żadne spękania – krótko mówiąc, tkanina z włókien agawy zachowuje się jak błona fotograficzna, z Matką Boską widoczną po obu stronach.

– A barwniki?

– Nie są pochodzenia mineralnego ani roślinnego, zwierzęcego ani ludzkiego. Pozwalam pani wyciągnąć wnioski.

– Bóg?

– Albo kosmici. Już w czasach Azteków Meksyk był miejscem nawiedzonym szczególnie często przez UFO; świadectwa na ten temat znajdują się we wszystkich sanktuariach pogańskich.

Zwracam się w stronę historyczki, która przytakuje z powagą. Powstrzymując rosnącą irytację, pytam, czy naprawdę wierzą w te bzdury.

– Jesteśmy naukowcami – protestuje specjalista od włókien. – My nie wierzymy: my studiujemy, stwierdzamy i składamy sprawozdanie. To, że pod obrazem nie ma żadnej warstwy podkładu ani zaprawy na płótnie, nie wystarcza, żeby udowodnić jego nadprzyrodzone pochodzenie, fakt. Ale gdyby była jakaś warstwa, to by oznaczało, że obraz jest dziełem ludzkim. Zgadza się?

Nie znajduję żadnej riposty. Przeprasza i rusza na poszukiwanie jakichś krzaczków.

– Niech pani nie próbuje wywierać na nas wpływu, mademoiselle – rzuca mi oschle otyła dama w workowatej sukni. – Sama poświęciłam dwadzieścia lat życia na studia historyczne nad tilmą. Profesor Wolfburg kontynuował badania i potwierdził analizy barwników na tkaninie, przeprowadzone w 1936 roku przez laureata Nagrody Nobla, Richarda Kuhna, i sam jest kandydatem do tej nagrody. Nasz przyjaciel Traskin to światowy autorytet, jeśli chodzi o czarne dziury, a Kevin Williams jest oficjalnym ekspertem NASA w dziedzinie cyfrowego przetwarzania obrazów przesyłanych przez sondę Pathfinder. Niech pani nie pozwoli, by uprzedzenia przesłoniły pani kompetencje: oto moja rada.

– Ale być może, Leticio, my właśnie za głęboko w tym tkwimy – interwencja Kevina Williamsa jest rozczulająca w swej niezręczności. – Osobiście z przyjemnością wysłucham, jakie jest zdanie doktor Krentz w tej sprawie.

Patrzę na jego jasną cerę, już dość mocno zaczerwienioną na czole i czubku nosa. Moje zdanie jest takie, żeby natychmiast użyć kremu przeciwsłonecznego z najmocniejszym filtrem. Szybko jednak opanowuję dziwnie macierzyńskie uczucia, które budzi we mnie ten lekko nedorobiony czterdziestolatek, trochę różniący się od reszty. To jego zainteresowanie dla najmniejszego kaktusa, dla śladowej niemal perspektywy wzgórz wynurzających się z mgieł zanieczyszczonego powietrza, to fotografowanie bunkra w kształcie piramidy pod każdym możliwym kątem... Przywodzi na myśl harcerzyka, który nerwowo przygotowuje sprawozdanie z naszej wycieczki.

– Poczekam z opinią, aż przeprowadzę badanie obrazu – mówię mu dużo chłodniej, niżbym chciała. – Nie należę do osób, które są z góry o czymś przekonane.

– Chce pani obejrzeć moje powiększenia rogówki? – proponuje nagle z brutalną wręcz odwagą, właściwą ludziom bardzo nieśmiałym. – Mam je w walizce, w hotelu.

Przyglądam mu się z rozrzewnieniem. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie uciekał się do tak naiwnego pretekstu, żeby zaciągnąć mnie do swojego pokoju.

– Proponuję to tylko po to, żeby mogła się pani przygotować do badania – broni się gwałtownie, widocznie odgadując moje myśli. – Za pierwszym razem nawet oku specjalisty trudno jest dostrzec wszystkie postaci. Proszę nie zapominać, że jest ich trzynaście i razem zajmują powierzchnię rogówki mniejszą niż osiem milimetrów!

– Będzie mi bardzo miło – mówię z uśmiechem, rozbrojona, żeby już przestał pąsowieć, bo i bez tego ma twarz czerwoną od słońca.

– Oho! Już piąta – oświadcza nagle ojciec Abrigón, klepiąc się po karku. – Wracajmy szybko!

Pozostali natychmiast ruszają ścieżką w jego ślady, a ja dopadam ich biegiem, zmykając przed gradem owadzich ukłuć.

– Niech pani to założy – mówi, podając mi żółtą plastikową bransoletkę, którą wyjął z hermetycznego opakowania, podczas gdy profesor Wolfburg, klnąc, wypada z krzaczków.

– To środek przeciwko ukąszeniom, z olejkim cytronelowym, trzeba go nosić codziennie od piątej po południu. Jeśli chodzi o nasze komary, są bardzo punktualne.

Włazimy do mikrobusu, przerywając drzemkę astrofizyka, który unosi jedną powiekę, podczas gdy ksiądz spryskuje nas środkiem owadobójczym, każąc nam przez chwilę nie oddychać. Rosjanin zasypia, kierowca ścisza muzykę, odpala i zaczynamy trząść się znowu, tyle że w odwrotnym kierunku.

Po jednym czy dwóch kilometrach bzyczenie słabnie, a odgłosy klepińców są coraz rzadsze. Nasz przewodnik, stojący na samym przedzie mikrobusu, ze wzrokiem utkwionym w horyzont, a prawą dłońią na poprzeczce tablicy rozdzielczej, jak kapitan na mostku okrętu, rozmawia po hiszpańsku ze swojej wielkiej, przestarzałej komórki, podłączonej do zapalniczki samochodowej. Przerywa połączenie z niezadowolonym wyrazem twarzy, potrząsa telefonem, jak gdyby był to karton soku pomarańczowego, i wystukuje inny numer. Trzy zdania później obraca się gwałtownie w moją stronę, zamyka oczy, zaciskając pięści, po czym uśmiecha się do mnie, odłącza telefon, zwija kabelek i chowa wszystko do wielkich kieszeni traperskich spodni.

Patrzę, jak kroczy środkowym przejściem, kołysząc się przy każdym podskoku pojazdu. Opada na siedzenie obok mnie, wskazuje mi opustoszałą wioskę bardzo podobną do poprzedniej i wyznaje, że obie wioski sprzeczą się o honor bycia miejscem narodzin Juana Diega.

– No tak, niczego się nie da ustalić na sto procent.

– Ależ da się – protestuje słabo. – To kataster się zmienił. Jego dom rodzinny jest teraz na granicy między jedną a drugą osadą.

Czuję, że coś go trapi. Najwyraźniej ma mi jeszcze coś innego do powiedzenia.

– Jakiś problem?

– Zadzwoiłem do waszego hotelu, żeby sprawdzić, czy doktor Berlemont już dotarł.

– No i?...

– No i powiedzieli, że nie. Ale dowiedziałem się również, że miała pani wizytę.

– Jaką wizytę?

– Nie wzięła pani ze sobą klucza?

– Waży tonę. Skąd to pytanie?

– Przenigdy nie wolno zostawiać klucza w recepcji – fuka na mnie. – Sprzątaczką nakryła jakiegoś mężczyznę, jak grzebał w pani rzeczach. No ale cóż, nie ma co rozdzierać szat: jest to, niestety, dość częste. Całe szczęście – dodaje, wskazując na walizeczkę – że wzięła pani sprzęt ze sobą. A jeśli chodzi o pieniądze czy cenne przedmioty...?

Uspokajam go: dokumenty i karty kredytowe mam przy sobie, przyjechałam bez laptopa, a w mojej walizce są tylko ubrania.

– Przystępczość to u nas prawdziwy problem. – Wzdycha, trochę machinalnie, jakby był myślami gdzie indziej.

– A policjanci nic nie robią?

– Robią: w dni wolne od pracy sami organizują włamania.

– Czy coś jeszcze pana gnębi?

Kiwa głową, poklepując się po kolanie, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

– Tak. Jego Wielbność Ruiz, rektor bazyliki, skraca swoją podróż. Był na synodzie w Caracas. Nie wiem, co go tam spotkało, w każdym razie wraca jutro.

– I nie możemy się obyć bez doktora Berlemonta?

– Nie ma mowy: to jedyny laicki śledczy mianowany przez Komisję Kanoniczną badającą cuda. I na dodatek lekarz osobisty kardynała Solendatego. Jak to zrobić?

Rozkładam ręce, nie umiem mu pomóc w rozwiązaniu tego dylematu. Kiedy zajeżdżamy przed hotel, przypomina wysiadającym ekspertom, że mikrobus czeka na nich, jak tylko będą gotowi, żeby zabrać ich na spotkanie z prasą, a następnie na oficjalne przyjęcia. Mnie zatrzymuje, gdy chcę iść za pozostałymi.

– Ruszamy na pani spotkanie.

– Do Instituto de Cultura?

Przytakuje i daje szoferowi znak do odjazdu. Wyrażam chęć wstąpienia, choć na chwilę, do pokoju, by sprawdzić stan moich rzeczy. Potrząsa głową:

– Później. To trzy przecznice stąd, ale są korki, a ja wolałbym być przed czasem.

– Ach tak?

Nie zwracając uwagi na moją ironię, podaje kierowcy adres, podczas gdy zajmuję z powrotem swoje miejsce. Potem podchodzi do mnie, ale nie siada, stoi oparty o siedzenie naprzeciwko, ze skrzyżowanymi ramionami. Jego nieruchomy wzrok budzi we mnie ten sam niepokój, który wczoraj odczuwałam w obecności rzekomego urzędnika do spraw kultury. Po kilku minutach namysłu oświadcza:

– W zależności od tego, jak potoczy się ta rozmowa, złożymy lub nie doniesienie o włamaniu do pani pokoju.

Ton, jakim to mówi, sprawia, że unoszę głowę.

– Myśli pan, że jedno łączy się z drugim?

– Być może.

– I że jestem w niebezpieczeństwie?

– Będę z panią szczerą, Nathalie. Pani rola w tej ekspertyzie jest – jak by to ująć? – czysto formalna. Nikt tutaj nie myśli poważnie, że jest pani w stanie udaremnić kanonizację Juana Diega.

– Proszę mi przynajmniej nie odbierać przywileju wątpliwości.

– Mówiłem to, aby panią uspokoić. Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś katolik, nawet fanatyczny, próbował czegokolwiek, by panią zastraszyć albo przeszkodzić pani w skutecznym przeprowadzeniu badania. Natomiast jest bardzo możliwe, że po stronie wrogów Kościoła, a są oni wciąż liczni w najwyższych władzach, znalazł się jakiś odpowiednio manipulowany oszołom, który zaatakuje panią, a wtedy oskarży się fanatyków religijnych o chęć uciszenia wysłanniczki diabła.

Zaciskam palce na metalowym oparciu i obserwuję go, próbując ustalić, jak bardzo poważnie to mówi.

– Proszę nie zapominać, że jesteśmy w okresie przedwyborczym. Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna jest gotowa na wszystko, żeby utrzymać się u władzy.

– I zyskają więcej głosów, jeśli zrobią ze mnie męczennicę?

– Nie sędzę, żeby posunęli się tak daleko, i zrobię wszystko, żeby zostawili panią w spokoju. Dziesięć lat temu, kiedy papież przyjechał na beatyfikację, wzięli się za nieszczęsnego Guida Ponzo podczas jego konferencji na temat tajemniczych pigmentów z płaszcza Matki Bożej, które jego zdaniem były mieszanką tlenku miedzi i metylenu.

– I co się stało?

– Pomalowali go całego na niebiesko jego własną miksturą.

Odpowiadam, żeby ukryć nagły przyływ niepokoju, że doprawdy, ten Don Diego wszystkim uderza do głowy.

– Juan Diego – poprawia mnie łagodnie. – Don Diego to Zorro. Chociaż, jakby się zastanowić, to ten lapsus nie jest pozbawiony sensu... Nie wyobraża sobie pani nawet, ile nasz przyszły święty oznacza tu dla biedoty, Indian, dzieciaków z ulicy, wyrzutków społeczeństwa... A ja sam, mimo że rozmyślam o nim od trzydziestu pięciu lat, wciąż nie mogę znaleźć słów, żeby podzielić się tym, co odczuwam. Emanuje z niego taka łagodność i takie zrozumienie... I również wielkie oczekiwanie. W Meksyku szykują się duże zmiany. Przemiana polityczna, jakiej nie było od siedemdziesięciu lat. Otwarcie się na świat, koniec tego skorumpowanego

letargu, tej chronicznej pasywności, przez którą tyle ucierpieliśmy. I Dieguito to wszystko symbolizuje. Teraz, gdy nienawiść rasowa wybucha ze zdwojoną siłą, by uwięzić nas w średniowiecznym ciemnogrodzie – bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy naszego Indianina. I chcemy, żeby uświęcone zostały te wartości, które on ucieleśnia. Pokora, godność, odwaga, by zmierzyć się z wrogością niedowiarków i zaślepieniem wierzących, zdobyć moc przekraczania własnych granic w służbie pięknej sprawie...

Słucham go, wzruszona szczerością tej przemowy, tak bardzo ludzkiej i tak mało religijnej.

– Pani sama, Nathalie, kiedy walczy z siłami Kościoła, by uchronić młodą dziewczynę przed konsekwencjami jej uzdrowienia – czytałem raport, który przekazał mi kardynał Fabiani, relację z pani potyczek w Lourdes z przedstawicielami Komitetu do spraw Cudów – działa w imię Boże, nawet jeśli myśli pani coś zupełnie innego.

– Zależy, co rozumie pan pod słowem Bóg.

– A pani?

– Ja nie używam tego słowa.

– Wierzy pani w przypadek, chaos, nieistnienie duszy, uważa pani, że jest tylko śmierć i kropka?

– Myślę – i podkreślam – myślę, że bakterie stworzyły życie na Ziemi, odkrywając syntezę chlorofilu i przyswajanie wapnia. Na samym początku komórki odrzucały go jako niepotrzebny. Ale bez struktury kośćca nie byłoby rozwoju psychicznego.

– Jest więc jakaś myśl stwórcza u zarania dziejów świata. A czy się ją nazwie Duchem Świętym, czy bakteriami, to już mi nie przeszkadza.

– Mnie też nie, chyba że robi się z niej zasadę moralną i źródło konfliktów. Jaki jest cel i sens religii z punktu widzenia ewolucji? Dostarczyć pewien kod postępowania, podstawy do refleksji, przesłanie nadziei i zasady higieny. Reszta jest nadużyciem władzy.

Kiwa głową z głębokim westchnieniem. Pytam, czy go zszokowałam. Ze smutkiem wpatruje się długo w plastikowe wzory wytłoczone na oparciu przed sobą, po czym odpowiada:

– Wyglądam na człowieka korzystającego z radości życia, moje dziecko, ale często czuję się zmęczony ludźmi i tą ziemią bez miłości... Kościół bardzo mnie zawiódł. A poglądy tego papieża komiwojżera, który najpierw rozpala serca, a potem je gasi swoimi konserwatywnymi kazaniami... Nikt od niego nie żąda, żeby zmienił opinię na temat stosowania prezerwatyw i kontroli urodzeń, skoro dogmaty są takie, a nie inne, ale niech przynajmniej nic nie mówi! Albo niech mówi o czym innym! Nie wyobraża sobie pani, jak ja mam za złe tym intrygantom, którzy wysyłają go w cztery strony świata, żeby móc sobie spokojnie rządzić w Watykanie... Solendate i spółka, wszyscy ci książęta Kościoła, którzy w cieniu krzyża widzą tylko kolor purpury i własną karierę... Jeden kardynał Fabiani jest dla mnie inny. Próbował wprowadzić trochę moralności, czystości do tej instytucji bankowej, którą stała się Stolica Piotrowa, i wciąż każą

mu za to płacić. Obarczyć go obowiązkami adwokata diabła, w jego wieku, z taką rangą i przy jego zwyrodniałych stawach... Toż to wstyd. Gdyby go pani widziała miesiąc temu, jak przemierza stare dzielnice Meksyku we fluorescencyjnych szortach i podkoszulku z Myszka Miki... Jak tylko przyjechał, zaraz dopadła go policja z powodu sutanny i czerwonej pelerynki prałata. Musiałem zapłacić karę, wydostałem go z więzienia owiniętego w poncho, a potem poszliśmy kupować cywilne ubrania do „El Nuevo Mundo”, tego domu handlowego naprzeciw pani hotelu. Ale z powodu jego wzrostu musiałem zaprowadzić biedaka do działu dziecięcego.

Cmoka językiem, widząc moje zdziwione spojrzenie. Portret, który mi kreśli, ma niewiele wspólnego z tym, co zapamiętałam ze spotkania z ekscentrycznym, szczwanym staruchem, rozpościerającym poły swej peleryny na moim fotelu.

– Dalej jest pani sceptyczna? Więcej jest człowieczeństwa w honorze, który ratuje kardynał Fabiani, drwiąc z upokorzeń, niż we wszystkich kojących przemowach, jakie kardynał Solendate kładzie w usta papieżowi.

– Odnoszę wrażenie, że ksiądz jest mocno antyklerykalny.

– Jestem chrześcijaninem, to wszystko, i mam za złe Watykanowi, że nad wartości głoszone przez Jezusa przedkłada interesy finansowe, polityczne i mafijne.

– A obowiązek zachowania dyskrecji, posłuszeństwo?

– To dobre dla żołnierzy! My mamy przecież tajemnicę spowiedzi, to nam wystarczy! I nawet nie mówię o celibacie... Osobiście nie mam nic przeciwko, ale to powinien być wolny wybór, jak w prawosławiu, a nie obowiązek związany z kontraktem! Gdzie Jezus powiedział, że księża nie mogą się żenić? Jak pani zdaniem można głosić i szerzyć miłość, skoro samemu cierpi się z powodu tłumienia uczuć? Kościół katolicki popełnia samobójstwo, Nathalie, i można by powiedzieć, że robi to celowo. Jak mawia kardynał Fabiani, w dzisiejszych czasach handlarze opanowali świątynię i próbują z niej wykurzyć ostatnich prawdziwie wierzących, którzy nie pozwalają im w pełni oddać się kupczeniu.

Ten atak nieprzejednanej złości sprawia, że nagle ojciec Abrigón wydaje mi się ogromnie sympatyczny. Te krzyki, zaskakujące u tego łagodnego olbrzyma w przyciasnym żółtym polo, ta płomienna mowa tylko dla mnie w samym środku korka ulicznego, obrazoburcze kazanie w zaimprovizowanej nawie mikrobusu – najzupełniej mi to wszystko odpowiada. I bardzo mi się podoba ten błysk buntu pomieszany z przenikliwością umysłu, taki sposób wierzenia przy jednoczesnym odrzuceniu. Zastanawiam się, co zmieniłby we mnie wybór jakiegoś Boga, gdybym na początku nie była rozdarta między dwiema religiami i gdybym, jako nastolatka, nie pozbyła się wszystkiego, księży taty i rabinów mamy, żeby iść przez życie z lżejszym bagażem.

– Proszę mi wybaczyć, moje dziecko, że wylewam przed panią swe żale, ale w pani towarzystwie czuję się swobodnie. To naukowcy przywrócili mi radość miłowania bliźniego, którą postradałem, obcując zanadto z ludźmi Kościoła. Jestem zwyczajnym księdzem, wie pani,

większość czasu spędzam za biurkiem. Nie są dla mnie jasne wszystkie wasze odkrycia ani naukowy język, ale przy was czuję się trochę jak członek rodziny. Mówicie mi o swoich gwiazdach, pigmentach, soczewkach oka, jak gdybym był wtajemniczony w waszą wiedzę, przekazujecie mi swoje pasje, opowiadacie mi o życiu moich przodków, i czuję się, jak gdybym tam był... Słucham tego, zachwycam się, próbuję nadażyć za wami i uszczknąć nieco z tej wiedzy. Lubię nawet takie natchnione typy, jak Guido Ponso, z ich mglistymi, sekciarskimi teoriami: są przecież poszukiwaczami prawdy, nawet jeśli się mylą. Tak rzadko spotyka się poszukiwaczy prawdy... Już dziś żałuję, że się rozstaniemy.

Pozwala trwać wymownej ciszy, podczas gdy silnik mikrobusu gaśnie na czerwonym świetle, potem znów odpala. Posyłam mu pytające spojrzenie.

– Powiedzmy sobie jasno, Nathalie, jak tylko papież ogłosi kanonizację, naukowcy nie będą już mieli nic do roboty. Jego Wielebność Ruiz zatrzaśnie wam przed nosem wrota bazyliki; przy mej ukochanej tilmie pozostaną już tylko pielgrzymi i sprzedawcy pamiątek. I być może zamkną nawet moje biedne Centro de Estudios, pod pretekstem redukcji wydatków. Irytuję wszystkich rektorów bazyliki, dobrze to wiem. Poprzedni wymyślał mi od naiwnych bałwochwalców z powodu mojej relikwii, obecny zarzuca mi, że narażam na niebezpieczeństwo jego święty obraz przez te wasze instrumenty... Będę się czuł bardzo samotny, moje dziecko... Ale trudno: ważne jest to, żeby sława Juana Diega promieniowała na całą planetę.

Kierowca zatrzymuje się na jezdni, obok szeregu samochodów zaparkowanych przed nowoczesną rezydencją z ukwieconymi balkonami. Ojciec Abrigón, marszcząc brwi, pochyla się do przodu, żeby sprawdzić numer, i wysiada z mikrobusu. Dołączam do niego, stając na brudnym chodniku, przesiąkniętym zapachem ryb. Masując gardło, podchodzi do domofonu. Nie wygląda to na urzędowy budynek ani nawet na biurowiec. Idealna przykrywka dla siedziby tajniaków. Ale u boku tego kolosa ze srebrnym krzyżykiem, dłońmi wielkimi jak bochny, przenikliwą goryczą mędrca i szczeniackimi napadami złości nie boję się niczego.

Abrigón szuka nazwiska zapisanego na wizytówce, naciska przycisk domofonu. Oszklone drzwi rozsuwają się z cichym szmerem. Wchodzi pierwszy, omiata czujnym spojrzeniem banalny hol ze sztucznymi roślinami i skrzynką na listy. Wypełniona odręcznie naklejka, niedawno chyba umieszczona na grawerowanej tabliczce, informuje: *Roberto Cardenas – P. 3 i [(piso tercero, puerta izquierda; hiszp.) – trzecie piętro, drzwi po lewej.]*.

Mój anioł stróż przemierza hol wielkimi krokami, ściąga winę, z palcem na ustach wskazuje mi kabinę, a sam rusza do góry schodami, przeskakując po cztery stopnie. Kiedy docieram na trzecie piętro, już tam jest, przyczajony, z plecami przy ścianie i czujnym okiem. Daje mi znaki, że wszystko w porządku. Na palcach skrada się aż do drzwi po lewej, na chwilę przytyka do nich ucho, po czym kiwa, żebym podeszła, i naciska dzwonek.

Ciszę przerywa donośny dźwięk. Słychać odsuwane krzesło, kasznięcie, kroki na parkiecie.

Dolatuje głośniejsza muzyka: to solówka na saksofon. A potem drzwi otwierają się i staje w nich mój urzędnik do spraw kultury. W czerwonym świetle, owinięty w kimono, z twarzą rozjaśnioną w uśmiechu, który zamiera i znika na widok mojego towarzysza. Mruga oczami, jego wzrok wędruje od ojca Abrigóna do mnie, po czym zatrzymuje się na krzyżyku wiszącym pośrodku żółtego polo. Za nim, koło wieży stereo, chłodzi się butelka szampana, a obrazu dopełniają dwa kieliszki obok talerza pełnego kanapek. Niedowierzenie malujące się na twarzy gospodarza zmienia się w furję, gdy ksiądz mówi mu uprzejmie: *Buenas tardes*. Zatrząskuje nam przed nosem drzwi kawalerki. Szarmancki w każdym calu, z szatańskim błyskiem w oku, ojciec Abrigón pochyla się ku mnie i mówi głębokim głosem:

– Z całym szacunkiem, moje dziecko, myślę, że wziął panią za prostytutkę.

Wybucho gromkim śmiechem, daje mi sójkę w bok i zagarnia mnie do windy.

Jeszcze w drodze do mikrobusu silę się, by podzielać jego wesołość, zarówno z wdzięczności, jak i z poczucia godności, ale potem rozbawienie ustępuje prawdziwemu rozczarowaniu. Czuję się potwornie urażona. Nie dlatego, że ktoś pomylił mnie z call-girl, bo to akurat powinno mi schlebiać, ale dlatego, że sama wysłałam sobie z palca całą tę historię i ani przez chwilę nie wątpiłam, że mój przyjazd do Meksyku może zagrażać najwyższemu interesowi narodu. O ile lepiej jest się czuć zagrożoną ze względu na swoje kompetencje... Nienawidzę tego, że dałam się tak nabrać i pozwoliłam zwieść się sytuacji tak banalnej w tym kraju machos. Zwłaszcza jeśli naoczny świadek całego zdarzenia dobrze się bawi, choć z lekką pobłażliwością i współczuciem, sądząc, iż został zraniony mój wstyd, podczas gdy tak naprawdę jestem po prostu załamana, że tak mocno uwierzyłam w grożące mi niebezpieczeństwo. Czułam się potencjalnym celem ataku, a byłam tylko kolejną kandydatką na szybki numer.

– Ma pani pięć minut! – rzuca mi na schodach do hotelu. – Kolejna misja: przyjęcia oficjalne. Długa suknia mile widziana, jeśli ją pani ma.

Zważywszy na moją sytuację, odpowiadam, że najpierw zobaczymy, co zostawili mi włamywacze. Powstrzymując wesołość, radzi mi dobrze przeszukać pokój: „oni” być może podłożyli gdzieś mikrofon... Silę się na uśmiech wyrażający skruchę i przechodzę przez hol o niezmiennie niezdrowym wyglądzie, gdzie pozostali eksperci, w pełnej gotowości bojowej, zebrali się już w strefie wykładowej: czarne skórzane spodnie i haftowana koszula (astrofizyk), workowaty kostium w kolorze białej kiełbasy (historyczka) i lniana marynarka przepasana skórzanym pasem, w bawarskim stylu kolonialnym (inżynier chemik). Kevin Williams jest w smokingu. Unosząc brwi, posyła mi pytające spojrzenie. Pokazuję na migi, że wszystko w porządku, i czuję jego wzrok na plecach, gdy przyspieszam kroku w kierunku jednej z wind o wolutach z kutego żelaza.

Dawny kombatant w uniformie windziarza, oparty plecami o kraty, potrząsa odmownie głową i wskazuje mi dźwig bagażowy w głębi remontowanego korytarza. Najwyraźniej każdy

ma prawo do luksusowej kabiny tylko ten jeden raz, kiedy po raz pierwszy wjeżdża z walizkami. Albo obowiązują tu godziny otwarcia zabytkowych wind. Albo jest strajk. To niesamowite, jak szybko w tym kraju człowiek przyzwyczaja się do rezygnacji. Nos krwawi, kiszki się skręcają, policja kradnie, kierowcy ciężarówek mordują, naukowcy zatwierdzają cuda, normalnie funkcjonują tylko siły nadprzyrodzone, a w razie reklamacji – proszę się zwracać do Juana Diega.

Drzwi windy bagażowej zamykają się, a Kevin pospiesznie odwraca wzrok. On mi się podoba, i to bardzo, ale wcale nie jestem pewna, czy mnie interesuje. Na razie mnie wzrusza. Odzwyczaiałam się od mężczyzn, na skutek oglądania się tylko za jednym, i to wstecz... Co nowego wydarzyło się w moim życiu, odkąd jestem znów „do wzięcia”? Raz dałam się zaprosić na kolację mojemu pneumologowi. A potem na pół weekendu wyjechałam ze stomatologiem, żeby zatrzeć złe wrażenie. Poszłam nawet wspinać się na jedną górę z pewnym adwokatem, którego spotkałam w klubie fitness. Bynajmniej nie chcę wierzyć, że wszyscy faceci poza Franckiem Manneville’em są tacy sami, że myślą tylko o kopulowaniu, a nie lubią uprawiać miłości, podniecają ich nowinki, ale pomruki wystarczą, by ich zadowolić, i że wewnętrzne dziecko, które – jak mi się zdawało – w nich dostrzegam, to tylko idee fixe niedojrzałej osoby dorosłej. Ale chociaż walczę z takimi sądami a priori, doświadczenie udowadnia mi za każdym razem, jak bardzo się mylę, będąc tak mało przezorna.

Mimo wszystko pomyłka urzędnika Instituto de Cultura pozostawiła po sobie mglistą ekscytację, całkiem przyjemną, muszę przyznać. Od jak dawna nie brałam udziału w tej grze? W grze bycia kobietą, którą się uwodzi i która chce się podobać... To nie lepki upał tego kraju tak działa mi na zmysły, raczej ta atmosfera, gdzie wszystko staje się płynne, a nadprzyrodzone zostaje przyjęte za pewnik, ta maniera uznawania łaski boskiej za korzyść nabytą – to podsyca we mnie pragnienie bardziej konkretnych doznań, sprawia, że mam ochotę na wstępne manewry, pragnę poczuć czyjąś dłoń w mojej dłoni i czyjś ciężar na swoim ciele...

Próbuję utopić podniecenie w wąskiej, brązowej struzce wody, ledwo cieknącej z prysznicza, a potem splukuję ciało lodowatą mineralną z minibarku. Narzucam płaszcz kąpielowy i rozkładam na łóżku bieliznę w sześciu wariantach. Włamywacz zabrał tylko flakonik Guerlaina, pochodzący jeszcze z zapasów mamy. Widzę w tym jeśli nie znak, to okazję. Okazję do tego, by dłużej nie kryć się za mocnymi perfumami. Raczej dać szansę mojemu naturalnemu zapachowi, niech ewentualnie spotka na swej drodze jakieś męskie feromony. Wybieram fiołkowy komplet, kupiony w sklepie bezcłowym w Tokio, po zakończeniu kongresu oftalmologów: stanik ze stretchu i aerodynamiczne stringi. Uśmiecham się do własnego odbicia, malując się przed lustrem ułożonym w gwiazdę. Teraz trochę wstydzę się samej siebie, ale za to bardziej się sobie podobam. A poza tym to nie będzie miało żadnych konsekwencji: Kevin Williams jest z pewnością wierny, aseksualny i niedostępny. Ostatecznie mam prawo do

odrobiny podniecenia, mogę podarować sobie małą fantazję seksualną bez zobowiązań, przewietrzyć trochę głowę po tych wszystkich kościelnych historiach.

Rezygnuję z halki, która osłaniałaby mnie pod światło, i zakładam bezpośrednio na ciało powłóczystą, prześwitującą czarną suknię. Zawsze zabieram ją ze sobą w podróż, ale nigdy nie ośmielam się włożyć. Zaletą tego kraju papryczek jest to, że trzy posiłki wystarczyły, abym zrzuciła prawie dwa rozmiary.

Przez chwilę waham się, czy skorzystać z telefonu, ale potem mówię sobie, że pewnie znów nie będzie działał. A z psychologicznego punktu widzenia lepiej, żeby Franck mnie nie słyszał, dopóki nie zoperuje mojej pacjentki. Ale jest jeszcze inny powód. Dopiero dzisiaj w pełni zdaję sobie sprawę, jak bardzo cierpiałam po ostatniej nocy u niego, półtora roku temu. Rano, w windzie, zauważyłam, że zapomniałam kolczyków w łazience, więc wróciłam i zapukałam do drzwi. Mój ręcznik już wirował w pralce. Na ten widok chciało mi się płakać. Chyba wołałabym, żeby zastąpił go nowym ręcznikiem, w oczekiwaniu na jakąś inną kobietę. Tymczasem jego pierwszą czynnością po moim wyjściu było po prostu wrzucenie mnie do brudów.

Kevin Williams spaceruje nerwowo po chodniku przed hotelem, w szarym pióropuszu spalin z warkoczącego silnika. Bez żadnej specjalnej reakcji na mój pajęczy strój wampa, zachęca, bym jak najszybciej dołączyła do reszty oczekującej niecierpliwie w mikrobusie, w napiętej, nerwowej atmosferze. Pokonuję aleję uśmiechnięta, sprężystym krokiem. Historyczka bębni czubkiem kwadratowego paznokcia o zamek swej torby, chemik ostentacyjnie przerzuca notatki, a astrofizyk rysuje palcem potwory na zaparowanej szybie.

Opuszczamy centrum w promieniach zachodzącego słońca, w lodowatych podmuchach klimatyzacji, z drapaniem w gardle od spalin z wieczornych korków. Siedzący obok mnie Kevin kołysze się na wybojach i przysypia, w końcu pozwala głowie opaść na moje ramię. I nagle dopada mnie dziwna myśl. Jestem niewątpliwie jedyną osobą w tym mikrobusie, która uważa, że po śmierci niczego nie ma. Przypuśćmy, że wszyscy skończymy zgniecieni przez ciężarówkę i moja świadomość przetrwa. Będę miała tylko dwie możliwości: uznać swój błąd albo nie uwierzyć, że jestem martwa. Jeżeli to nasza percepcja rzeczy stwarza rzeczywistość, jak twierdzi fizyka kwantowa, to nie ma życia pozagrobowego dla tych, którzy sobie tego nie życzą, i koniec dyskusji. Chyba, że pozostali zmarli mają moc tworzenia na nasze przyjęcie specjalnej struktury, aklimatyzacyjnego placu zabaw... Zastanawiam się, jak by mnie przyjął Juan Diego. A Maria Lucia, jeśli są razem po śmierci, jak ona odbiera to ziemskie molestowanie jej męża przez bałwochwalców, którzy chcą go uświęcić – ona, o której istnieniu wszyscy zapomnieli?

Budzi mnie huk pioruna. Jest ciemna noc. Ojciec Abrión dorwał się do mikrofonu dla turystów, przymocowanego do deski rozdzielczej, a teraz odchrząkuje w głośniku wiszącym nad jego głową. Moi zaspani koledzy nerwowo rozprostowują kości.

– Zbliżamy się do celu. Ze względów protokolaro-kurtuazyjnych, które zrozumieją państwo

bez trudu, zjemy kolację dwa razy. Przymuszczalnie organizator bufetu będzie ten sam, dlatego radzę unikać owoców morza i soku pomarańczowego. Stosunkowo najpewniejsza pozostaje tequila...

– ...po to, żeby eksperci byli jednomyślni – kończę, szepcząc Kevinowi na ucho.

On jednak przerywa kontakt między nami i przechyla się na oparcie od strony przejścia; sama nie wiem, czy z winy moich feromonów, czy mego szyderstwa. Przecieram zaparowaną szybę. Po pokonaniu chyba dziesięciu progów spowalniających wjeżdżamy do jednej z tych wiosek, które mijaliśmy po południu, w porze sjesty. Teraz główną ulicę zalał podniecony tłum, który nas pozdrawia okrzykami albo obrzuca zniewagami, trudno wyczuć, uderzając rytmicznie w karoserię mikrobusu, w morzu transparentów przypominających, że Juan Diego urodził się właśnie tutaj.

Skręcamy na parking strzeżony przez uzbrojonych żołnierzy w pełnym rynsztunku i kierowca zatrzymuje się przed czymś w rodzaju neoazteckiego motelu, oświetlonego pochodniami. Łądujemy na czerwonym chodniku, otoczonym wianuszkami przez orkiestrę *mariachis* [(hiszp.) – zespół muzyków i śpiewaków w charakterystycznych kapeluszach, wykonujący tradycyjne utwory meksykańskie.] – sombrero i nawoskowane wąsiska – która potrząsa pomponami i gitarami, z grymasem niewysłowionego cierpienia na twarzach.

U szczytu schodów, z ramionami wyciągniętymi w kształcie litery Y, oczekuje nas oficer w rękawiczkach. Ojciec Abrión, z plastikową siatką w dłoni, ściska się z nim, przedstawia nas, po czym oddala się w kierunku toalety. Powraca dwie minuty później, w sutannie, z żółtym polo zwiniętym w reklamówce. Oficer kończy się z nami witać, zwrócony do nas profilem, za to cały czas uśmiechając się do fotografa w drelichu, którego zadaniem jest uwiecznić nasze uściski dłoni.

– To pułkownik artylerii – informuje mnie ksiądz przyciszonym głosem. – Próbował spacyfikować w Chiapas zbuntowanych Indian. A że był zbyt łagodny, przeniesiono go tutaj.

Ofiara niełaski powraca do swego sztabu, stacjonującego pod jaskrawoczerwonym baldachimem, wzniesionym w głębi sali, która jest udekorowana totemami. Najpierw wita nas w rodzinnej wiosce Juana Diega, stojąc na baczność przed mikrofonem stacjonarnym, po czym raczy rodaków czymś w rodzaju przedwyborczego przemówienia i wydaje się, że jego zasadniczym argumentem jest nasza obecność. Gdy milkną brawa, historyczka chwytą za przenośny mikrofon, by podziękować mu w naszym imieniu za przyjęcie. Wszyscy zatykamy uszy z powodu szumów i trzasków, a Rosjanin komponuje sobie drinki przy bufecie, pod niewidzącymi spojrzeniami żołnierzy trzymających wartę przed koszami z owocami morza.

Podchodzę do księdza i pytam, czy są tu po to, by nas chronić, czy stanowią część dekoracji. Potrząsa głową z powagą.

– Wójt tej wioski to dzielny wieśniak, który zawsze mówił „nie” korupcji.

Przyglądam się kolejno oficerom stojącym rzędem na podium.

– Gdzie on jest?

– W więzieniu.

Aż podskakujemy na dźwięk gongu. Ludzie natychmiast rzucają się w stronę bufetów i biorą je szturmem. Sterczymy sami pośrodku sali.

– Możemy już iść – decyduje nasz przewodnik po pięciu minutach.

Ruszamy jego śladem w kierunku wyjścia. Po drodze mijamy kilku spóźnialskich, którzy poszturchują nas z niezadowoleniem, zmierzając w stronę masy pleców stłoczonych Wokół półmisków.

– Jego Wielbność Ruiz życzy sobie, by nikogo nie urazić – oświadcza surowo ojciec Abrigón.

Mikrobus rusza z miejsca i dwadzieścia progów spowalniających później wjeżdża do takiej samej wioski, w sam środek tłumu ciut bardziej przeredzonego. Jak gdybyśmy byli statystami w scenie, którą kręci się raz jeszcze, ale przy użyciu zredukowanych środków. Tym razem nie ma żołnierzy ani czerwonego chodnika i totemów, ale są muzycy, nieco mniej nadęci, oraz gruby wójt o kwitnącym wyglądem, z brzuchem przepasanym wstęgą.

Podczas gdy wybraniec ludu wyraża uroczyście dumę z powodu przyjmowania nas w rodzinnej wiosce Juana Diega, kładę dłoń na nadgarstku Kevina. Patrzy na mnie ze zdziwieniem. Pokazuję mu taksówkę, z której właśnie wysiadł nadpobudliwy młody człowiek, połączony kablem z laptopem, z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi i magnetofonem przewieszonym przez ramię – niewątpliwie „spotkanie z prasą”, o którym mówił nasz gospodarz.

– Urywamy się na wagary?

Kevin wygląda na spanikowanego, zachwyconego, pełnego potępienia, znów spanikowanego.

– To nie byłoby chyba zbyt grzeczne... Prawda?

– Wracajmy na kolację do hotelu: obejrzę pańskie powiększenia rogówki.

Rumieni się i spuszcza wzrok. Już układam sobie w głowie przeprosiny, żeby zapomniał o mojej haniebnej propozycji, ale on nagle daje znak taksówce, chwytą mnie za ramię i wpycha do środka. Zatrzasnąc drzwiczki, podaje kierowcy adres zmienionym głosem ściganego uciekiniera. Skulony na siedzeniu, w nadziei, że tym sposobem ochroni swoje incognito, jest pełen nieodpartego wprost uroku. Wygląda jak zbieg nowicjusz gryziony wyrzutami sumienia, jak pierwszy uczeń w klasie bojkotujący rozdanie dyplomów. Przy wyjeździe z wioski prostuje się i zaczyna obgryzać paznokcie:

– W życiu nie zrobiłem czegoś podobnego. A pani?

– A ja stale.

Wydaje się zawiedziony. Żeby urok nie prysnął, uspokajam go szybko:

– Tak naprawdę nie umiem wychodzić z przyjęć. Dlatego właśnie generalnie nie chodzę nigdzie.

Kiwa głową z powagą, w pełni się z tym identyfikując. A potem bierze głęboki oddech i pochyla się ku mnie, jak gdyby właśnie mnie odkrył:

– Nie chcę, żeby były między nami jakieś niedomówienia, Nathalie – oświadcza ciepłym tonem.

Chętnie poradziłabym mu, żeby pocałował mnie z języczkiem, kładąc kres wszelkim niedomówieniom, ale on kontynuuje:

– Jeśli chcę pokazać pani moje prace, to w żadnym razie nie po to, żeby wyrzeć na panią jakiś wpływ.

Przełykam ślinę i przybieram uspokajający wyraz twarzy.

– To, co odkryłem w oczach Matki Boskiej, zachwieje pani przekonania. Ale ja bardzo szanuję rolę, którą ma pani odegrać. Adwokat diabła to bardzo ważna instytucja, moim zdaniem, pozwalająca uniknąć nadużyć i oszustw.

Przeklinam w myślach stringi, które wrzynają mi się między pośladki, i pytam go chłodno, czy udało mu się odkryć coś więcej poza trzynastoma odbiciami zgodnymi z prawami Purkyniego-Sansona, Vogta, Heesa i Tscherninga. Zagryza wargi, wyraźnie zawiedziony moją znajomością tematu. Pokazuje na kierowcę, jakby to były uszy wroga, krzyżuje ręce i z powrotem kuli się w swoim kącie, obrażony.

– Niech pani poczeka na mnie w barze – mówi, kiedy samochód zatrzymuje się przed hotelem. – Zaraz tam przyjdę.

I patrzę, jak wspina się po schodach, gdy tymczasem ja płacę za taksówkę.

Nie pozwolisz mu wpłynąć na siebie, Nathalie? Odpreż się, zjedzcie wspólnie kolację, spędź z nim noc; jeśli będzie niezłym kochankiem, dobrze ci to zrobi, a jeśli nie, tylko wrócisz bardziej zakochana w mężczyźnie twego życia – ale nie rozmawiajcie o mnie. Nie słuchaj jego argumentów, uniesień, jego dedukcji, gdy technikę zaprzęga do służby wiary. Nie mogą rozgryźć tego chłopca. Nie podoba mi się sposób, w jaki wierzy w tilmę. Jest w nim ta straszna siła ludzi słabych duchem, którzy swoją szczerością są w stanie zachwiać największymi sceptykami. Oczywiście, że jest wzruszający. I kompetentny. I dobrze zbudowany. I nieszczęśliwy. Ale nie pozwól, by jego głos zagłuszył mój, błagam cię...

Wiesz, tyle już przeżyłem fałszywych nadziei i prawdziwych łutów szczęścia, tyle powtarzających się rozczarowań i powrotów do rzeczywistości... Kilka razy ludzie byli bardzo bliscy tego, by zapomnieć o mnie, zaprzeczyć mojemu istnieniu, zbrukać mnie, zniszczyć... Uwolnić. Ale zawsze obraz był silniejszy. I zawsze Maryja Dziewica, od której nie mam żadnych wieści, triumfowała nad moimi potwarcami.

Najpierw był ten Alonso de Montufar, siedem lat po mej śmierci: zastąpił na biskupim stołku

franciszkanina Zumarragę i jako dominikanin nie miał nic przeciwko temu, by zniszczyć dzieło swego poprzednika. Teologowie z jego otoczenia twierdzili, że oddawanie czci tej Madonnie cudotwórczyni, na wzgórzu poświęconym kiedyś bogini pogańskiej, grozi zmarnowaniem trzydziestu lat wysiłków i starań, by oderwać Indian od ich bożków. Ale kult, który otaczał moją Maryję Dziewicę, był już wtedy tak silny, że dominikanie musieli przełknąć gorzką pigułkę i chcąc nie chcąc, ukończyć budowę nowej bazyliki Guadalupe, w miejscu pierwszej kaplicy, już zbyt małej, by pomieścić moich wyznawców.

I musiałem czekać aż na epokę Oświecenia, by kontestacja odzyskała prawo głosu w osobie ambitnego historyka Bautisty Muñoza, który marzył o tym, żeby wejść w poczet członków Akademii Królewskiej w Madrycie. A że ta była wówczas w rękach racjonalistów z nurtu *ilustración*, więc aby im się przypodobać, zredagował rozprawę obalającą cud (o którym prawie nic nie wiedział) w kraju (którego nigdy nie odwiedził), a wszystko po to, by zachować bezstronność.

Przyciąganie i wpływ, który wywierał na mnie od roku 1792 do 1794, podczas gdy pracowałem nad tym, bym rozpadł się w proch, pozwoliły mi skorzystać z pierwszych pośmiertnych wakacji. Otwartość jego kłamstw, solidność uprzedzeń i głębia ignorancji rokowały rozgłos, który budził moje nadzieje. Cała jego argumentacja opierała się na dwóch postulatach, kretyńskich, lecz skutecznych: nie można ufać świadectwom Indian, gotowych do przełknięcia każdej bzdury, byle tylko utwierdziła ich w wierze w cuda, ani polegać na zeznaniach duchownych hiszpańskich, bo byli bardzo starzy, a ze starości, jak powszechnie wiadomo, płacze się w głowie. Jeśli zaś o mnie chodzi, to byłem postacią literacką, alegorycznym i mglistym tworem indiańskiego poety, który – kpił szyderczo Muñoz – próbował udawać historyka. On sam został przyjęty z honorami do Królewskiej Akademii Historii, co a posteriori upewniło cały Madryt o wiarygodności jego tezy, ale nie miało, niestety, najmniejszego negatywnego wpływu na frekwencję w mojej bazylice.

Można się było spodziewać, że pojawi się wielu jego naśladowców, tymczasem był tylko jeden, i to dwieście lat później: naukowiec o nazwisku Lafaye. Tak mało jednak się mną interesował, że niczego nie dowiedziałem się o jego życiu, pasjach ani o motywacjach. Nie udało mu się ani na chwilę oderwać mnie od bałwochwalczej gorliwości mych wyznawców. Pracę doktorską, którą obronił na jednym z francuskich uniwersytetów, zatytułował: *Quetzalcoatl i Guadalupe: formowanie się świadomości narodowej w Meksyku*. Moja historia była, według niego, zwykłym mitem stworzonym przez kler, by pogodzić ze sobą różnorodne elementy etniczne, co stanowiło niezły początek, ale on nawet nie kontestował mnie jako świadka; chodziło mu bardziej o to, by rozłożyć na części mechanizm wiary niż zakwestionować prawdziwość faktów, a jedyny komentarz, jaki wywołał u niego obraz Matki Boskiej Guadalupe, był następujący: „Metr pięćdziesiąt wysokości”.

Widzisz, nawet w moim stanie człowiek często źle lokuje swe nadzieje: tam gdzie zawiedli mnie ludzie wykształceni, o mało co nie ocalała mnie sprzątaczką. Ledwo minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd moją niezniszczalną tilmę osłoniła ochronna szklana szyba, a już osoba wyznaczona do mycia srebrnej ramy zalała kwasem tkaninę, tuż ponad oczami, w których zamieszkuję. Zgodnie z logiką, ten preparat powinien był wykończyć tilmę: tymczasem pojawiły się tylko żółtawe plamy, które, jak sama będziesz mogła się przekonać, właśnie kończą się wchłaniać, tak jak znikły wszystkie późniejsze dodatki domalowane w XVI wieku – te rytualne ornamenty i symbole mające dostosować obraz do obowiązujących wówczas kanonów sztuki sakralnej.

Moja prawdziwa szansa na wolność była dziełem terrorysty. Czternastego listopada 1921 roku, wiedziony fanatycznym zapalem, pewien młodzieniec uprzejmie podłożył u stóp ołtarza bombę ukrytą w bukietcie z napisem: „Dzięki, Juanie Diego”. To ja mu dziękowałem, z całego serca, możesz mi wierzyć. Marmur roztrzaskał się w drobny mak, krucyfiks z brązu zwinął się wpół pod wpływem eksplozji, zdmuchnęło witraże bazyliki i wszystkie szyby w oknach – ale ani tilma, ani obraz nie doznały najmniejszej szkody. Chciało mi się płakać.

Do ostatniego chwilowego przejaśnienia doszło wtedy, gdy rektorem został mianowany Jego Wielbność Schulemburg, który nie wierzył w cuda i chciał zdjąć obraz, ale było już za późno: nauka zajęła miejsce Kościoła. Ta nauka – w którą tak wierzyłem – wszędzie na świecie triumfowała nad kultami i okultyzmem. I przytłaczający paradoks polegał na tym, że to właśnie nauka, poprzez swoje kolejne odkrycia, przeprowadzała dowody na nieznaną pochodzenie obrazu.

Za każdym razem miałem nadzieję, że kolejny ekspert wstanie i powie: nie, mam racjonalne wyjaśnienie. Ale to się nigdy nie zdarzyło. Już raczej, żeby tylko odrzucić nadprzyrodzony charakter zjawiska, budowali tak nierealne hipotezy, że nawet najbardziej kartezyjańskie umysły przyznawały rację przesądom. Sama nie tak dawno się o tym przekonałaś na spotkaniu z biednym Ponzo, którego sceptycyzm jest godny pochwały, lecz teorie są, niestety, dość fantastyczne. Nie wystarczy zaatakować relikwie, by wyeliminować to, co boskie. Gdyby można było unicestwić moje wspomnienie, rozpuszczając tilmę przy użyciu kurzego białka, to byłoby cudownie. Ale prawdziwi naukowcy – chcę przez to powiedzieć: swobodne umysły posłuszne intuicji, metodyczni poszukiwacze po omacku – wynajdują bez przerwy nowe aparaty, a one unaocniają kolejne enigmy, wzmacniając za każdym razem niewątpliwość cudu, który wcale tego nie potrzebuje. Nie mam jak się przed nimi bronić. Naprawdę w końcu uwierzę, że jest to znęcanie się nade mną.

Tak to wszystko wygląda. Dzisiaj moją ostatnią nadzieją, Nathalie, jesteś ty. Jeśli zostanę ogłoszony świętym przez papieża, mój los zostanie ostatecznie przypieczętowany za tą szybą i cały świat zacznie się przepychać z błaganiami do mnie. Już teraz Jan Paweł II nakazał, by

umieszczono reprodukcję tilmy pod Bazyliką św. Piotra, po lewej stronie grobu Apostoła, w tym najświętszym dla chrześcijan miejscu. Polecił mnie przedstawić na płycie z brązu, jak pokazuję tilmę biskupowi.

Na razie przeciwnicy kanonizacji, bardzo wpływowi w Watykanie, wymogli tyle, że nie ma żadnego napisu wyjaśniającego, kim jestem, i nikt nie zauważa mojej kaplicy, ale to tylko zawieszenie wyroku.

Nie słuchaj pozostałych ekspertów. Nie pozwól, by Kevin Williams osłabił twe przekonania. Stawiaj opór. Daj wyraz swoim uprzedzeniom, blokadom, wątpliwościom. Szukaj anomalii. Błędu. Bo jest. Przenikając do twoich myśli, przyswajając sobie informacje zebrane w magazynie twojej pamięci, ujrzałem ten aparat, który obecnie pozwala odtworzyć scenę, gdzie jestem uwięziony, i ustalić pozycję każdej postaci, porównując dane zarejestrowane osobno przez każde oko Maryi Dziewicy. I zdasz sobie sprawę z tego, że jeden element nie pasuje do reszty. Rodzina, Nathalie. Rodzina indiańska. Jest zbyt mała. Biorąc pod uwagę miejsce, jakie zajmuje w scenerii, powinna być większa niż biskup. A poza tym widzicie ją w miejscu, gdzie powinny być róże, które upuściłem na ziemię. Nie wiem, co się stało. Czy ten błąd w perspektywie był zamierzony przez Matkę Boską, czy ma on sens, który odkryjecie pewnego dnia, ale na razie nie jest niczym innym niż anomalią. Ujawnij ją, Nathalie. Oprzyj się na niej. Przypisz ją błędowi ludzkiemu albo zakwestionuj boską nieomyślność, sam nie wiem, co jest lepsze... Zasiej wątpliwości. Kłam, jeśli taka będzie potrzeba. Powiedz, że owo minimalne zaniedbanie jest potwierdzeniem tego, iż jakiś genialny fałszerz, używając nieznanymi barwników, namalował dzieło nie do usunięcia, które ma udowodnić, że oczy Najświętszej Paniąki czuwają nad każdym z jej dzieci. Ale błagam cię, w taki czy inny sposób rozpętaj polemikę: to dla mnie jedyne możliwe wyjście. Watykan jest zbyt kunktatorski, za bardzo ostrożny, by zaryzykować kanonizację na podstawie raportu naukowego, w którym najmniejsza wątpliwość może się okazać zaraźliwa i sprawić, że pozostali eksperci się wycofają, opóźnią swój werdykt aż do czasu uzyskania dokładniejszych informacji.

Trochę zyskaj dla mnie na czasie, Nathalie. To wszystko, o co cię proszę. Papież nie jest wieczny, a jego następca nie otworzy mojego dossier, jeśli poczuje zapach siarki. Będzie zbyt szczęśliwy, że może skorzystać z pretekstu ostrożności, by rozpocząć proces z zupełnie nowym i świeżym postulatem: własnym błogosławionym kandydatem. Jeśli wygrasz ten wyścig z czasem, będę uratowany. Wystarczy, że przestanie się wierzyć w boskość obrazu, którego jestem zakładnikiem, by zaczął się jego rozkład. Przynajmniej taka jest moja jedyna nadzieja, ostatnie złudzenie, jakie mi pozostaje.

Zniszcz mnie, Nathalie, niech umrę w pokoju, niech poznam tamten świat, odnajdę żonę, niech opuszczę swoje ubranie i to, co wiąże mnie z ziemią, jak każdy człowiek. To moje prawo, obowiązek, mój człowieczy los. Zostałem wybrany przez przypadek i trwam przez pomyłkę lub

niedopatrzenie, z egzystencją sztucznie przedłużaną, wbrew wspólnemu dla wszystkich prawu. Nie chcę dłużej być jedyny, Nathalie. Nie chcę dłużej cierpieć z powodu wyjątkowości.

Pomóż mi...

Bar na tarasie to długi, wąski balkon, gdzie około dziesięciu stolików stoi rzędem na jednej nodze, pod kominami o wypadających ceglach i pod kruszącymi się blankami dachu. Przyciśnięta do bariery, przypiętej do muru łańcuchami, mam u stóp plaża de la Constitución, od dawnego pałacu gubernatora aż po katedrę podpartą belkami. Flaga meksykańska wydyma się i powiewa nad esplanadą, ponad czymś, co przypomina piaskownicę wysypaną białym żwirem, gdzie monumentalne stiukowe kury udają figury szachowe: to wysepka sztuki nowoczesnej w samym sercu rozpadającego się gotyku. Ruch uliczny wydaje się dziwnie płynny, powietrzem aż miło oddychać, cisza – niezwykła.

Kevin Williams przekracza próg balkonowych drzwi w swoim przykrótkim smokingu, z klaserem w kształcie harmonijki w rękach. Szuka mnie wzrokiem, schyla głowę, by precyzyjnie się pod łańcuchami i siada naprzeciwko.

– Zamówiła pani coś?

– Zdaję się na pana.

– Tequila – zwraca się do nieruchomej kelnerki, wychylającej się zza kontuaru.

Po czym prowokacyjnie wolno zdejmuje gumki zamykające album, nie spuszczać ze mnie wzroku, jakby rozpoczynał striptiz.

– Gotowa na szok?

Potakuję mrugnięciem powiek. Wsuwa brzeg jednej kartonowej okładki pod popielniczkę i uroczystym ruchem podaje mi zdjęcie, na którym dwóch smarkaczy, robiąc miny, otacza przywiedłą blondynę na tle rodzinnego minivana.

– Wendy i chłopaki – uściśla na widok mojego zakłopotanego wyrazu twarzy.

I zakrywa odbitkę kratkowanym powiększeniem.

– Lewe oko Wendy powiększone tysiąc razy. Może mnie w nim pani zobaczyć w trzech egzemplarzach, w trakcie robienia zdjęcia. Ale to dla pani żadna nowość. Teraz proszę, ta sama skala planu, poddana tej samej obróbce cyfrowej, lecz dotycząca spojrzenia Matki Boskiej.

Kieruję powiększenia w krąg światła latarni, która kołysze się nad drzwiami. O ile bez trudu rozróżniłam odbicia u Wendy, teraz nie mogę dojrzeć nic oprócz cieni i plam.

– To normalne – uspokaja mnie wyrozumiałym tonem – jest za dużo osób. Przenieśmy się w czasie trzy lata później: oto ukoronowanie moich badań.

W tym samym momencie nadjeżdża taca. Kevin, niezadowolony, cofa rękę i zasłania odbitkę, przyciskając ją do piersi, podczas gdy kelnerka stawia na stoliku tequilę z całą świtą: sokiem pomidorowym, solniczką, limonkami i *tapas*. Gdy odchodzi, Kevin podaje mi dumnie coś w rodzaju dziecinnej kolorowanki, na której wyróżnia się w oku trzynaście czarno-białych

sylwetek. Napawa się moim milczeniem, cichutko cmokając językiem, przedłuża wspaniały moment jeszcze o parę sekund, po czym podsuwa, jedną po drugiej, odbitki przedstawiające każdą postać z osobna, z odpowiednią fiszką informacyjną. Brodaty hidalgo, Juan Diego, biskup Zumarraga, jego czarna służąca, siedzący Indianin z tykwą, tłumacz Juan Gonzalez i rodzina w komplecie, od starca po niemowlę.

Powracam do drugiej fiszki, wskazuję białą linię konturu, który oddziela odbicie ze szpiczastą czapką i długim śliniakiem, ochrzczone jako „Juan Diego”.

– Gdzie go pan znalazł?

– Na lewej rogówce. W trakcie pokazywania tilmy biskupowi.

– Tej tilmy, z odcisniętymi oczami Matki Boskiej, w których zarazem odbija się ta scena?

– Dokładnie tak – mówi, nie podejrzewając pułapki.

– A jak to się dzieje, że widać go w oczach ubrania, które sam nosi?

Kevin zagryza wargi i opuszcza głowę. Trochę mam sobie za złe, że w tak brutalny sposób obaliłam wynik trzech lat pracy, ale on podejmuje wątek łagodnym głosem, jakby to ze mną należało postępować ostrożniej:

– Teraz, uprzedzam panią, opuszczamy domenę nauki. To, co pani wyjawię, jest czystym przypuszczeniem bez żadnego dowodu, wyłącznie intuicją podyktowaną przez logikę.

– Słucham pana – mówię z entuzjazmem, żeby dodać mu pewności.

– Ona tam była. Matka Boska. W chwili, w której jej obraz zmaterializował się na tkaninie, sama właśnie obserwowowała całą scenę, niewidzialna, na wysokości sześćdziesięciu centymetrów nad ziemią, trzydzieści stopni na prawo od biskupa – co daje nam, według moich obliczeń dotyczących wzajemnej pozycji postaci w obu oczach, najbardziej prawdopodobny punkt widzenia.

– Punkt widzenia niewidzialnej Matki Boskiej, zaraz po wizualizacji w obu oczach tkaniny tego wszystkiego, co widziały jej niewidzialne oczy?

Milczy przez chwilę, najwyraźniej zakłopotany moim sformułowaniem, aż w końcu potakuje. Odwracam głowę w kierunku placu, po którym nie jeździ już żaden samochód. Zabawne jest to wrażenie godziny policyjnej, tej sztucznej ciszy przerywanej dźwiękami, których nie powinno się słyszeć: postukiwaniem obcasów na chodniku, skomleniem psa, dzwonkiem telefonu w głębi czyjegoś mieszkania, łopotem skrzydeł na dzwonnicy katedry, szumem wody piętro wyżej. Nigdy bym się nie spodziewała, że w tej najbardziej hałaśliwej metropolii na świecie odnajdę atmosferę romantycznego wieczoru przy fontannie w małym miasteczku.

– Oto, na czym się opieram.

Powracam do terażniejszości, odbijającej się w okrągłych okularach badacza z NASA. Przysuwa krzesło do stołu i, jako koronny argument, pokazuje mi na kolejnym powiększeniu, że

na tilmie, która odbija się w lewym oku, nie ma jeszcze obrazu Matki Boskiej. A potem rzuca wesoło:

– A więc... jaka jest pani opinia?

Mimo najlepszych chęci, wszystko, co mi przychodzi do głowy jako odpowiedź, to:

– Jest pan katolikiem.

Oburza się i protestuje, z podwójnym zapalem i żarliwością:

– Protestantem! I wiara nigdy nie miała wpływu na rzetelność moich badań!

– Poza tym, że pańską konkluzją jest hipoteza o istnieniu Boga.

– To nie jest wcale hipoteza i nie doszedłem do żadnej konkluzji. Zadowolilem się ujawnieniem zjawiska, które jest niewytłumaczalne z naukowego punktu widzenia: niech każdy wyciągnie swoje własne wnioski!

Biorę z powrotem do ręki różne powiększenia, porównuję je, patrzę na nie z daleka, potem z bliska. Kevin rozluźnia się, a w jego głosie duma zajmuje miejsce agresywnego tonu niewinnego człowieka, który poczuł się niesłusznie i niesprawiedliwie oskarżony.

– Wie pani, jestem przyzwyczajony do tego, że podważa się moją motywację, a nie efekty moich badań. Na początku wszyscy w NASA kpili ze mnie. Teraz już się tak nie śmieją. W programie Pathfinder, w mojej ekipie, były już trzy pielgrzymki. Dalej, napijmy się, żeby przysłała pani do siebie!

Powstrzymuje moją rękę, którą wyciągam w stronę soku pomidorowego.

– Nie, tylko nie w tej kolejności! Proszę robić to, co ja.

Jego oczy błyszczą, uśmiech rozciąga się od ucha do ucha i jest tak podekscytowany własnymi odkryciami, że wygląda na dziesięć lat mniej. Myślę, że jest całkowicie szczerzy. I że mogę sobie *znaleźć* lepsze zajęcie, niż próbować podważyć jego wątpliwości.

– Najpierw łyżek tequili, potem szczypta soli na limonkę, którą trzeba wycisnąć sobie do ust, o tak, potem łyk soku pomidorowego, zjada pani dwie *tapas* i zaczyna od nowa.

Drobiazgowa precyzja rytuału ściska mnie za gardło. Myślę o tostach Francka, o litanii: chleb – masło – szynka – ser gruyere – pieprz, o naszych płomiennych dyskusjach na temat doświadczeń ze sztuczną rogówką, które kończyły się w łóżku. Między nostalgicznym wspomnieniem przeszłości, pragnieniem nowego i powtarzającymi się schematami, już sama nie wiem, gdzie mam umieścić tego rozgorączkowanego dryblasa, który przygląda się, z wdzięcznością i niepokojem, jak piję „po kolei”.

– Nie smakuje pani?

Uspokajam go uśmiechem. Smakuje ohydnie, zwłaszcza pod koniec, z tymi kawałkami pseudopizzy z czerwoną fasolą. Powtarzam całą kolejkę, w nadziei, że tequila zabije smak *tapas*. ZA drugim razem jest to mniej ohydne, za trzecim niemal dobre, a po czwartym już nie można przestać. Solona cytryna podnosi smak alkoholu, jednocześnie neutralizując pikantny sok

pomidorowy. To z kolei nokautuje kubki smakowe: im więcej się tego pije, tym mniej mocne się wydaje, a im bardziej człowiek jest pijany, tym bardziej wydaje się sobie trzeźwy. Dzielę się z nim swoimi spostrzeżeniami. Potwierdza ich słuszność, dodając, że to tłumaczy liczbę morderstw popełnianych przy wyjściu z barów. Zamawia następną kolejkę, podwija rękawy smokingu i z łakomym wyrazem twarzy opiera łokcie na stoliku.

– Czekam na pani obiekcje. Śmiało, Nathalie.

Żeby od razu nie atakować go wprost, pytam najpierw, jak doszedł, z technicznego punktu widzenia, od odbić w oczach aż do tej galerii portretów roboczych.

– To ta sama technika co w przypadku zdjęć z Marsa – odpowiada krótko.

– To znaczy?

– Najpierw poddałem zdjęcia obróbce numerycznej, używając kratek o różnych rozmiarach, od dwudziestu pięciu do sześciu mikronów, ostatecznie osiągnąłem aż dwadzieścia osiem czworoboków na milimetr kwadratowy.

Z uprzejmą miną kiwam głową po każdej z tych liczb, które nic mi nie mówią.

– Potem użyłem skanera o rozdzielczości tysiąca dwustu pikseli na cal i wykonałem powiększenia, dochodzące do dwóch tysięcy wielokrotności początkowego rozmiaru. Bez żadnych zniekształceń, wręcz przeciwnie, ponieważ każdy obraz jest natychmiast korygowany cyfrowo. Od tego momentu pracowałem, używając trzech typów filtrów: rozmywających – aby zredukować regularne formy w tle, wyostrających – aby ułatwić interpretację wizualną, oraz łączonych, żeby skonstruować poszczególne partie. Pokazałem pani postaci zawarte w każdym oku. Może pani sama stwierdzić, że znajdują się w odpowiednich miejscach, zajmują te same pozycje względem siebie, i przede wszystkim, że całość idealnie pasuje do tego, co mamy tutaj.

Zręcznym gestem prestidigitatora podsuwa mi pod nos kartkę pocztową.

– Ten obraz namalował w 1760 roku wielki malarz meksykański, Miguel Gabrera. Przedstawia on, wierny relacjom świadków, epizod zwany cudem różanym. Jak pani widzi, wszyscy bohaterowie są na nim obecni, a ich pozycja, wzrost, wygląd i ubrania odpowiadają scenie, którą odtworzyłem na rogówkach Matki Boskiej.

– Ale w jaki sposób ją pan odtworzył?

– Poprzez morfing [(z ang.) – w grafice komputerowej: animacja realizująca płynną zmianę jednego obrazu graficznego w inny.]

– To znaczy, że mam przed oczami obrazy potencjalne, opracowane przez program komputerowy.

Przytakuje.

– Innymi słowy, jest to efekt tworzenia form przez program pracujący na zasadzie analogii. Analizuje plamy i je interpretuje. Jeśli pokaże mu pan zdjęcie chmury, zobaczy na nim dom, psa albo mapę Afryki.

– Przypadek nie wchodzi w grę – odpowiada bez urazy, z niezmaconym spokojem płynącym z pewności siebie. – Pracowałem przy użyciu najpoważniejszych programów dostępnych na rynku, takich jak APL, Micrografx, Photomorph...

Pod stołem moja stopa spotyka jego stopę. Nie cofa jej, więc przedłużam kontakt, nie znajdując najmniejszego echa w jego głosie; ciągnie dalej, niewzruszony:

– ...a na samym końcu zastosowałem system kodowania matematycznego, którego używam w NASA przy obróbce zdjęć z przestrzeni kosmicznej. Używając najbardziej reprezentatywnych liczb z obrazu, wykonałem operacje arytmetyczne, działające jak filtr optyczny, by podkreślić ciała rzeczywiście obecne na obrazie, wykrywając ich formy. Co panią tak bawi?

– Przysłówek „rzeczywiście”.

– Nie mogę pojąć, co panią tak szokuje. To, że odkryłem trzynaście postaci w rogówce o średnicy ośmiu milimetrów?

Nieoczekiwana narośl, której dotykam końcem dużego palca pozwala mi zrozumieć, że pieszczę nogę stołu. Cofam stopę.

– To nie jest kwestia rozmiaru, Kevin, tylko punktu widzenia. Myślę, że znalazł pan to wszystko właśnie dlatego, że pan tego szukał. Pana programy miały za cel wykryć świadków sceny u biskupa. Punktem wyjścia był dla pana obraz z XVIII wieku, a potem włożył pan w oczy Madonny to, co przedstawił malarz.

– Co pani opowiada? Nie wprowadziłem żadnych dyrektyw do moich programów!

— Nie, za to odrzucił pan wszystkie interpretacje, które nie pasowały do pana wizji tej sceny. Proszę przysiąc, patrząc mi prosto w oczy, że żaden program nigdy nie zaproponował panu odbicia Batmana, ciężarówka z cysterną albo czarnej służącej robiącej loda biskupowi. Wzrusza ramionami i zamyka album.

– Nie da się z panią rozmawiać.

Łagodnie kładę dłoń na jego nadgarstku.

– Przepraszam, Kevin. Prowokuję pana, to wszystko. Bo nie udaje mi się pana podniecić.

Cofa dłoń, zabija niewidzialnego komara na swoim karku, z powrotem bierze mnie za rękę.

– Niech pani tak nie myśli, Nathalie. Z moralnego punktu widzenia stanowi pani dla mnie prawdziwy problem.

– Dlaczego?

– Jeśli koniecznie obstaje pani przy tym, by nazywać rzeczy po imieniu...

Te jego trzy kropeczki oraz wzrok utkwiony w dzwonnicy mogą równie dobrze oznaczać stan erekcji, jak i okrutny jej brak. W swej niepewności odpowiadam:

– Dziękuję.

– Nie ma za co. To nic seksualnego. Chcę przez to powiedzieć: to nie jest skierowane przeciwko pani, ale... ale nie pociąga mnie pani fizycznie.

– Proszę mi wybaczyć. Dobranoc.

Przytrzymuje moje palce, rozkłada je i zgina, jeden po drugim.

– Chyba oboje jesteśmy w błędzie, Nathalie.

– Proszę dalej utrzymywać mnie w tym błędzie.

Mój słodki uśmiech wywołuje na jego twarzy gniewny grymas.

– Nie, ja mówię poważnie... Wie pani, co niesamowicie mnie w pani wzrusza? To, że oglądamy wspólnie moje prace i nareszcie mogę wyrazić prywatnie to, co jest moją obsesją od trzech lat. Nie ma mowy, żebym porozmawiał na ten temat z Wendy. Nie znosi tej pasji, tego czasu, który poświęcam obrazowi...

– Jest zazdrosna o Matkę Boską?

Kryje wybuch dziecinnej wesołości, chowając podbródek pod muszką smokingu.

– W sumie ma pani rację, jest o co. Powiesiłem w sypialni dwa postery, metr na trzy. Lewe oko naprzeciw łóżka, prawe między oknami.

– Na pewno robi to sympatyczne wrażenie, kiedy się kochacie.

– Nie kochamy się od urodzenia bliźniaków. Rejestruję tę nowinę z kurtuazyjną dyskrecją, podczas gdy on zbiera swoje odbitki i jedną po drugiej układa je w albumie. W rogu placu pojawia się grupka młodych ludzi. Idą w szeregu, wyprzedzając ciężarówkę z głośnikami, udekorowaną wstęgą z napisem: *FRENTF. POPULAR INDEPENDIENTE* [(hiszp.) – Niezależny Front Ludowy.] Za nią równym krokiem maszerują dziesiątki ludzi z transparentami, wymachując wizerunkami jakiegoś mięsożercy z kojącym wyrazem twarzy, w hałasie z megafonu, w którym rozpoznaję kilka kluczowych słów: *libertad, revolución, compañeros* [*Libertad...* (hiszp.) – wolność, rewolucja, towarzysze.]

– Ile mają lat?

– Trzy i pół. Totalny brak porozumienia między Wendy a mną, ale fasada jest nienaruszona. Całe Seattle nam zazdrości.

Podejmując te slogany, inni manifestanci nadciągają, ramię przy ramieniu, sześcioma alejami wychodzącymi na plac. Tłum się rozrasta i otacza esplanadę wężowatym kordonem. Z góry pięknie to wygląda. Podczas gdy kelnerka zapala świeczkę na naszym stoliku, pytam Kevina, jak został zwerbowany przez Watykan.

– Przypuszczam, że tak samo jak pani – odpowiada z takim wyrazem twarzy, jakby coś go dręczyło. – Wracając do Wendy...

Oczekuję ciągu dalszego z pałającym wzrokiem, z uśmiechem w zanadrzu. Kontempluję z nagłym znużeniem manifestację, skąd dobiegają teraz dźwięki trąb.

– Co takiego? – pytam zachęcająco.

– Nie, nic.

Obserwuję czarne łańcuchy, które co trzy metry łączą szczyt muru z balustradą. Za każdym

razem, gdy kelnerki idą z zamówieniem, kroczą z głową przechyloną w jedną stronę, żeby ogniwa nie zburzyły ich fryzur.

– Te łańcuchy mają pomóc nam zachować równowagę w razie trzęsienia ziemi? – rzucam, by dodać pikanterii do pożądania stygnącego w ludowej wrzawie.

– Są zwłaszcza po to, żeby balkon nie spadł przechodniom na głowę.

Odsuwam się od krawędzi z udawanym przerażeniem, szukam w jego wzroku rozbawienia. Znajduję tylko rezygnację, powagę i cierpienie.

– Tak bardzo chciałbym nadawać na tych samych falach z Wendy... – wzdycha. – Mieć wspólne zainteresowania...

Dopijam tequilę, wylizuję ostatnie ślady soli.

– Wie pan, Kevin, przeżyłam pięć lat z mężczyzną, który miał taką samą obsesję sztucznej rogowki jak ja. Wspólna pasja wcale nie gwarantuje uniknięcia problemów w związku.

– To miłe z pani strony.

– Co takiego?

– Że nie zostawia mi pani żadnych złudzeń.

Jego wygląd ukaranego dziecka i ten bezdźwięczny głos rozdzierają mi serce.

– *Libertadsi, mundialisación no!* [(hiszp.) – chcemy wolności, nie globalizacji!] – dolatuje ryk z głośnika.

– Dobra, chyba pójdę się położyć – mówi, unosząc rękę.

Nic nie odpowiadam. Dostajemy rachunek, podpisuje go, spogląda na tłum kręcący się wokół placu w rosnącym zgiełku. Opieram się łokciami o balustradę obok niego. Mówi:

– To też nie byłoby sprawiedliwe, żeby wszystko zrzucić na Matkę Boską.

– Słucham?

Wyjaśnia sens swojego zdania o trzy tony wyżej, żeby przekrzyczeć hasła skandowane przez manifestantów.

– Chodzi o to, że to przeze mnie Wendy ma depresję. Najpierw mój awans w NASA: dobrze wiem, że przez to znalazła się w cieniu. Ona jest profesorem językoznawstwa, miała nadzieję na stanowisko profesora tytularnego w Columbii, ale pojawiły się przeszkody... W tym samym czasie, kiedy moje prace nad Pathfinderem były komentowane w mediach. Mielśmy nawet kamery telewizyjne w domu... Prywatne życie naukowca. Komedia wzorowego szczęścia, śniadanie w ogrodzie, bejsbol z dziećmi, mama piekąca ciasto, podczas gdy tata strzyże trawnik, proste przyjemności udanej rodziny... Wendy przystała na tę maskaradę... z łatwością... To znaczy: chyba właśnie to mnie najbardziej zabolalo. Zacząłem się zastanawiać: jeśli z taką łatwością gra tę komedię, to bardzo możliwe, że udaje przez cały czas. Przepraszam, że wciąż pani o niej mówię...

– A rybki?

– Jakie rybki?

– Dzisiaj przez telefon mówił pan coś o akwarium...

– Nie, chodziło o Zeldę. To żółw, którego dzieci przywiozły z naszych wspólnych wakacji w Disneyworldzie i który, no właśnie, pożarł wszystkie rybki Wendy. Cychlidy, bardzo rzadki gatunek, okazy kolekcjonerskie... Ale nie zgodziłem się go ukarać, nie pozwoliłem utopić Zeldy w ubikacji. Wziąłem stronę bliźniaków. To był prawdziwy dramat, z Wendy. Wiem, że nie powinienem był pozwolić na wpuszczenie żółwia do akwarium, wiem, że ona ma rację: to symptomatyczne, to jest dymisja, odmowa wzięcia na siebie odpowiedzialności rodzicielskiej... Nie uważa pani?

Przede wszystkim uważam, że genialnie jest mieszkać samotnie, bez współmałżonka ani dzieciaków, bez codziennych prób sił ani tragedii w łyżce wody z akwarium. Rozczulona jego rozpaczą, mówię, że może nie musimy dalej krzyczeć na balkonie, i jeśli zaproponuje mi ostatniego drinka u siebie w pokoju, obiecuję go nie zgwałcić.

Huk wystrzału sprawia, że tłum nieruchomieje. Skandowane hasła urywają się w pół słowa.

– Niech się pani ze mnie nie nabija – szepcze. – Strasznie chciałbym mieć na panią ochotę.

Manifestanci patrzą po sobie, obracają się, rozdzielają, szukając miejsca, skąd padł strzał, i tego, w które celowano. Salwa petard wybucha na rogu katedry. Kevin nagle obraca się na pięcie, porywa swój album i zmierza do baru. Podążam za nim. Idzie wzdłuż krat zabytkowej windy, po czym wchodzi w ogromny korytarz o przyćmionych światłach. Na samym jego końcu, naprzeciwko wywietrznika pralni, wkłada klucz do zamka, otwiera drzwi i daje mi znak, żebym weszła. Jego pokój jest dużo większy od mojego, stoi w nim łóżko z baldachimem, są dwa trony inkrustowane kawałkami szkła i kamienny stół o rzeźbionych nogach, gdzie pierzasty wąż dusi osła, który stracił ucho, zapewne w kolizji z odkurzaczem.

– Czy mogę zwierzyć się pani z czegoś bardzo intymnego?

Potakuję aż nazbyt gorliwie. Mój entuzjazm trochę studzi jego zapał, ale zamyka drzwi, odkłada album i zbiera się na odwagę, stając naprzeciw mnie.

– To było właśnie podczas wakacji w Disneyworldzie. Pojechaliśmy tam z innym małżeństwem. To jeden z kolegów z NASA, też ma dwoje dzieci, a jego żona dość dobrze rozumie się z Wendy. Żona ma problem z nadwagą. Obie zostawały w hotelu, na basenie, a my zabieraliśmy dzieci do parku. Przeważnie zaliczaliśmy wspólnie wszystkie atrakcje, ale pewnego razu... Dzieci były za małe, poszedłem sam z Bobem na Space Mountains. I strasznie się baliśmy, w tych ciemnościach, zjazd jest potwornie stromy i...

Mówi urywanymi słowami, zasycha mu w ustach. Biorę go za rękę, delikatnie, żeby mu pomóc. Z podniesionym czołem i skupionym wzrokiem dzielnie próbuje dotrzeć do końca wspomnienia. W istocie opisuje mi przede wszystkim samą atrakcję, coś w rodzaju zapierającej dech kolejki z efektami specjalnymi. To robi dziwne wrażenie, takie wyznaczenie intymne, które

jednocześnie przypomina ulotkę reklamową dla turystów.

– Nie mogę powiedzieć, żeby coś się wydarzyło między nami – konkluduje – ale było to obustronne. Tego jestem pewien. To zmieszanie, to... To pragnienie, żeby... A zwłaszcza ta odmowa... Potem, przez całą resztę pobytu, zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy zawinili wobec wszystkich. A teraz, w NASA, już nawet boimy się rozmawiać ze sobą. I każdy pewnie sobie wyobraża, że mamy romans. Myślę, że Wendy dostała kilka anonimowych telefonów. Już nie jest taka jak dawniej. Coś się zmieniło w jej wrogości. Teraz jest w niej pogarda, której wcześniej nie było.

Kładę dłonie na jego ramionach i powolutku sprawiam, żeby usiadł na łóżku. W jego wzroku skierowanym na mnie jest tyle samo pomieszania, co zaufania.

– Zaszokowałem panią?

– To ja pana zaszokuję, Kevin. Uważam, że powinien pan zadzwonić do Boba. I zaproponować mu szalony weekend w San Francisco.

Wzrusza ramionami.

– Myśli pani, że to takie proste? On odczuwa taką samą blokadę moralną jak ja. Jeśli to jedyna rada, jakiej może mi pani udzielić...

Wzdycham, poprawiając jego przekrzywioną muszkę.

– Mam dla pana jeszcze jedną radę. Wydaje mi się, że naprawdę najlepszym sposobem na to, by rozwiązać pański problem z Wendy, jest doświadczenie homoseksualne. Ale byłoby dużo prościej, gdyby postarał się pan nie zakochać w innym mężczyźnie, który też jest heteroseksualny.

Odwraca twarz. Ma oczy pełne łez.

– Gdyby pani wiedziała, jaki dramat przeżywam... To żywy wyrzut – dodaje, wskazując na swój album.

– Niech pan zostawi Matkę Boską w spokoju. Wykonał pan swoją pracę, będzie pan świadkiem w procesie Juana Diega, wystarczy. Niech pan się zajmie czymś innym.

Wstaje, biegnie w kierunku szafy, wyjmuje z niej tubę na postery, którą otwiera z gromkim okrzykiem, jak w kreskówkach. A potem rozkłada na łóżku pokolorowane powiększenie, które nazywa „grupą rodzinną”: młodzieniec w sombrero z twarzą zwróconą w stronę kobiety, która ma dziecko przytroczone na plecach, dziadkowie patrzący na nich i dziewczynka iskająca brata.

– Oni nie mają tu nic do roboty, w domu biskupa, zgadza się pani? Niech pani zwróci uwagę na pozycję, jaką zajmują w centrum żrenicy. W stosunku do tła i reszty postaci... Oni nie są w tej samej skali. Nie należą do tej samej sytuacji. Nie są obrócenii, jak reszta, w stronę Juana Diega, który rozwija tilmę. Oni patrzą na siebie, uśmiechnięci, w zamkniętym gronie. Rozumie pani? Oni nie są częścią tej sceny. To nie jest rzeczywiste odbicie powstałe na rogówce Marii: to przesłanie, które chciała nam przekazać. Przesłanie, które dotyczy bezpośrednio naszej epoki,

tak samo jak wszystkich ras zamieszkujących wspólnie jej oczy: białych, Indian, czarnej służącej... Objawienie zwielokrotniło nie tylko szczegóły, które dopiero współczesna technologia pozwala nam zauważyć, lecz również aluzje, którym zagrożenia naszych czasów nadają decydujący sens.

– Do czego pan właściwie zmierza? Rodzina jako wartość jest zagrożona w naszych społeczeństwach, więc Matka Boska dzwoni na alarm? Niechże pan wreszcie przestanie robić projekcję problemów osobistych w jej oczach! Ja też mogę sobie pozwolić na interpretację, która mi najbardziej odpowiada. Widzę tu akurat plemię skupione wyłącznie na sobie, a jego członkowie pilnują się nawzajem i w ogóle nie zauważają ważnego wydarzenia, które dzieje się tuż pod ich nosem.

Poster wyślizguje się z jego palców i sam zwija się z powrotem na podłodze. On natomiast wpatruje się we mnie niemal ze zgrozą, obraca się na pięcie i znika w łazience. Cisza. Jeżeli wróci nago, pójdę do kościoła zapalić świeczkę przed ołtarzem.

Zgrzyt zamka błyskawicznego. Szmer wody. Bliżej nie zidentyfikowane grzechotanie. Jeszcze raz ten sam zgrzyt. Przesuwając się lekko w stronę lustra, widzę go, jak odkłada kosmetyczkę na półkę nad umywalką. Przeczesuje włosy dłonią, powraca do pokoju.

– Wziąłem środek nasenny – mówi na znak, że to koniec rozmowy.

Zatwierdzam jego wybór fatalistycznym gestem i kieruję się do wyjścia. Trochę mi smutno, że zraniłam go w jego przekonaniach, ale żałuję przede wszystkim tego podrywania na darmo. Po raz pierwszy czuję się upokorzona przez własne pożądanie.

– Niech pani nie odchodzi – szepcze.

Odwracam się gwałtownie.

– I co będziemy robili? Grali w kółko i krzyżyk, aż środek nasenny zadziała?

– Jest coś jeszcze, czego pani nie powiedziałem.

– Niech pan posłucha, Kevin, nie mam nic przeciwko panu, ale ja też mam w głowie pewnego mężczyznę. O mały włos go nie zdradziłam, a teraz mam ochotę z nim porozmawiać i tyle. Dobranoc.

– Proszę napisać mu mail – odpowiada cichutko, wskazując na laptop leżący na kamiennym stole.

I znów jest rozbrajający. Ściąga z łóżka narzutę, zdejmuje marynarkę, odpina muszkę, nie spuszczając ze mnie błagalnego wzroku. Jak gdyby to, że będę na jego oczach komunikować się z ukochanym mężczyzną, miało uwolnić go od ciężaru wyznań uczynionych przed chwilą. Żebyśmy byli kwita, wyrównując nasze rachunki zakłopotania. Taka delikatność z jego strony bardzo mnie wzrusza. Być może nie byłoby zbyt rozsądne powiedzieć mu o tym, ale myślę, że to właśnie jego kompleksy, frustracje i zakazy wewnętrzne pozwoliły mu zachować człowieczeństwo. Zbliżam się do niego, całuję go w usta i cofam się w momencie, w którym

oddaje mi pocałunek. Cmoknięcie, które trafiło w pustkę, na dobre godzi mnie z tym dużym, nieszczęśliwym chłopcem.

– A gdybyśmy tak sobie coś obiecali, Kevin? Że oboje przestaniemy poświęcać się dla różnych głupot. Jest tylko jeden Bóg i czasem kusi mnie, by w niego wierzyć. To rodzaj wewnętrznego głosu, który zwracałby się do nas dopiero w grobie, żeby opyskować nas za wszystkie zmarnowane okazje do szczęścia, jakich nie umieliśmy wykorzystać.

– Obiecuję – bełkocze, unosząc dłoń niepewnym gestem. Jego powieki zamykają się, podczas gdy zdejmuje spodnie, zrzuca mokasyny jednym ruchem stóp i pada na łóżko w szarych skarpetkach, slipach błękitnych jak niebo i koszuli z krótkim rękawem. Jutro rano muszę go poprosić o nazwę tego środka nasennego.

Siadam przy stole, włączam jego komputer. Czekając na połączenie z Internetem, znów myślę o tym anonimowym podrywaczku, który przerwał mi dyskusję z japońskimi okulistami. „Już niedługo mnie poznasz, śliczna Nathalie, i bardzo mnie to cieszy...”. Ta nieproszona wizyta bez dalszego ciągu wciąż prześladowuje mnie bardziej, niż powinna. Na nią nałożył się niepokój związany z wizytą kardynała Fabianiego, a teraz obraz Kevina Williamsa dopełnia całości, i w takim nastroju wysyłam do Francka krótkie zdanie, nieśmiałe i bardzo ogólne. Ale co innego mam mu napisać? Koktajl czułości, rozdrażnienia i niezaspokojonego pożądanego stopniowo sprawił, że tego wieczoru Franck jest mi dużo bliższy i dalszy zarazem niż kiedykolwiek. Jaką przyszłość, jaką teraźniejszość możemy jeszcze mieć, z moimi sprzecznymi popędami, wypadaniem z kursu i obchodzeniem własnych postanowień? Jestem męcząca. Tak bardzo chciałabym zrezygnować z niego albo móc kochać go w spokoju.

Dzwoni telefon. Aż podskakuję na dźwięk przedpotopowego grzechotu, który wydaje aparat na stoliku nocnym. Przy trzecim dzwonku Kevin Williams wciąż ani drgnie, oddychając głęboko, ze spokojną twarzą. Postanawiam odebrać.

– Halo?

– Yyyy... To doktor Krentz? – upewnia się ojciec Abrigón.

– We własnej osobie.

Po chwili milczenia ksiądz pyta, czy jest profesor Williams. Odpowiadam twierdząco. Mówi, że jest mu bardzo przykro, że nam przeszkadza, ale samolot doktora Berlemonta właśnie wylądował. Doktor dołączy do nas bezpośrednio na badania, pozostali są w holu hotelowym ze swoim sprzętem i mikrobus już czeka.

Przyjmuję to wszystko do wiadomości i odkładam słuchawkę, patrząc na Kevina, który uśmiecha się przez sen. Delikatnie nim potrząsam. Nic. Ponawiam próbę. Chwyta moją dłoń, pojękując we śnie, i wsuwa ją pod pościel. No cóż. Atak szalonego śmiechu, który staram się opanować, najwyraźniej jednak przesyła mu jakieś wibracje, bo ich efekt zaczyna być powoli widoczny. Nagle puszcza moje palce i otwiera oczy.

– Co się dzieje?

– Za chwilę zaczniesz się ekspertyza – odpowiadam, wyjmując dłoń spod pościeli najbardziej elegancko, jak umiem.

– O cholera – bełkocze. – Wziąłem dwa morphyny...

Łapię colę z minibarku i otwieram mu ją, gdy zakłada smoking.

– Długo spałem?

– Nie. Tyle, ile zabrało mi wysłanie maila.

Wypija napój duszkiem, prosi mnie o jeszcze, wyjmuję z szafy walizkę i obrotowy statyw.

– Czemu w tym kraju wszyscy tak się spieszą, jak tylko przestają się spóźniać? – wybucha. – To uroczysty moment, wyjątkowa okazja, a oni traktują to jak podróż z biura wycieczek, jak rajd z niespodzianką...

Prostuje się gwałtownie i pyta zdławionym głosem, czy do czegoś między nami doszło. Zaprzeczam. Odpowiada: „Aha”, a w jego głosie, tak mi się wydaje, jest taki sam procent ulgi, jak rozczarowania.

Trójka ekspertów w strojach roboczych, stercząca pośrodku holu ze swoim sprzętem, obraca się pięknym ruchem jednomyślnego potępienia w kierunku mojej sukni wieczorowej i smokingu Kevina. Idąc do pokoju po walizeczkę, chciałam się przebrać, ale ostatecznie postanowiłam, że pozostaniemy dopasowani strojami do siebie. Zastanawiam się, czy nie iść trzy kroki przed nim, a potem mówię sobie, że mój wygląd wciąż jeszcze jest do przyjęcia i z psychologicznego punktu widzenia dobrze mu to zrobi. Z ostentacyjną wesołością biorę go za rękę i pytam pozostałych, czy spędzili miły wieczór. Historyczka odwraca się do nas plecami, podczas gdy Rosjanin puszcza do mnie oko, a Niemcowi wymyka się westchnienie. Kevin dziękuje mi uściskiem dłoni i dławi ziewnięcie, którym ostatecznie pieczętuje nasz romans.

Wykazując całkowitą obojętność, ojciec Abrión pomaga nam włożyć sprzęt do mikrobusu.

– Oto, jaka jest kolej rzeczy – wyjaśnia przez mikrofon, gdy tymczasem gwałtowne przyspieszenie pojazdu odrywa jego pośladki od deski rozdzielczej. – Ekipa saperów zdejmuję właśnie szybę ochronną. Proszę się niczego nie obawiać, nie ma żadnego zagrożenia: są to po prostu najpewniejsze ręce Meksyku. Ze względów bezpieczeństwa obraz nie zostanie zdjęty z podpory, na której wisi. Jedno po drugim wejdą państwo na drabinę pirotechników i przeprowadzą swoje badania, w następującym porządku: pan Berlemont, pani Galan Turillas, mademoiselle Krentz, pan Traskin, pan Williams i pan Wolfburg. Proszę się nie dopatrywać w tym jakiejś hierarchii: taki jest po prostu porządek alfabetyczny.

– Nie zgadzam się – wchodzi mu w słowo Niemiec. – Nie ma mowy, żebym był za Williamsem, jeśli będzie używał podczerwieni. Poddanie pigmentów promieniowaniu może zafałszować wynik moich badań.

Książd obraca się w stronę Kevina, który z powrotem usnął, oparty o mnie. Przytakuję

w jego imieniu. Abrigón kreśli po swojej karteczce.

– Mam ogromny szacunek dla doktor Krentz – oświadcza powoli Rosjanin – ale ja nie ograniczam się wyłącznie do gwiazd znajdujących się na płaszczu: potrzebuję całej powierzchni obrazu, żeby rzucić na nią moją mapę nieba. A jeśli przed oczami zawisnie tafla powiększająca...

– Ja używam tylko mojego oftalmoskopu – mówię, żeby go uspokoić. – Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby być po panu.

– Dziękuję.

Abrigón z westchnieniem dorzuca strzałkę na swej liście.

– Nie wiem, jaką aparaturę zainstaluje doktor Berlemont – wtrąca się historyczka – ale już wystarczająco nas wszystkich opóźnił. Ja potrzebuję tylko sprawdzić szczegóły gołym okiem; wydawało mi się logiczne, że powinnam być pierwsza.

– Tylko że pani nie wysiada prosto z samolotu, z zachwianym zegarem biologicznym – sprzeciwia się cierpko Niemiec. – Niechże pani pomyśli także o tych, którzy nie spali od dwudziestu czterech godzin.

Rosjanin komentuje, a Meksykanka ripostuje, wskazując na mojego towarzysza:

– Proszę, są tacy, którzy nie przebyli Atlantyku, a mimo to śpią w najlepsze; niech w takim razie ustąpią kolejki innym.

– Przecież on już jest ostatni! – zwraca jej uwagę ksiądz, którego cierpliwość zaczyna się wyczerpywać.

– W końcu – ustępuje, urażona – ja już sformułowałam swoje wnioski na podstawie zdjęć: strój Maryi jest dokładnie taki, jaki nosiły młode Żydówki w pierwszym wieku naszej ery, ornamenty są typowe dla końca hiszpańskiego średniowiecza, a wszystkie motywy mają alegoryczne pochodzenie azteckie. Jeżeli moja obecność wydaje się państwu zbędna, mogę sobie poczekać w mikrobusie.

– Niechże pani nie bierze wszystkiego do siebie – rzuca w końcu Niemiec, pełen pobłażliwości – ale proszę przyznać, że analiza pigmentów i projekcja kosmograficzna to badania wymagające więcej zachodu niż opis kostiumu.

– Opis kostiumu! – historyczka o mało co się nie dusi.

– Ależ to jest epokowe odkrycie, którego dokonałam na temat drugiego, azteckiego znaczenia każdego symbolu chrześcijańskiego! Przecież powszechnie wiadomo, że obraz nie jest namalowany farbą i widać na nim gwiazdy z tamtej epoki!

– Nie, właśnie, że wszystkiego nie wiadomo powszechnie! – teraz denerwuje się Rosjanin. – Nakładając na obraz mapę konstelacji z 12 grudnia 1531 roku, z godziny 10.40, otrzymuje się dokładną pozycję gwiazd, które widać na niebieskim płaszczu, ale ja odkrywam jeszcze to, czego nie widać! Korona Północy byłaby nad głową Madonny, znak Wagi na wysokości jej złączonych dłoni, a znak Lwa na jej łonie!

– Ta terminologia nie ma najmniejszego sensu – ucina historyczka. – Dla Azteków znak Lwa nie oznacza lwa, tylko okrąg otoczony czterema płatkami, *Nahui Ollin*: środek świata, środek nieba, środek czasu i przestrzeni.

– Na jedno wychodzi – odparowuje Rosjanin. – Najważniejsza gwiazda w gwiazdozbiore Lwa nazywa się Regulus, „mały król”: jej pozycja w godzinie objawienia to dokładnie łono, w którym jest już embrión Jezusa Chrystusa.

– A jakim sposobem Aztekowie mieliby zrozumieć tę aluzję? Istotne jest to, że pozycja gwiazd tworzy symboliczny znak króla, zbiegając się z kwiatem o czterech płatkach, który pozwala umieścić centrum świata w łonie Madonny: tylko dzięki temu Indianie zrozumieli przesłanie obrazu!

– Pod warunkiem, że te gwiazdy są oryginalne – wyrokuje Niemiec. – Według mnie zostały domalowane w XVII wieku, podobnie jak złote promienie i księżyc pod stopami, co było podyktowane chęcią osiągnięcia zgodności z wizją Apokalipsy świętego Jana, co udowodnię państwu poprzez prosty trzyetapowy test: utleniacz – odbarwiacz – rozpuszczalnik, jeżeli oczywiście dopcham się do obrazu!

– Zabraniam panu dotykać moich gwiazd!

– Dosyć tego, jasne?! – wykrzykuje niespodziewanie ksiądz. – Wystarczająco dużo trudu kosztowało mnie, żeby ta ekspertyza w ogóle mogła dojść do skutku. Proszę mi tego dodatkowo nie utrudniać!

Zdumiony Kevin prostuje się jak struna na swoim siedzeniu. Pozostali umykają wzrokiem jak dzieci na kolonii, kiedy wychowawca się wścieka.

– Przykro mi, że muszę to przypominać, ale wszystkie badania będą przeprowadzone w świętym miejscu, a cisza i pokora są w nim tak samo wymagane jak kompetencje!

Po czym ojciec Abrigón kończy dyskusję, wyłącza mikrofon i obraca się twarzą do kierunku jazdy.

W ogromnym, pustym tipi z betonu ciężar samotności i niepokoju spada nam na barki. Stojąc na baczność wokół ruchomych chodników, teraz znieruchomiłych, saperzy i pirotechnicy spoglądają na obraz w zaraźliwym skupieniu. Jeden po drugim eksperci, ubrani w sterylne kombinezony, wspinają się na drabinę przy odpowiednim oświetleniu. Zdenerwowany ojciec Abrigón nieustannie patrzy dookoła, jakby obawiał się protestu niebios – albo nieoczekiwanego powrotu rektora bazyliki.

Historyczka przykłada swoje kalki, sprawdza pozycję poszczególnych symboli, dokonuje pomiarów metrem krawieckim. Potem doktor Berlemont, łysy i powściągliwy, chwytając za szczeble, wspina się z lupą na wysokość brzucha Maryi Dziewicy, ogląda go bardzo dokładnie i schodzi, by nam potwierdzić, że jest ona w trzecim miesiącu ciąży. Odprowadzam go wzrokiem, gdy kieruje się do wyjścia.

– Przyjechał tylko po to? – szepczę do ucha ojca Abrigóna.

Abrigón potrząsa głową i wyjaśnia, że śledczy kanoniczny musi zbadać jutro dwa przypadki cudów zakwalifikowane do procesu Juana Diega. Zastanawiam się, czy nie pójść za nim, ale ponieważ Rosjanin coś marudzi przy instalacji rzutnika, a Niemiec najwyraźniej jeszcze nie jest gotowy, bo wciąż schyla się nad swoją walizką, pochłonięty fiolkami i pipetami, ksiądz proponuje mi, żebym zajęła ich miejsce.

Wyjmuję oftalmoskop i wspinam się po drabinie, walcząc z lękiem wysokości, o którym wolałam im nie mówić. Z coraz płytszym oddechem dokonuję wstępnych ustawień, owiana nieznaną wonią, jakby mieszaniny mułu i ciepłego spichlerza, która stopniowo staje się jednorodnym zapachem. Już nie odczuwam zawrotów głowy ani pokusy, by spojrzeć w dół. Ogarnia mnie niezmacony spokój, który tylko zwielokrotnia precyzję ruchów i uwagę, gdy ustawiam się naprzeciw lewego oka. I przeprowadzam badanie zgodnie ze standardową procedurą, starając się zapomnieć o tym, że chodzi o obraz.

W świetle oftalmoskopu źrenica rozjaśnia się. Odbicie na zewnętrznym kręgu, dyfuzja, wypukłość wklęsła... Odsuwam głowę, mrugam powiekami, powracam do wziernika, starając się opanować przyspieszony oddech, spowolnić bicie serca. To, co właśnie obserwuję, jest po prostu niemożliwe na płaskiej powierzchni, która na dodatek jest matowa. Oczy żyją. Przecież nie śnię: tęczęwka się zwięża. Gdy rzucam wiązkę światła na jej tylny segment, rozjaśnia się bardziej – ale jednak mniej niż źrenica. I to nie wystarczy, żeby wytłumaczyć wrażenie głębi. Ani lekkich poruszeń, do których dochodzi co chwila.

Mogłabym wyliczać wszystkie możliwe przyczyny: zmęczenie, jedzenie, stan emocjonalny, zniecierpliwienie tych na dole, którzy czekają, aż skończę... Ostatecznie, wrażenie zwięzania się jest zbyt subiektywne, zbyt zależne od mojego własnego wzroku, żebym miała prawo wyciągnąć z tego jakiegokolwiek wnioski. Natomiast zjawisko, które właśnie odkryłam, przesuwając oftalmoskop o milimetr w stronę dolnej powieki, powinno sprawić, że spadnę z drabiny. A ja wciąż jestem spokojna. Proszę, żeby mi podano moje lupy, biomikroskop, i sprawdzam jego obecność w prawym oku, i ustaliam, że to nie jest ani nieregularność tkaniny, ani konsekwencja luźnej tekstury, ani efekt zgrubienia pozostały po ruchu pędzla.

W czterech miejscach zauważyłam – i każda kolejna obserwacja tylko mi to potwierdza – doskonale widoczne znaki mikrocyrkulacji krwi w skórze.

Ratunku! Nie słuchaj jej, nie ufaj temu faksowi, który ci posyła, ona się myli, Damiano. Jest pod wpływem tego specjału od powiększania zdjęć, ponieważ zakochał się w innym mężczyźnie w wagoniku kolejki i teraz ona widzi to samo co on, nie wierz jej, błagam cię, zapomnij o niej, zmień ją, jeszcze nie jest za późno, żeby przysłać do mnie nowego eksperta, który będzie słuchał wyłącznie swojego rozsądku i będzie umiał niczego nie widzieć, wybacz mi, Damiano, to ja popchnąłem cię w jej stronę z powodu jej walki z cudami w Lourdes, to ja zwróciłem twoją

uwagę na gazetę, która pisała o niej – a może to przypadek i nasze umysły wędrowały równoległymi ścieżkami, nie porozumiewając się między sobą – ale jakie to ma teraz znaczenie, ważne jest, żebyś znalazł kogoś innego, szybko, jak tylko poznasz treść tego faksu, który drukuje się za twoimi plecami na szklanym pulpicie, no, obróć się, przeczytaj i reaguj, człowieczku, zaklinam cię...

Słuchaj mnie... Kardynale Damiano Fabiani, wicedziekanie Świętego Kolegium Kardynalskiego, konserwatorze zbiorów biblioteki watykańskiej i adwokacie diabła, do ciebie mówię. Ja, twoja obsesja, twoja ostatnia walka, twój łabędzi śpiew i ostateczna zemsta, usłysz mnie! Nie usypiaj nad talerzem makaronu w samym sercu tej jaskini z betonu, zapieczętowanej sześć metrów pod ziemią, chociaż dobrze wiem, że godziny dla ciebie nie istnieją, gdy tak królujesz w swym bunkrze nad pamięcią całej ludzkości. Teraz nie jest pora na to, by odpoczywać i rezygnować z wysiłku – a zresztą, niech będzie, zaśnij z powrotem, skoro twój umysł nie jest w stanie połączyć się ze mną inaczej niż poprzez modlitwę. Jesteś stary, Damiano, już nie masz siły, jesteś zbyt samotny i przytłoczony ciężarem sekretów, które nosisz w sobie, inni świadkowie poumierali jeden po drugim, a ty wkrótce do nich dołączysz, wiemy to obaj. Wiemy też, dlaczego następcą Jana Pawła I powierzył ci to stanowisko, tyleż prestiżowe, co nie znane opinii publicznej, to stanowisko, którego nie ma w informatorze Watykanu, to zamrożone stanowisko, które pożera twoje płuca przy każdym wdechu, to stanowisko, które powinno było okazać się dla ciebie fatalne już dwadzieścia lat temu – umrzesz, Damiano Fabiani, będziesz mógł umrzeć, bo jesteś tylko o krok od dokonania swojej zemsty. Bo kiedy powstrzymasz Ojca Świętego od ogłoszenia mnie świętym, układ aliansów na następnym konklawe zostanie zaburzony; reakcyjni kardynałowie, którym obiecałeś, że aureola nie otoczy głowy Indianina, w zamian zagłosują na twojego kandydata, przez co niepostrzeżenie wypełnisz wolę swego przyjaciela Jana Pawła I. Nowy papież będzie prawdziwym reformatorem, biedakiem wśród biedaków, a ty będziesz miał ich wszystkich bardzo wysoko w niebie, jak czasem mówisz, oczywiście jeśli tam trafisz. Z mojego miejsca nie mogę dać ci takiego zapewnienia, ale posłuchaj mnie, Damiano, nie zatrzymuj się tak blisko mety. Czuję, jak zapadasz w sen i moje myśli rozpuszczają się w tobie: czuję, że mnie odbierasz. Trzeba, żebyś pilnie odwołał doktor Nathalie Krentz i wysłał innego okulistę. Czemu nie profesora Manneville'a, szefa kliniki? Z tego, co udało mi się zrozumieć, ich stosunki są raczej napięte, więc będzie z pewnością zachwycony, mogąc podważyć jej wnioski, nie sądzisz? Przy odrobinie szczęścia okaże się rasistą i podzieli awersję, którą odczuwa w stosunku do mnie jedna trzecia kurii rzymskiej. Co o tym myślisz, Damiano? Zgadzasz się?

Głuche brzęczenie zrywa kardynała na nogi. Ktoś prosi o audiencję. Przechodzi go dreszcz, przez chwilę ma napad kaszlu, odsuwa od siebie Biblię Gutenberga z gotyckimi literami, najstarszą książkę świata – faksymile, którego oryginał jest zapieczętowany na zawsze w jednym

z sejfów z matowej stali, osadzonych w ścianie. Szuka po omacku pilota do ekranu po lewej stronie. Pojawia się na nim nadmiernie powiększona głowa kardynała Solendatego, widziana z góry. Przyciska inny guzik, żeby rozkazać szwajcarom, by jeszcze przez pięć minut zatrzymali na powierzchni prefekta Kongregacji Spraw Świętych.

Ależ nie, Damiano, nie trać czasu z tym skwaszonym ponurakiem, do którego stajesz się podobny, z tym fałszywym towarzyszem drogi, o którego potykasz się jeszcze od seminarium. Odwróć się, zobacz nowy faks, przeczytaj go, zastanów się, przypomnij sobie ten krótki sen, który przyniósł ci dobrą radę... Nie rozpraszaaj swej energii na wojnę podjazdową z tym smutasem. Przecież jego pojawienie się za każdym razem budzi twoje wrzody na żołądku!

Udało się, nareszcie odkryłeś faks. Chwytasz go do ręki, zakładasz okulary i czytasz:

Ja, niżej podpisana Nathalie Krentz, doktor medycyny, potwierdzam, w wyniku przeprowadzonego w dniu dzisiejszym badania przy użyciu oftalmoskopu, że oczy widniejące na tkaninie zwanej „tilmą Juana Diega” przedstawiają, oprócz odbić zgodnych z prawami Purkyniego-Sansona, ślady mikrocyrkulacji naczyniowej.

W związku z powyższym stwierdzam niemożność poświadczenia, iż doskonale realistyczna reprodukcja tych fenomenów wzrokowych może być dziełem artysty malarza, niezależnie od epoki. Uzasadniona wygięciem rogówki dystorsja obrazów, jaką można by stwierdzić za pomocą tego samego oftalmoskopu u żywego człowieka, w przypadku płaskiej powierzchni nie może być wyjaśniona na obecnym poziomie wiedzy w zakresie mojej specjalności.

Zaświadczenie wydaje się w celu przedłożenia odpowiednim władzom.

dr Nathalie Krentz

Damiano zdejmuje okulary, uśmiecha się, mnie kartkę i wrzuca ją do niszcarki dokumentów. I to cała jego reakcja... Boże mój, jak więc funkcjonują kardynałowie? Już biskup Zumarraga, za życia, był dla mnie tajemnicą, zwłaszcza po tym, jak uczynił ze mnie zakładnika w zamian za wolność mego ludu. I nie można powiedzieć, żeby moje stosunki z wysoko postawionymi przedstawicielami kleru specjalnie się zmieniły przez te cztery wieki.

Fabiani bierze do ręki talerz z makaronem, idzie otworzyć jedną z metalowych szafek, włącza specjalną windę do przewożenia potraw, szczerzej osłania ramiona wełnianym pledem, który pozwala mu znosić stałą temperaturę osiemnastu stopni, i wędruje salą sejfów, z dłońmi splecionymi na plecach, z uniesionym czołem, wpatrując się w marmurowe złącza. Rozmyśla, jak zawsze gdy jesteśmy razem, o tych dziesięciu dniach szczęścia, których zaznał na ziemi, tamtego lata 1978 roku, kiedy dwa tygodnie po konklawe wezwał go do siebie papież Jan Paweł I, jego, zwykłego biskupa, sekretarza w Prefekturze Spraw Ekonomicznych, by powierzyć mu śledztwo finansowe dotyczące Banku Watykańskiego.

Każdej nocy, siedząc w tym samym biurze, które za dnia zajmował kardynał Marcinkus, Damiano dokładnie przeglądał wszystkie konta, odkrywając oszustwa, fałszywe wpisy, pranie

brudnych pieniędzy i zorganizowane ucieczki w kierunku tak zwanych rajów finansowych. I co rano za kwadrans piąta, w porze pobudki papieża, szedł zdać mu raport przy filiżance kawy. Zaufanie Ojca Świętego i ich wspólna wola głębokiej reformy Watykanu, uwolnienia go od bezużytecznej pompy, spekulacji giełdowych, tajemnych związków z mafią i urzędowej hipokryzji dawały tym dwóm góralom z Alp Weneckich złudzenie, że można wciąż jeszcze przywrócić ducha Ewangelii i przegonić handlarzy ze świątyni.

Aż do dnia jedenastego, kiedy za kwadrans piąta biskup Fabiani znalazł papieża w łóżku – otrutego. Niezwłocznie zaalarmował kardynała sekretarza stanu, który zaczął od tego, że narzucił mu przysięgę milczenia, schował na jego oczach lekarstwo na niskie ciśnienie, leżące na stoliku nocnym, skonfiskował testament papieski, opróżnił szuflady z wszystkich notatek dotyczących historycznych decyzji, które miały być wkrótce ogłoszone, i polecił zabalsamować ciało w celu uniknięcia sekcji. Cały świat dowiedział się, że papież, którego pontyfikat trwał trzydzieści trzy dni, umarł na atak serca wywołany ciężarem spoczywających na nim obowiązków – mimo iż w rzeczywistości czuł się świetnie, chciał tylko zreformować Kościół i sprowadzić go z powrotem na drogę Chrystusa. W ciągu kilku godzin prawdziwy charakter i intencje Jana Pawła I zostały zatuszowane i obrócone wniwecz. Pozostał tylko nieśmiały dureń bez wykształcenia, niegroźny głupiec, którego przerosła rola wyznaczona mu przez Niebo – i z którym Damiano Fabianiemu zawsze kojarzy się mój obraz, co mnie nieskończenie wzrusza.

Aby zapewnić sobie jego milczenie, znaleźć mu zajęcie i odciąć go od świata, sekretarz stanu, który zatrzymał swoje funkcje, postarał się o to, by nowy papież dał niewygodnemu świadkowi kapelusz kardynalski i pełną odpowiedzialność za bibliotekę, ten podziemny schron o powierzchni siedmiuset metrów kwadratowych, zaprojektowany po to, aby ochronić przed działaniem zanieczyszczonego rzymskiego powietrza oraz ewentualną eksplozją jądrową pamięć ludzkości: trzysta tysięcy manuskryptów oraz tajne archiwa Watykanu.

Sam nie wiem, co we wspomnieniach Fabianiego jest prawdą, a co nie, co jego wybiórcza wierność i lojalność ukrywa lub wyolbrzymia, ale jedną z rzeczy, których żał mi po śmierci, jest to, że papież biedaków, jak sam się nazywał, nie miał okazji pomyśleć o mnie. Czy zdołałbym go ostrzec przed knowaniami przeciw niemu, gdyby znalazł czas, podczas swoich czterech tygodni w Watykanie, aby przejrzeć ten podpisany przez arcybiskupa Meksyku wniosek o beatyfikację, który drzemał w papierach Pawła VI? Czy mógłbym uratować mu życie, jak być może uratowałem Nathalie Krentz w dziale meblowym w „El Nuevo Mundo”?

Lecz teraz, w tym momencie, chcę, żebyś nie myślał o 29 września 1978, Damiano. Chcę, żebyś wrócił do chwili obecnej, do marca 2000 roku, żebyś podjął decyzję i skorzystał z wizyty prefekta zajmującego się moim procesem kanonizacyjnym i poinformował go o nominacji twego nowego eksperta. Skoncentruj się, tak cię proszę. Przywróć mnie sobie, bo mam wrażenie, że rozpadam się wśród twoich wspomnień... Zapomnij o tym łotrze Marcinkusie, z powrotem

osadzonym na czele Banku Watykańskiego i obsypanym zaszczytami przez papieża, zapomnij o swoim areszcie pod pozorami awansu, zapomnij o swej zapiekłej nienawiści do Luigiiego Solendatego, który kiedyś ocalił cię od śmierci, ręką za twoje milczenie, zapomnij o przeszłości, żeby skoncentrować się na mojej przyszłości.

Niech odżyje twoje współczucie dla mnie, Damiano, błagam cię... Jestem nieszczęśliwy. Boję się. Tak bardzo wierzyłem w Nathalie, a teraz znów jestem sam na sam z tobą, który tak mnie zaniedbujesz. Mam wrażenie, że masz już inne plany, zmieniasz strategię, coraz mniej cię obchodzi, że więzy między nami się rozluźniają, że zniknę z twojego umysłu... Co mam zrobić, żebyś znów mnie usłyszał, by Opatrzność zgrała nas ze sobą tak jak wcześniej? Mam znowu żałować za wszystko? Dotrzeć do twojego zmumifikowanego serca przez kolejny akt skruchy, jeszcze jeden? Dobrze wiem, że przechodzę piekło, na które zasługuję. Moje najszczerze pragnienie, najważniejsze życzenie mojej egzystencji, zostało spełnione: żeby nic się wokół mnie nie zmieniało. Dobrze wiem, że Maryja Dziewica wynagrodziła mi nieobecność żony, zapewniając mi przez siedemnaście lat najlepsze lekarstwo na samotność, przemijający czas i wygasające uczucia: to, że mogłem bez przerwy od nowa przeżywać – dzięki przywilejowi opowiadania, w egoistycznym uniesieniu i ogólnej egzaltacji – kluczowy moment życia. Zapowiedziała na skale Tepeyac: „Zostaniesz sownie wynagrodzony za oddaną przysługę”. I to prawda, że powtarzanie każdego dnia przed nowymi nieznanymi historii objawień na wzgórzu i różanego cudu dawało mi złudzenie, iż nic nie może mnie zranić, bo czułem się potrzebny – i to było takie słodkie. Nie wiedziałem, że jej łaska wyjdzie poza ramy mojego ziemskiego wcielenia. A więc to życzenie, aby zatrzymać upływające godziny, cofnąć się w czasie, żyć wspomnieniami, było mocniejsze niż pragnienie odnalezienia mojej żony na tamtym świecie? Powinno się zawsze bacznie uważać na to, czego się chce, nawet nieświadomie: życie przybiera czasem kształty naszych marzeń, na dobre i na złe, a wtedy śmierć przypieczętowanie ten wybór.

Lampka czujnika mruga ponad ścianą pancerną. Damiano z powrotem siada i naciska stopą guzik, który otwiera zasuwane drzwi prywatnej windy. Prosty jak świeca, w lamowanej sutannie, z wielkim pektorałem zwisającym ponad czerwonym pasem, ciemną końską głową, której twarz nie wyraża żadnego innego cierpienia poza trudnością samego trwania, kardynał Solendate wkracza do sali sejfów.

– Znajduję Jego Eminencję w lepszej formie niż w zeszłym miesiącu, monsignore – oświadcza z wyniosłą prostotą, która pełni u niego rolę grzeczności.

– Niewątpliwie wam to zawdzięczam, Eminencjo – odpowiada Fabiani, splatając palce pod brodą. – Gdyby nie ta propozycja misji w Meksyku, nie miałbym innej okazji opuszczenia mojego grobu.

– Grobu! – uśmiecha się prefekt z wyrazem pobłażliwego wyrzutu. – Cóż to za lekceważące wyrażenie, monsignore, na określenie przywileju, którego zazdrości wam cała kuria! Dla

potomności jesteście najcenniejszym spośród nas.

– I najbardziej bezużytecznym na co dzień – uściśla Fabiani. – Technicy nad moją głową skanują najstarsze manuskrypty świata, a potem przychodzą zapieczętować oryginały w tych sejfach, z których nigdy już nie wyjdą. A ja podpisuję kwit i potwierdzam kod informatyczny, którego sam nie znam. To nie jest przywilej: to prawdziwa męka.

– Ależ Eminencjo... Jakże to musi być podniosłe, dla takiego bibliofila, żyć w otoczeniu tych wszystkich skarbów... *Codex Benedictus*, pierwszy list świętego Pawła, *Boska Komedia* wykaligrafowana dłonią Boccaccia, rysunki Leonarda da Vinci, pierwszy manuskrypt *Powieści o róży*...

– Tak, byłem miłośnikiem książek, a teraz jestem stróżem kostnicy. Jaki jest cel tej wizyty, Luigi?

Prefekt Kongregacji Spraw Świętych posyła spojrzenie tam, gdzie powinien się znajdować fotel gościa. Szmer klimatyzacji tylko podkreśla jego milczenie, które wynika nie tyle z zakłopotania, jakie odczuwa, ile z posiadanego sekretu. Do szafu mnie doprowadzają ci starcy, z żółcią podsmażaną w protokolarnym cukrze.

– Niosę smutne dla was wieści, monsignore – rzuca wreszcie człowiek przybyły z powierzchni. – Jego Świątobliwość Ojciec Święty właśnie podpisał dekret o obowiązkowym przejściu na emeryturę kardynałów w wieku siedemdziesięciu lat. Wchodzi on w życie w przyszłym miesiącu.

– Skąd ten pośpiech?

– Z chęci mianowania trzydziestu ośmiu nowych, lojalnych kardynałów, żeby stworzyć konklawe skłonne głosować tak, jak sobie tego życzy Jego Świątobliwość. Skąd to pytanie?

Mój adwokat diabła odwraca wzrok w kierunku ściany z nagiej stali, żeby przetrwać nowinę, która rujnuje wszystkie jego zamierzenia. Tamten kontynuuje, z dłońmi złożonymi na brzuchu:

– W ostatecznym rozrachunku być może Jego Świątobliwość Ojciec Święty zakpił sobie z nas bardziej, niż myśmy go zmanipulowali.

– Jesteście w złym położeniu, nie możecie się uskarżać, zwłaszcza przede mną. Chcieliście powrotu do tradycji: dostaliście to. Oskarżaliście nowoczesność, że jest przyczyną wszystkich chorób Kościoła, teraz tradycjoniści odsuwają was na bok. Jego Świątobliwość miłuje wszystkich, poza tymi, którzy uważają go za marionetkę i próbują pociągać za sznurki.

Nie pojmuję tych aluzji. Mnie drugi Jan Paweł wydaje się tak samo godny podziwu jak pierwszy: jest tak charyzmatyczny, dzielny i wzruszający, gdy łączy wyczerpanie fizyczne i energię duchową... Być może wszyscy oni mają w sumie rację: jestem bardzo naiwny. Ale dlaczego miałby to być zarzut?

– W każdym razie – podejmuje Solendate – zawsze jest sposób na to, by nie dopuścić do

wprowadzenia w życie tej decyzji.

– Słucham?

– Zgon Ojca Świętego automatycznie anuluje wszystkie podjęte postanowienia.

– Chyba nie zamierzacie zamordować drugiego papieża tylko po to, żeby wybrać sobie jego następcę, zanim przekroczycie granicę wieku?

Grymas wykrzywia twarz Solendatego, który na moment traci całą swoją wyniosłość, pogardę i pewność siebie.

– Niech Bóg wam przebaczy te insynuacje, Fabiani! Przypomniałem tylko, że po to, by zatwierdzić tę decyzję, musi się zebrać Święte Kolegium. To czysta formalność, ale przecież możemy równie dobrze nigdy nie osiągnąć niezbędnego kworum aż do śmierci papieża.

– I uważacie za sukces, że nie pozostała wam już żadna inna władza poza uchylaniem się od obecności?

Dwaj potencjalni emeryci mierzą się wzrokiem. W ich spojrzeniach przewija się całe życie intryg pałacowych, nieodzownych podwójnych gier i osobistych ambicji w służbie Bogu.

– Wiecie, o czym myślę, Luigi?;

Głowa wielkiego kardynała obraca się powoli w stronę sztucznego światła dziennego, które opalizuje w obramowaniu dwóch białych firanek, łagodząc surowy wygląd bunkra. Jego wargi rozchylają się powoli. Oczekuje: bez ponagrania, zniecierpliwienia ani jakiegokolwiek emocji.

– Myślę o ripoście, której na naszym miejscu udzieliłby monsigniore Bierens.

Człowiek, który stoi na czele mojego procesu, rozkłada ręce i pozwala im opaść na sutannę, na znak bezsilności albo aprobaty pełnej rezygnacji. Na konklawe w 1978 roku, z którego wyłączono kardynałów powyżej osiemdziesięciu lat, na mocy testamentu Pawła VI, wszyscy pozostali, którzy zgodnie z tradycją spalili w piecu swoje karty do głosowania, o mało co się nie zaczadzili w kłębach czarnego dymu, który wypełnił Kaplicę Sykstyńską. Kardynał Bierens, osiemdziesięciodwupółletni prefekt Domu Papieskiego, „zapomniał” nakazać przeczyścić komin.

– A gdy pomyślę, że na dodatek – wzdycha Luigi Solendate – wkrótce ofiarujemy Ojcu Świętemu jego ostatni triumf w postaci kanonizacji Juana Diega...

– Nie będzie kanonizacji.

Prefekt oponuje łagodnie, z wyrazem wyższości:

– Doprawdy? Przecież wasz ekspert właśnie stwierdził niemożność zakwestionowania cudu.

– Skąd to wiecie? – Fabiani aż podskakuje. – Przechwytyjecie moje faksy?

Tamten tylko splata palce.

– Powiedzmy, że dotarła do mnie kopia raportu.

Z dłońmi zaciśniętymi na skraju stołu adwokat diabła zrywa się z fotela w napadzie oburzenia.

– Założyliście podsłuch na mojej zastrzeżonej linii!

– Nie przypisujemy słowom sensu, którego nie mają, Eminencjo. Po to, żeby mogła zostać zastrzeżona, ta linia musi być połączona z telefoniczną centralą Watykanu, i jako taka zastrzeżona przez kompetentne służby, których obowiązkiem jest informowanie zwierzchników.

– Jakich zwierzchników? W żaden sposób nie jestem waszym podwładnym, Solendate!

– Jako Promotor Wiary w procesie, który prowadzę, tak: podlegacie mi.

– Chyba nie mianowaliście mnie adwokatem diabła tylko po to, żeby podpiąć się pod moją linię!

– Proszę nie oceniać aż tak nisko moich możliwości, monsignore: mam inne asy w rękawie. Poza tym, kiedy objęliście obserwacją moje konta w Banco Ambrosiano, w 1978 roku, nie skarżyłem się na nadużycie władzy ani na ambicje, których stałem się ofiarą.

– Wypełniłem swoje zadanie wyłącznie w interesie Kościoła. Mimo że, niestety, kontrola waszych kont nie dała mi wystarczających dowodów na to, by ogłosić was współnikiem Marcinkusa!

– A sądzą, że wasze nudne rozmowy telefoniczne oświeciły mnie bardziej?

Obaj milkną na moment, mierzą się wzrokiem, na koniec uśmiechają się. Biedny jest Kościół w rękach tych podejrzliwych staruchów, którzy bronią wyłącznie swoich przywilejów i co jakiś czas zastawiają na siebie pułapki. Przesunięcie wieku emerytalnego zmieni najwyżej ich twarze, ale nie mentalność. Wielcy kapłani azteccy z czasów mojej młodości może nie byli niewiniątkami, ale przynajmniej zabijali po to, żeby nakarmić słońce, na rozkaz swoich bóstw, z samozaparciem i bez ukrytych intencji.

– Macie zamiar powołać nowego eksperta? – podejmuje prefekt, z tym samym łagodnym uśmiechem.

– Nie.

– A więc?

– A więc sami się przekonacie – Fabiani wskazuje kwaśno telefon z faksem. – Ale możecie już teraz zarezerwować jedną celę w waszym opactwie dla emerytowanych duchownych: Juan Diego nie przetrwa moich wniosków.

– Jesteście bardzo pewni siebie.

– Zostawcie mi ten przywilej.

Wielki kardynał, kierując się w stronę wejścia do windy, odwraca się z wyciągniętym oskarżycielsko palcem.

– Nie macie prawa ukrywać przede mną żadnego dowodu, Fabiani! Każdy nowy element w sprawie ma zostać poddany dochodzeniu w...

– To nie jest żaden nowy element. Wszyscy mieli to pod nosem, ale nikt się tym nie zainteresował. Moglibyście się jeszcze wiele dowiedzieć, monsignore, gdyby ktoś dał wam na to

wystarczająco dużo czasu.

Prefekt ze złością odwraca się do niego plecami i szuka przycisku na gładkich ścianach. Fabiani, siedząc za stołem, wyciąga nogę i naciska guzik ukryty pod dywanem. Drzwi windy rozsuwają się z lekkim szelestem.

– Proszę się nacieszyć swoim schronieniem, Damiano, przez tych kilka tygodni, które wam pozostały. Nie mieliście czasu sprawdzić jego zalet.

– Wciąż nie tracę nadziei.

Wysoki starzec śmieje się pod nosem, z zaciśniętymi ustami, po czym pyta z udawanym niepokojem:

– Uważacie, że konflikt nuklearny wybuchnie wcześniej, niż ktoś was zastąpi?

– To zależy tylko ode mnie.

– Myślę, że już najwyższy czas, by przekazać wasze obowiązki, Fabiani. Zaczyna się uwiad starczy.

– Tylko ja decyduję o zamknięciu biblioteki, Eminencjo. Niezależnie, czy będzie wojna, czy pokój: jeśli tylko najdzie mnie ochota, by zamknąć się tu z pamięcią całej ludzkości, nikt nie będzie w stanie otworzyć tych drzwi wcześniej niż za pięćdziesiąt lat, bo tyle wynosi okres ochronny dla manuskryptów przed skażeniem radioaktywnym.

– Wolne żarty.

– Skoro tak uważacie... Miłego dnia, monsignore.

Drzwi windy zamykają się i Fabiani odsyła swojego zaprzysięgłego wroga na powierzchnię, pozostając ze mną sam na sam w tej opancerzonej krypcie. Nie jestem w stanie przejrzeć jego gry, oddzielić skrywanej prawdy od kłamstw, ocenić rzeczywistych celów i przewidzieć zwrotów sytuacji w tej walce, w której uważałem się za główną stawkę, ale okazałem się tylko pretekstem.

Podtrzymując Kevina, odholowałam go aż do jego pokoju. Nadludzki wysiłek, związany z wykonaniem zdjęcia lewego oka i utrzymaniem się przy tym na drabinie, pogrążył go na nowo w półodrętwieniu, co bardzo mnie urządziło. Nie miałam ochoty opowiadać o tym, co zobaczyłam. Nikomu. Chciałam to tylko opisać i wysłać jak najszybciej, żeby być w zgodzie z własnym sumieniem, a potem spróbować zapomnieć. Albo zaakceptować. Albo odrzucić, z upływem czasu. A w końcu zwątpić we własny rozsądek, po to, by kiedyś, na nowo, odrzucić to, co nadprzyrodzone.

Zredagowałam moje wnioski jednym tchem, przy akompaniamencie nieregularnych chrapnięć towarzysza badań. Jego laptop zawiesił się, gdy chciałam wysłać mail. Obudziłam telefonistkę. Słowo „Vaticano” jest jednym z nielicznych, które są w stanie każdego wyrwać z otępienia: trzydzieści sekund później umyślny w liberii przybył odebrać faks, a po pięciu minutach wręczył mi dowód wysłania. Co ma wisieć, nie utonie – jak mawiali marynarze, gdy

ich okręt szedł na dno.

Zwlekałam z powrotem do własnego pokoju. Widok pleców tego dużego chłopca, śpiącego w poprzek łóżka ze skrzyżowanymi ramionami, w przyciasnym smokingu, wzruszał mnie, ale nie budził pożądania. Byłam uwięziona i wolna, pełna uczuć i pusta w środku. Jakie to będzie miało znaczenie, czy wyjdę, czy też zostanę? Czy położę się przy nim, czy pójdę upić się tequilą z minibarku? Byłam w jego życiu przez chwilę kołem ratunkowym, które miało mu pozwolić na opóźnienie momentu utonięcia. To wszystko. Problemy tego rodzaju leczy się tylko skalpelem, a on nie jest w stanie niczego przeciąć ani przerwać; nie potrafi wyrzucić niczego, nawet zółwia do toalety, aby ratować swoje małżeństwo. Tak bardzo jesteśmy do siebie podobni, że jest to aż żalosne. Gdybym umiała sformułować jasno jakieś żądanie... Ale nie zacznę teraz zanosić modłów do Matki Boskiej, korzystając z pretekstu, że właśnie potwierdziłam jej prawo pobytu w starym kawałku materiału. Fakt, że widzi, nie znaczy tak od razu, że istnieje. Dobrze rozumiem, co chcę przez to powiedzieć. Chyba ja jedna.

Telefon brzęczy na stoliku nocnym. Tym razem czekam, aż Kevin Williams odbierze. Przy trzecim dzwonku prychnie jak koń i na oślep wyciąga rękę w stronę słuchawki.

– Co jest? – rzuca ostro, wkrótce jednak łagodnieje. – Dobry wieczór, Eminencjo, albo dzień dobry, sam już nie wiem, jaka jest u pana pora.

Przyjął sztucznie swobodny ton ludzi, którzy przesadzają z dynamizmem w głosie, myśląc, iż w ten sposób ukryją fakt, że właśnie się obudzili.

– Wszystko w najlepszym porządku, zrobiłem zdjęcia bez szyby ochronnej. Słucham? Nie, jeszcze nie... Aha. Tak, jest to możliwe, oczywiście, zadzwonię, jak tylko skończę. Moje uszanowanie, Eminencjo. Ależ on jest upierdliwy! – konkluduje, odkładając słuchawkę.

Zwija się w nogach łóżka, prostuje, drapie w plecy i idzie do łazienki.

– Gdzież ja, do diabła, podziałem aparat? – zrzędzi, sikając przy otwartych drzwiach.

To zabawne, jak sen potrafi zmienić mężczyznę. Świt ledwo różowieje za oknem, a już jesteśmy intymnymi znajomymi, którzy nie muszą się siebie wstydzić, mimo że oszczędziliśmy sobie naszych ciał. Podnoszę z dywanu niezwykle skomplikowane urządzenie, które porzucił na podłodze. Wygląda trochę jak kamera cyfrowa z czymś w rodzaju lejka na filtry zamiast zoomu, a całość jest najeżona czujnikami i ekranami kontrolnymi. Pytam, żeby grzecznie zagłuszyć pluskanie w sedesie:

– Jaki jest ten pana kardynał? Mój wygląda trochę jak kosmita z Roswell.

Wraca z łazienki, ale zatrzymuje się, by mi się przyjrzeć, rozpoznać mnie i przypomnieć sobie, co zrobiliśmy razem, a czego nie.

– Nie powinienem tyle pić przy tych środkach nasennych – oświadcza, podłączając kamerę do niezidentyfikowanego urządzenia, połączonego z kolei z laptopem, który teraz funkcjonuje bez zakłóceń.

Kilka kliknięć myszką i na ekranie pojawia się mozaika kratkowanych plam.

– Siedem na sześć czy sześć na pięć? – zastanawia się.

Podjmuje decyzję, przygląda się kwadratowi, który wyizolował, cofa operację, klika na sąsiedni kwadrat i zaczyna go powiększać.

– Bingo! – stwierdza posepnie.

Nawet nie starając się rozszyfrować powodów jego triumfu, zabieram walizeczkę i szykuję się do wyjścia.

– Nie chce pani być obecna przy tym, jak nasza misja zakończy się powodzeniem?

Odwracam się ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie w takim znaczeniu, jakiego się pani spodziewała, ale to na jedno wychodzi. Odkryłem w oku czternastą postać.

Powracam do niego. Wskazuje mi nagromadzenie plam zupełnie podobne do innych. Przebiera palcami po klawiaturze i oto wdzięczne kolory układają się w niewyraźną sylwetkę z krótkimi włosami i zakrzywionym nosem.

– Morfing? – zgaduję.

– Lepiej. Mikrodensytometr najnowszej generacji. Tam, gdzie ludzki wzrok jest w stanie rozróżnić najwyżej trzydzieści dwa odcienie szarości, ten dochodzi aż do dwustu pięćdziesięciu sześciu. Dokonałem tego odkrycia, pracując na bazie zdjęć już istniejących, ale musiałem to potwierdzić, robiąc nowe zdjęcie oryginału tym... Słucha mnie pani?

Mój umysł dryfuje między jednym a drugim obrazem: znajduję się z powrotem w tym stanie, w jakim byłam podczas badania, na drabinie.

– Jeśli wciąż ma pani sceptyczne nastawienie, to nie ma sensu, żebym ciągnął dalej.

– Ja już zupełnie nie wiem, jakie mam nastawienie, Kevin. Te oczy żyją, widziałam to. One... Nie znajduję innego słowa. One na mnie patrzyły.

– Witamy w klubie. Też przez to przeszedłem, proszę mi wierzyć. Pamięta pani Juana Gonzaleza, tego indiańskiego tłumacza, po prawicy biskupa? Zoomowałem jego oczy i oto, co znalazłem wewnątrz. Poznaje go pani?

Zbliżam się do powiększenia, które zajmuje cały ekran. Kręcę przecząco głową. Łapie za segregator i podaje mi dwie pocztówki: na jednej widnieje rodzaj malowanego kalendarza, gdzie Aztecy przedstawili wydarzenia z roku 1531, na drugiej – inspirowany nim obraz Miguela Cabrery, przedstawiający dwóch mężczyzn o orlich nosach: pierwszy, bardzo stary, ma chytry wyraz twarzy i szpiczastą czapkę, a drugi, młodszy, z gołą głową i z naiwnym spojrzeniem, wznosi ręce do nieba.

– Wuj i siostrzeniec – przedstawia mi ich Kevin, pokazując palcem każdego z osobna.

– To nie Juan Diego nosił czapkę?

– Żaden dokument tego nie potwierdza. Żaden rysunek z tamtej epoki nie pozwala tego

stwierdzić. Za to Juan Bernardino w języku nahua miał przezwisko: „Ten, co chowa swoje dobra pod swoją czapką”.

Przebiega palcami po klawiaturze i na ekranie wyświetla się powiększenie szarego kształtu ze szpiczastym nakryciem głowy. Przy odrobinie dobrej woli wygląda to tak, jakby ktoś strzepywał prześcieradło. Jeszcze jedno kliknięcie i obraz pokrywa się wirtualnymi kolorami, tło przygasa, kontury zostają podkreślone na czarno. Kursor nieruchomieje na głowie Indianina, powiększa ją.

– Widzi pani czapkę, pani doktor?

Przytakuję.

– Dwie rzeczy są pewne: Indianin, który pokazuje tilmę biskupowi, nosi czapkę. A ten, którego odkryłem w oku tłumacza, czternasta postać, jej nie nosi. A zatem to Juan Bernardino jest posłańcem Matki Boskiej i to jego trzeba było beatyfikować.

Patrzę na niego w osłupieniu.

– Z kim rozmawiał pan przez telefon, Kevin?

– Z kardynałem Fabianim.

Przyznaje się do swej dwulicowości z taką naturalnością, że tracę grunt pod nogami.

– Chce mi pan powiedzieć, że realizujemy zlecenie tej samej osoby? I że w sekrecie pracuje pan na konto adwokata diabła?

Unosi palec, by uściślić moje sformułowanie.

– Pracuję na konto ścisłości historycznej, Nathalie, badam zjawisko nadprzyrodzone, którego charakter nie zostaje przy tym zakwestionowany. Wręcz przeciwnie. Przecież Juan Bernardino też zobaczył Matkę Boską. To jemu podała swoje imię: Guadalupe. Uleczyła go z zarazy i wysłała do biskupa, skoro Juan Diego się wymigiwał. Nic nie stoi na przeszkodzie, by dojść do wniosku, że to wuj poszedł zbierać róże. Po drodze spotyka siostrzeńca, który wraca z księdzem, żeby ten udzielił mu ostatniego namaszczenia, i mówi: „Matka Boga mnie uleczyła, chodźmy to powiedzieć biskupowi”. Zna pani finał. Tylko że, zgodnie z moimi powiększeniami, to na tilmie Juana Bernardina pojawiła się Madonna, podczas gdy Juan Diego oglądał całą scenę z boku, z gołą głową, jak to nam pokazuje jego odbicie w oczach tłumacza.

Klika z jednego obrazu na drugi, żebym mogła porównać dwie postaci w sztucznych kolorach. Zwracam mu uwagę, że ten dowód nie jest zbyt przekonujący.

– Kardynał Fabiani również nie życzy sobie argumentu przeciw kanonizacji zbytnio... przekonującego.

– Co on z panem zrobił, że tak pana opętał?

– To samo, co z panią. W zeszłym miesiącu zaprosił mnie na lunch, przedstawił mi swoje obawy i udało mu się znaleźć odpowiednie słowa. Byłem już wydelegowany przez Kongregację Spraw Świętych, dlatego sądził, że będę miał większą swobodę pracy, jeśli wszyscy uwierzą, że

jestem w obozie zwolenników kanonizacji. A pani służyła za kozła ofiarnego.

– Ależ to obrzydliwe!

Wydaje się równie zaskoczony, co ja sama, tym szczerym okrzykiem, który wyrwał mi się z ust. Skąd u mnie taka reakcja, w imię kogo i na mocy czego?

– Trzeba zrozumieć Watykan, Nathalie. Nie mogą kanonizować byle kogo, zwłaszcza jeśli istnieje wątpliwość co do jego tożsamości. Ewentualny błąd zakwestionowałyby, na nadchodzące wieki, realność samego cudu. To, co naprawdę się liczy, to Matka Boska odcisnięta już na zawsze na tilmie. A nie imię tego, który ją nosi.

Opadam bezwładnie na łóżko, zupełnie zdezorientowana tą całą strategią zmontowaną za moimi plecami.

– Ale dlaczego wszystkie teksty mówią o Juanie Diego? Po co miałyby kłamać przez siedemnaście lat? I czemu biskup Meksyku zgodził się uwiarygodnić to oszustwo?

Kevin siada przy mnie i uśmiecha się, gładząc palcem fałdę sukni na moim kolanie.

– Bo Juan Bernardino nie był zbyt wiarygodny jako świadek. Krążyły plotki, że oszukał kilku handlarzy matami, a poza tym, uzdrowiony czy nie, to jednak był dotknięty zarazą...

– Nie odniósłby sukcesu?

– Pielgrzymi obawialiby się zakażenia, zarówno w kontakcie z nim, jak i z tilmą. No cóż, to tylko przypuszczenia... Poza tym, był już za stary: umarłby, zanim zdążyliby go przesłuchać wysłannicy z Madrytu. Z każdego punktu widzenia Juan Diego to był lepszy wybór. Bez obrazy dla Matki Boskiej, władze katolickie uznały, że niewłaściwie przeprowadziła casting.

Odbiera mi mowę. Czuję się strasznie oszukana, zawiedziona w moim zaufaniu, a jednocześnie przenika mnie uczucie rozradowania, którego nie jestem sobie w stanie wytłumaczyć. Chyba lepiej, żebym poszła spać.

– Nie zostanie pani? – dziwi się.

– Po co?

Jego nieokreślony gest pozostawia otwartą furtkę dla wszystkich możliwych interpretacji.

– Mam wrażenie, że lepiej się czuję, odkąd panią poznałem.

Odpowiadam, że bardzo mnie to cieszy, zbieram manatki i wracam do mojego życia.

Nie bierz mi tego za złe, Nathalie. Ja też nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy i nie wiem, jakie będzie to miało dla mnie konsekwencje... Widzisz, tak bardzo byłem skupiony na twojej osobie, że ani przez chwilę nie wyczułem, że adwokat diabła ma w rękawie innego asa. Nigdy nie pogodzę się z ludzką przewrotnością.

Co teraz będzie? Czy po odwołaniu kanonizacji moi wyznawcy odsuną się ode mnie? Czy moje odbicie w końcu zniknie ze spojrzenia Matki Boskiej? A biedny wuj, o którym gadano bezpodstawnie tyle złych rzeczy, zostanie wyrwany z czyścica i przybędzie mnie zastąpić na tilmie? „Święty Juan Bernardino”... To by dopiero rozśmieszyło naszych sąsiadów, w naszych

czasach...

Chyba że szelmstwo kardynała Fabianiego na nic się zda, co jest bardzo prawdopodobne. Moja dusza, ogłoszona świętą, czy też nie, pozostanie tym, czym jest, mój los nie ulegnie zmianie: nastanie nowy papież, kardynałowie odmłodnieją, Watykan będzie się dalej uważał za pępek świata, a ludzie w potrzebie wciąż będą zanosić błagania do mojej tilmy, nawet jeśli oficjalnie przejdzie ona na mego wuja. Obraz Matki Boskiej przetrzymał wszystko: potrafi poradzić sobie ze zmianą właściciela.

W każdym razie zrobiłaś dla mnie dużo dobrego, Nathalie. I czuję, że ty też nie jesteś już taka, jak byłaś. Mój stan pozostaje bez zmian, ale twoja przygoda trwa dalej. Uważaj na siebie, siostrzyczko. Nie mam pewności, czy teraz będę mógł czuwać nad tobą tak, jak bym chciał, skoro nie jestem już dla ciebie niczym więcej, jak sprawą zamkniętą. Kłopotliwą tajemnicą i tym zmieszaniem, które będzie cię prześladowało jeszcze przez jakiś czas, za co jestem ci bardzo wdzięczny. Niemniej jednak jestem dla ciebie sprawą zamkniętą. Ty masz swoje życie, a ja – swoją śmierć.

Po to, żeby pozostała między nami jakaś więź, musiałabyś mnie o coś poprosić. Naturalnie, nie będę w stanie wypełnić twojej prośby bezpośrednio; wszystko, co mogę zrobić, to odesłać ci energię, którą na mnie koncentrujesz, wzmocnić twój naturalny blask i wiarę w siebie, jak to czynię z tymi wszystkimi, którzy się do mnie modlą. Mogę pomóc ci zrozumieć, że istotnie nie można wpływać na siebie inaczej, jak tylko żyjąc. To jest coś, czego sam nie umiałem zrobić, gdy jeszcze był czas, a teraz płacę za to nostalgią.

Oczywiście, wypełniłem misję, którą powierzyła mi Dziewica Maryja: skłoniłem biskupa do budowy kaplicy. Oczywiście, że przez siedemnaście lat głosiłem orędzie miłości, które mi przekazała: „Jestem waszą współczującą matką, twoją i was wszystkich, którzy na tej ziemi tworzącie jedność, kochającą matką wszystkich innych rodów ludzkich, które mnie wzywają, poszukują i pokładają we mnie swoją ufność. I tutaj, w tym miejscu, będę wysłuchiwała ich płaczów i smutków, by ich pielęgnować, leczyć wszystkie ich troski, nieszczęścia i cierpienia”. Setki, tysiące razy powtarzałem te słowa i widziałem ich efekt; służyłem za pośrednika między niebem a ludźmi i już o nic więcej nie prosiłem dla siebie, taki byłem ufny, tak mocno wierzyłem, że nagrodą obiecaną przez Dziewicę Maryję będzie to, iż odnajdę moją żonę w raju... Już nigdy więcej niczego nie uczyniłem, myśląc, że mam dla siebie wieczność – i nawet nie przypuszczałem, że wieczność to znaczy: bezczynność.

Nie poddawaj się, Nathalie. Nie poddawaj się rezygnacji, tak jak ja uległem optymizmowi. Być może to nie ja byłem celem twojej podróży aż tutaj. Być może ktoś żąda od ciebie czegoś innego, komuś jesteś potrzebna z innych powodów niż te machinacje, które właśnie odkryłaś i które przyprawiają cię o mdłości. Moja słodka sojuszniczko, któż może cię zrozumieć lepiej niż ja? Czujesz, że ktoś zmanipulował cię, jak marionetkę, która służyła tylko po to, by odwracać

uwagę na proscenium, podczas gdy intryga rozgrywała się za kulisami. Ale nie zatrzymuj się na tym. Zrób z tego odczucia jakiś użytek. Zrób to dla mnie.

Niewątpliwie pomyliłem się w swoich oczekiwaniach wobec ciebie. Myślałem, że twoje szkiełko mędrca mnie ocali, a tymczasem może właśnie gubiąc je, możesz być moim ocaleniem. Jeśli uda mi się ci pomóc – jeśli oboje, ty i ja, uznamy, że taka pomoc jest w ogóle możliwa – wtedy być może wydostaniemy się z impasu, w którym tkwimy oboje.

– Dzień dobry, tu Guido Ponso, nie zbudziłem pani? Wypuścili mnie dziś rano, jestem na dole w recepcji, możemy się zobaczyć?

Pytam po co.

– Mam dla pani wiadomość, Nathalie. A pani ma coś dla mnie, prawda? Dowiedziałem się, że ekspertyza odbyła się wczoraj wieczorem.

Po chwili milczenia umawiam się z nim na piątym piętrze, na balkonie baru, po czym wracam pod prysznic, by zmyć z siebie bezsenność.

Przed nim na stole stoi maleńka filiżanka. Wyjaśnia mi z urazą, że w Meksyku jedyną rzeczą, która różni espresso od kawy po amerykańsku, jest rozmiar naczynia. Coraz bledszy wokół ciemnych okularów, w wymiętej koszuli i z jednodniowym zarostem, niemal trzęsie się z niecierpliwości, pytając, czy udało mi się zdobyć próbkę włókna. Wyjmuję z kieszeni miniaturową buteleczkę po tequili, którą dopiero co wzięłam z lodówki i opróżniłam nad umywalką. Na dnie spoczywa nitka wyskubana z hotelowego szlafroka. Ogląda buteleczkę pod światło, zagryza wargi, pospiesznie chowa ją do kieszeni kurtki i ściska mi dłoń, ze wzruszeniem na twarzy. Oto najpiękniejszy dzień w jego życiu. Odsuwa się, jest niespokojny, każe mi zachować ostrożność: teraz moje życie jest w niebezpieczeństwie. Mówię, że jego również, żeby zrobić mu przyjemność. Z dreszczem podniecenia, połączonym z beztroskim gestem, odpowiada, że jest do tego przyzwyczajony. I prosi mnie o adres mailowy, żeby przesłać mi wyniki badań, jak tylko zostanie ustalony wiek mojej **próbki** przy użyciu **izotopu** węgla C 14.

Odwracam wzrok. Dlaczego to robiłam? Po to, aby w obozie kartezyjańskim podniósł się jeszcze jakiś głos odrzucający cud w imię obiektywnego dowodu? Przedstawianie fałszywego dowodu rzeczowego w interesie nauki. Dawanie do ręki argumentów przeciwnikom iluzji – w drodze oszustwa. Zwodzenie racjonalisty, żeby rozum mógł odzyskać swe prawa... Manipulowanie ateistą, jak to uczyniono ze mną, ale po to, by umocnić jego tezę, podczas gdy sama nie mam już żadnej pewności... To jedyny sposób, jaki znalazłam, żeby jakoś zaczepić się w rzeczywistości.

– W zamian mam mały prezent – mówi Guido Ponso ironicznie, wskazując telefon komórkowy, który właśnie wyjął z kieszeni.

Włącza go, manipulując przyciskami, podnosi do ucha, kiwa głową i podaje mi. Po sygnale sekretarki słychać chrapliwy oddech. Kobięcy głos, bezdźwięczny i nierówny, wymawia jakieś

dźwięki po hiszpańsku. Oddaję telefon, przypominając, że nie rozumiem tego języka. Wciska kod, żeby jeszcze raz przesłuchać wiadomość, którą tłumaczy mi słowo w słowo, zatykając palcem prawe ucho i przyciskając komórkę do lewego.

– „Bez niego nie ma raj. Pomóż mu, Nathalie, ty, której on słucha. Powiedz mu, że Maria Lucia jest przy nim od śmierci. Dopóki będzie pewien, że jesteśmy rozłączeni, pozostanie sam”.

Guido Ponzio z uśmiechem wyłącza telefon.

– Wie pani, kim była Maria Lucia, pani doktor?

– Jego żoną.

– Zgadza się. Nazywa się to głosem nadprzyrodzonym; w Neapolu mam tego pełno na sekretarce. Nawet tutaj, widzi pani, na tym wynajętym telefonie, którego numeru nikt nie zna.

Jego spokój zbija mnie z tropu, podobnie jak wyraz twarzy, na poły rozbawiony, na poły zrezygnowany, jakby był do tego przyzwyczajony. Pytam go, tak po prostu, jak to możliwe, i czy odbierał wiadomości z tamtego świata również przez Internet.

– Nie, nie, przez Internet to wydaje się im dużo mniej praktyczne. Wyrażać się w języku binarnym... Po co sobie komplikować śmierć? Gdybym to ja był duchem, używałbym woltów, drogi analogowej. Dużo łatwiej jest im spreparować dźwięki, niż włamać się do programu. Prawda?

Przyglądam mu się uważnie, starając się wyczuć, czy on też przeżył taką przemianę jak ja. Decyduję się uciąć wątpliwości:

– Im!?

– No, księżom, agentom Watykanu, handlarzom tamtym światem, wszystkim, którzy pracują, żebym postradał rozum. Ani przez chwilę nie mam spokoju: to nadprzyrodzone głosy, to zatraskujące się drzwi, przedmioty, które zmieniają miejsce, mój samochód, który zatrzymuje się bez powodu, a potem sam rusza... Wszystkiego już próbowali. Na pani również, to widać. Znam ten rodzaj kulenia się z zaciśniętymi pięściami. Proszę się trzymać, Nathalie. Na wszystko jest wyjaśnienie, słyszy mnie pani? Jestem z panią. I nie jesteśmy sami. Tysiące ludzi na całej planecie walczą razem z nami przeciwko mocom obskurantyzmu i nadprzyrodzonemu lobby... Dla tajnych służb Watykanu stawka jest gigantyczna. Wydaje im się, że nie ma innej drogi dla Kościoła katolickiego, żeby wytrzymać konkurencję z islamem. Bagatelizując rozum własnych wyznawców i nauki Chrystusa! Chcą mieć armię wiernych manipulowanych przez cuda, zjawy, kosmitów i osoby, które uważają się za medium! Posunęli się do tego, że kiedyś, 13 maja, omal nie stuknęli swojego papieża, tylko po to, by nadać większe prawdopodobieństwo trzeciej tajemnicy fatimskiej, którą zaraz potem ogłosili! „Biskup ubrany na białe pada, niczym martwy, pod kulami z broni palnej”, oto co rzekomo przepowiedziała Matka Boska 13 maja 1917 małym pastuszkom w zapadłej dziurze, która akurat, niech pani zwróci uwagę na ten symbol, nazywa się tak samo jak ulubiona córka Mahometa! No nie, bez przesady, ile jeszcze będą z nas kpili?

Nie chcą innej wiary niż łatwowierność! A ja się nie zgadzam! I właśnie dlatego, że wierzę w człowieka, wypowiedziałem wojnę Kościołowi!

Urywa, zatrzymuje wzrok na turystach, którzy przyglądają mu się z zażenowaniem, żując gumę. Przechyla filiżankę, krzywi się, wstaje, dziękuje mi za pomoc i kawę i obiecuje wkrótce się odezwać.

Patrzę, jak odchodzi tarasem, rozdarta między obrzydzeniem do samej siebie, wstydem i solidarnością wobec tej słusznej walki, którą prowadzi z wiatrakami. Lecz być może najważniejsze jest to, by w ogóle walczyć – obojętnie, czy atakuje się cudze złudzenia, czy broni własnych. Już sama nie wiem. Nie chcę nic więcej wiedzieć. Nie mam już nawet siły wątpić.

„El Nuevo Mundo” jest zamknięty. Przechodzę przez esplanadę, omijając śpiwory, w których drzemią manifestanci z poprzedniego wieczoru, i wchodzę do katedry wypełnionej przez wycieczki. Tabliczki informacyjne w sześciu językach wytyczają drogę przez nawę główną, zalecając ostrożność i zrzekając się wszelkiej odpowiedzialności. Siatka zawieszona dziesięć metrów nad ziemią osłania chrześcijan przed spadającymi kamieniami i gipsem. Co mam robić, jeśli nie modlić się, wbrew własnej woli, o to, by Juan Diego usłyszał głos swej żony i zostawił mnie w spokoju? Tej nocy bez ustanku nawiedzał moje sny, między jednym a drugim atakiem bezsenności. Za każdym razem, kiedy zasypiałam, znajdowałam go w tym samym miejscu, stojącego w oku, czasem w szpiczastej czapce, a czasem bez. Zapraszał, bym do niego przysłała, a ja przekraczałam bramę powiek, rozchylając rzęsy. „Nathalita, Nathalitzin... Uważaj na siebie, siostrzyczko...” Wciąż to samo zdanie i ten sam zatroskany uśmiech. Ale na co uważać? Sama myśl o tym, że istnieje tamten świat – pocieszenie, na które nabiera się tylu wierzących – sprawia, że tracę chęć do życia. A przynajmniej do takiego, jakie prowadziłam do tej pory. Stworzyć coś nowego, proszę bardzo, ale dla kogo i gdzie? Nigdy nie myślałam o sobie. I straciłam ochotę, by się poświęcać. Wyrzekłam się mężczyzny, którego kochałam, po to żeby nabrał pewności siebie, zrealizował swoje pasje, a on tkwi wciąż w tym samym punkcie, sparaliżowany przez skrupuły, którymi sam mnie poraża. Jeśli przede mną i Franckiem jest jeszcze jakaś przyszłość, terażniejszość, to istnieje ona gdzie indziej, z dala od naszego środowiska, naszych wyrzeczeń i naszej rutyny. Kiedy teraz wyobrażam sobie siebie we własnym kraju, czuję się tam równie obco jak tutaj, równie nie na miejscu. Jak długo zdołam jeszcze odrzucać wspólne prawa i obce wzorce? Te zaszczyty, które budzą zazdrość innych, i te obowiązki, których się lękam? I po co dalej trwać? Komu jestem tam potrzebna? Kto potrzebuje tego, kim jestem, wartości, w które wierzyłam, żalów, które w sobie noszę, i chimery, których już nawet nie ścigam? Wczorajsze wieczorne objawienie, przed oczyma Matki Boskiej, niczego we mnie nie zmieniło. Wszystkie dzisiejsze poranne myśli już były w mojej głowie, utajone. To beczynność sprawiła, że wyszły na jaw, a nie fakt, że coś sobie nagle uświadomiłam albo że niebo puściło do mnie oko. To beczynność, przed którą zawsze się broniłam, bo jak tylko się

zatrzymuję, upadam. Z tą różnicą, że teraz już nie mam ochoty się podnieść.

Jak mógłby wyglądać mój powrót? Zadzwoiłabym do Francka, opowiedziałabym mu o swoim przeżyciu, tak jak opowiada się zły sen, a potem wszystko byłoby po dawnemu: moi pacjenci, mój dom, jego kochanki. I jedyne możliwe warianty, jeśli o mnie chodzi: przeprowadzka, nowy pies, kolejny mężczyzna. Mogłabym zgodzić się na objęcie kierownictwa kliniki, nie troszcząc się o Francka. Przystać na napięte stosunki z administratorami i finansistami, starać się narzucić własne poglądy, próbować na zmianę dyplomacji, konfrontacji i ustępstw... Ale już nie mam ochoty, by powiedzieć: tak, ani odwagi, by powiedzieć: nie. Czuję coraz głębszy związek z Juanem Diegiem, coraz bardziej zgadzam się z tym wszystkim, co o nim czytałam, co mi o nim powiedziano i co dotarło do mnie we śnie... Jestem taka jak on cztery wieki temu wobec objawienia Matki Boskiej. Najpierw człowiek nie wierzy, potem staje po tej samej stronie, a na koniec zaczyna to uważać za normalne. Objawienie tego, co nadprzyrodzone, nie zmienia natury istoty ludzkiej: ono ją umacnia, wznieca zapał albo odbiera aktywność. Juan Diego przesiedział siedemnaście lat pośród pielgrzymów i bałwochwalców, uwięziony w opowiadaniu o swej jedynej przygodzie. Czego jeszcze mógł pragnąć na ziemi po stracie żony, czegoż lepszego mógł się spodziewać? Żył w przeszłości, tak jak ja żyłam do teraz, cały czas krocząc do przodu, a teraz siadam na klęczniku i czekam.

Czy właśnie to podobieństwo między nami, to identyczne spojrzenie tak mi teraz ciąży, utrzymuje mnie w bezruchu, bez celu, na skraju łez, z pustką w żołądku i ciężkim sercem? Cisza jest we mnie taka sama jak zawsze: taką odczuwam zarówno w synagodze mamy, jak i w kościołach, w których próbowałam usprawiedliwić ojca.

Wychodzę z katedry w takim stanie, w jakim do niej weszłam. Na placu, rozoranym przez przerwane prace budowlane, stary człowiek bez rąk i nóg zebrze w fotelu inwalidzkim, z tabliczką *Gracias* [(hiszp.) – dziękuję.] zawieszoną na szyi. Przechodnie wrzucają monety w kieszeń jego koszuli jak w dziuplę drzewa, robią znak krzyża, unikając jego wzroku, i idą dalej swoją drogą. Zatrzymuję się na chwilę, oparta o ogrodzenie, zafascynowana tą sceną, która staje się coraz bardziej nieprawdopodobna, w miarę jak mija pierwszy szok i człowiek się przyzwyczaja. Jak on się tu dostał, jak przemieszcza swój fotel, jak może wyjąć z kieszeni te obole i uchronić się przed kradzieżą? Jego: twarz nie wyraża nic poza przelotną uwagą i uprzejmą obojętnością urzędnika w okienku.

Kilka minut później zatrzymuje się na placu samochód dostawczy. Kierowca zapala światła awaryjne, wychodzi, rozsuwa tylne drzwi, spuszcza podest i idzie po zubożonego kalekę. Popycha fotel do środka bez większych emocji, jak gdyby opróżniał parkometr. Po czym wychodzi z samochodu, niosąc na rękach dziecko z identyczną tabliczką na szyi, sadza je na ziemi obok wyjścia z katedry, kładzie u jego stóp miskę w Myszki Miki, zasuwa drzwi samochodu i jedzie na dalszy obchód.

Wstrząśnięta, kucam przed chłopczykiem, który może mieć sześć czy siedem lat, biorę go za rękę. Odpowiada: *gracias*, łagodnym i obojętnym głosem. Jego przymknięte powieki to dwie zasłony z obwisłego ciała, kryjące puste oczodoły.

Jakiś policjant dmucha w gwizdek i zmusza mnie, żebym wstała, wrzeszcząc, że nie mam prawa tu przebywać. Niby dlaczego? Zakłócam ruch, pozbawiam przechodniów litości, przeszkadzam w interesach? Bunt i obrzydzenie sprawiają, że obracam się na pięcie, nie reagując na pogróżki gliniarza, który wskazuje mi miskę dzieciaka. Jak można dawać pieniądze, wiedząc, że w ten sposób przystaje się na tę podłą eksploatację, że pozwala się zarobić alfonsowi kalek? Jeden z przewodników wycieczek, który przyglądał się całej scenie, oczekując na swą grupę na czerwonym świetle, mówi mi, że nic się nie da zrobić: każdego roku są porywane setki nieszczęśników, a potem znajduje się ich na ulicy z wylupionymi oczyma. W Meksyku handel narządami kwitnie w najlepsze, a policja nie ma ani czasu, ani środków, by rozbić szajkę, która się tym zajmuje.

Wzdycha, po czym klaszcze w dłonie i przeprowadza swoją grupę przez jezdnię w kierunku kolejnego malowniczego miejsca. Obojętna groza tego kraju obezwładnia mnie w strumieniu ruchu ulicznego i pstrykania aparatów fotograficznych. Juanie Diego, kimkolwiek jesteś, z czapką czy bez – ty, w którego się wierzy, który ocaliłeś dziecko z okiem przebitym haczykiem wędki – jak możesz pozwolić na takie okropieństwa? Jak można pretendować do świętości, skoro spełnia się jedną prośbę na tysiąc i uprawia się cuda jako specjalną działalność, obliczoną na przekonywanie? Jak chcesz, żebym uwierzyła w interwencję Matki Boskiej, skoro ona głosi miłość w taki sam sposób, jak reklamuje się lekarstwo niedostępne dla biedaków?

Wchodzę do jakiegoś baru, ale natychmiast go opuszczam. Kościół czy bar, alkohol czy modlitwa, na jedno wychodzi: wszystko służy tylko temu, żeby uciec od odpowiedzialności, zagłuszyć swoje sumienie i zwolnić się z obowiązku działania. Skoro istnieje handel narządami, to znaczy, że musi być na nie popyt. Jedyne sposobem przerwania tego procederu to zlikwidować zapotrzebowanie. Gdyby istniała w Meksyku sztuczna rogówka, dzieciaki z ulicy przestałyby być traktowane jak magazyn części zamiennych. Wszczepy, konieczne w takich przypadkach, jak keratokonus, dystrofia rogówki czy nawet opryszczka oka, oszczędziłyby żywych dawców. I to my powinniśmy działać zamiast nieba. Boli mnie to, co się dzieje w tym kraju, ale jeszcze bardziej wstyd mi własnego, skoro nie zgadza się na postęp medycyny, który nie przynosiłby zysków. Po co tam próbować mówić do ściany, skoro tutaj można byłoby ocalić dzieci?

Zagłębiając się w uliczki wokół placu, szukając ciszy, cienia i dalszej drogi w życiu. Nie potrafię dłużej funkcjonować w tym świecie, nie mogąc niczego zmienić. I nie będę czekać, aż znajdę się na tamtym, żeby przelać moją wolę na komputery, automatyczne sekretarki i w zawartość snów. Ale skąd ten nagły strach, ta potrzeba natychmiastowego działania, to wrażenie porażki, skoro być może właśnie w tej chwili przejmuję kontrolę nad własnym życiem?

Kroki za mną odbijają się echem. Milkną, kiedy się zatrzymuję. Odwracam się. Nie ma nikogo. Jestem sama w przejściu między dwoma ciągami opustoszałych domów. Przyspieszam w kierunku następnej przecznicy, skręcam na rogu. To ślepa uliczka. Przedemną, na jej końcu, manewruje ciężarówka. Cofam się, ale zza załomu wyłania się dwóch mężczyzn i idą w moją stronę. Trzeci wychodzi z ciężarówki, z rękami w kieszeniach. Kierowca naciska pedał gazu, stojąc w miejscu, zagłuszając wyciem silnika moje wołania o pomoc. Trzej mężczyźni wyjmują noże. Juanie Diego, ratunku! Błagam cię, nie pozwól mi umrzeć na darmo, w momencie, w którym postanowiłam do czegoś się przydać. Przecież nie mogłeś mnie doprowadzić aż tutaj, pozwolić mi przemierzyć całą tę drogę, żeby to się tak skończyło... Nie! Walę w drzwi domów w ślepej uliczce. Kroki zbliżają się, chcę uciekać, potykam się. Podnoszą mnie jakieś ręce. Czuję zagłębiające się ostrze. Dlaczego? Czego ode mnie chciałeś? Zmienić moje życie czy mi je odebrać?

Tonę w ciemności bez odpowiedzi.

Nie wiem, czy mnie słyszysz, Nathalie, i czy twój obecny stan ułatwia nasze porozumiewanie się, czy też nie. Mnie jest teraz dużo lepiej, ale nie mam wrażenia, żebyś ty się jakoś zmieniła. Jesteś oczywiście mniej skupiona, mniej zestresowana; jest ci wygodniej, ale w pełni władz nad swoją duszą, a to jest dla mnie najważniejsze.

Więść o twoim zaginięciu wywołała dużo więcej smutku, niż sobie wyobrażałaś, ale miała też bardzo korzystne skutki. Jak tylko dotarł do Francka faks od kardynała Fabianiego, twój przyjaciel wskoczył w pierwszy samolot do Meksyku. Musiał cię stracić, żeby zrozumieć, jak bardzo mu na tobie zależy. Ojciec Abrión czekał na Francka na lotnisku wraz z szefem policji, który uspokoił go, mówiąc, że porwania zdarzają się dosyć często, ale porwane osoby prawie zawsze odnajdują się żywe. Nie sprecyzował, w jakim stanie.

Obaj zawieźli go do hotelu. Zamknął się w twoim pokoju i leżąc na twym łóżku, z twarzą w twoich rzeczach, wybuchnął płaczem. Myśląc o tym samym, co ty dwa dni temu: po co tyle marnotrawstwa, straconego czasu, miłości poświęconej na ołtarzu skrupułów, zasad, otoczenia?

A potem do drzwi zapukał Kevin Williams. Był bardzo blady, wydawał się rozdarty między rozpaczą a egzaltacją, pod podwójnym wpływem tequili i kryzysu mistycznego. Rozpostarł na łóżku wydruk powiększonego oka, pokazał Franckowi wszystkie punkty, plamy, pogrubione sylwetki i syntetyczne kolory. Powiedział mu, że właśnie odkrył w rogówce piętnastą postać i że jesteś nią ty. Jako jeszcze jeden znak, przesłanie porównywalne z tym, które przekazuje grupa rodzinna; jako ostrzeżenie i przywołanie do porządku: znikłaś ze świata rzeczywistego, wchłonięta przez wzrok Matki Boskiej, w którą nie chciałaś uwierzyć.

Franck wywalił go na korytarz. Teraz odrzuca to, co irracjonalne, ale tylko po to, żeby odczynić zły urok: utożsamia się z twoimi uczuciami i przekonaniem, by cię sprowadzić z powrotem, poddaje się twojemu wpływowi, żeby zwiększyć szansę na odnalezienie cię.

Zszedł do recepcji, wypytywał pracowników hotelu, odwiedził wszystkie miejsca, w których byłaś, począwszy od dzielnicy przy katedrze, aż po restaurację naprzeciw więzienia, od ruin Calixtlahuaca po kawalerkę Roberta Cardenas, od bazyliki po wzgórze objawień, od moich rodzinnych wiosek aż po czwarte piętro „El Nuevo Mundo”. Starał się odgadnąć twój nastrój i gdzie się zatrzymałaś, próbował zagadywać osoby, z którymi rozmawiałaś, stawiał swoje stopy dokładnie na śladach twoich stóp, tak idealnie zestrajając swoje uczucia z twoimi, że poczułem się z nim dziwnie połączony, chociaż on myślał tylko o tobie.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się być łącznikiem w czymś związk. I wasza historia miłosna, w której mogłem zamieszkać, miała ten niewiarygodny skutek, za który już zawsze będę wam wdzięczny: po raz pierwszy udało mi się usłyszeć głos Marii Lucii, odczuć jej obecność w sobie. Być może dlatego, że uczucie straty, w jakim uwięziła mnie śmierć, niezgoda na mój los i pewność, że jestem sam, nie pozwalały jej odpowiedzieć na moje wołania i pomóc mi zrozumieć, że kochać się po śmierci to, jak mówicie, „być jednością”. Dalej słyszę pielgrzymów, ich modlitwy i akty dziękczynienia wokół mojej tilmy, ale wiesz, już nie cierpię z tego powodu. Siła mojego ziemskiego przywiązania przestała się obracać przeciwko mnie. Odżywam. Obumieram. I tobie to zawdzięczam.

Drugiego dnia po przylocie Franck zaczął obchód miejskich szpitali i w końcu znalazł cię *leżącą* w San Cristobal, w pawilonie B, na trzecim piętrze, tam, gdzie przywiozła cię karetka, nieprzytomną, bez żadnych dokumentów. I od około dziesięciu godzin oczekuje, aż odzyskasz przytomność, co moim zdaniem niebawem nastąpi: twoje wspomnienia nabierają kształtów wokół mnie i wkrótce ustąpię im miejsca. Napastnicy zabrali ci jedynie torebkę, rany się zabliznią, a traumatyczne przeżycie tylko wzmocni twoją decyzję, przyspieszając bieg spraw.

To nie tak, że przewiduję twoją przyszłość, Nathalie, ale wierzę w ciebie. Wiem, dokąd chcesz iść, z kim i co zrobisz. Wasze życie będzie teraz tutaj, w tym czy w innym szpitalu, jak tylko powrócisz do zdrowia i sprowadzisz tu swoich japońskich kolegów. Objaśnią, na czym polega ich odkrycie, zademonstrują swoje umiejętności i wspólnie poprosicie ministerstwo zdrowia o zezwolenie na kształcenie tutejszych chirurgów w przeprowadzaniu operacji wszczepów sztucznej rogówki.

To będzie trudne zadanie dla Francka i dla ciebie, przeszkody okażą się prawie nie do pokonania, a sukces nie pozostawi wam ani jednej wolnej minuty, by o mnie myśleć; zresztą nie będę już wam potrzebny i nie będzie mnie tam. Tak jak nici się rozpuszczają, gdy już rana się zrośnie, łącznik zniknie.

Nie wiem, jak długo jeszcze ten świat będzie mnie przytrzymywał. Ale jeśli obecnie, poza cudami, które mi się przypisuje, mogę przyczynić się do tworzenia nowych więzów i widzieć, jak powraca szczęście, jakiego sam zaznałem za życia, to już nie wzbraniam się przed więzieniem, z którego na was patrzę. I być może kiedyś nawet – kto wie? – będzie mi go

brakowało.

Słowo od autora

Książka ta jest powieścią. Nawet jeśli opowiedziane wydarzenia zgodne są z dokumentami i świadectwami, uznanymi przez historię za rzeczywiste, za ich interpretację odpowiadam ja sam.

Odkrycia naukowe dotyczące tilmy są autentyczne, chociaż nierzadko przypisuję je postaciom fikcyjnym. Jeśli zaś idzie o niewytłumaczalne uzdrowienia przypisywane Juanowi Diegowi, niektóre – między innymi przypadek dziecka z okiem przebitym haczykiem – zostały oficjalnie uznane przez medycynę.

W Watykanie podczas procesu kanonizacyjnego niezależna komisja lekarska miała się wypowiedzieć na temat przypadku samobójcy przywróconego do życia w 1990 roku, po jego upadku z piątego piętra i stwierdzeniu zgonu. Jednogłośny werdykt ekspertów był taki: „nie chodziło o jeden cud, lecz o dwa równoczesne, ponieważ rentgen i skanery wykazały śmiertelne uszkodzenia czaszki i kręgosłupa, które następnie znikły”.

Jan Paweł II kanonizował Juana Diega 31 lipca 2002 roku mimo sprzeciwu wielu kardynałów. Posunęli się oni do stwierdzenia, że Indianin nigdy nie istniał. Dziennikarze, którzy rok wcześniej przeczytali *Objawienie*, sądzą, że papież kanonizował postać powieściową. Pragnę podkreślić, że w tym wypadku powieściopisarz za nic nie odpowiada.

Bibliografia

Francisco Anson, *Guadalupe, lo que dicen sus ojos*, Madrid 1988.

Lauro López Beltran, *Treinta y dos milagros guadalupanos históricamente comprobados*, Mexico 1972.

F. B. Bonnet-Eymard, *Notre-Dame de Guadalupe et son image devant l'histoire et la science*, CRC n° 157, IX 1980.

o. Francois Brune, Philippe Lebaud, *Les Miracles et autres prodiges*, Paris 2000.

„Historica” (czasopismo wydawane przez Centro de Estudios Guadalupanos w Meksyku, pod kierownictwem Wielebnego Enrique Salazara).

J. H. Hernandez Illescas, o. Mario Rojas Sanchez, *Las Estrellas del manto de la Virgen de Guadalupe*, Mexico 1981.

Jacques Lafaye, *Quetzalcoatl et Guadalupe: la formation de la conscience nationale au Mexique*, Paris 1974.

Xavier Noguez, *Documentos guadalupanos*, Mexico 1993.

Yves Poulinquen, Odile Jacob, *La Transparence de Poeil*, Paris 1992.

Horacio Senties Rodriguez, *Genealogia de Juan Diego*, Mexico 1998.

Jody Brant Smith, *The Image of Guadalupe, myth or miracle?*, New York 1983.

J. A. Tonsmann, *Los Ojos de la Virgen de Guadalupe*, Mexico 1991.

David Vallop, *In God's name, an investigation into the murder of Pope John Paul U* Toronto 1984.

Nican Mopohua i „pierwotną relację” przypisywaną tłumaczowi Juanowi Gonzalezowi przełożył z języka nahua na hiszpański o. Mario Rojas Sanchez. Przekładu francuskiego dokonał o. Francois Brune, którego ogromna erudycja, naukowa rzetelność oraz swoboda umysłu pomogły mi w poszukiwaniach.